

WKRÓTCE
WIELKI FILM
TWÓRCÓW
WŁADCY PIERŚCIENI
I HOBBITA

PHILIP REEVE

ZABÓJCZE
MASZYNY

AMBLER

ZABÓJCZE MASZYNY

PHILIP REEVE

Przekład
Jan Hensel



Redakcja stylistyczna
Eugeniusz Melech

Korekta
Magdalena Stachowicz
Barbara Cywińska

Cover Illustration © Ian McQue, 2018
Cover Illustration reproduced by permission of Scholastic Ltd

Tytuł oryginału
Mortal Engines

Poprzednie polskie wydanie ukazało się w 2003 r.
pod tytułem: Żywe maszyny
Text © Philip Reeve, 2001

For the Polish edition
Copyright © 2018 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6802-6

Warszawa 2018.

Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa,
ul. Królowej Marysieńki 58

ebook ze skanu
lesiojot



1. TEREN POLOWAŃ

W pochmurne, wietrzne wiosenne popołudnie Londyn rozpoczął pościg po wyschniętym dnie dawnego Morza Północnego za niedużym górniczym miasteczkiem.

W lepszych czasach Londyn nie zainteresowałby się tak marną zdobyczą. Kiedyś to wielkie ruchome miasto polowało na znacznie większe osiedla, goniąc je na swych gaśienicach od Lodowych Pustkowi na północy aż po Morze Śródziemne. Ostatnio jednak coraz mniej było miast nadających się do pożarcia, a większe, potężniejsze aglomeracje zaczęły spoglądać na Londyn łakomym okiem. Już od dziesięciu lat dawna stolica Anglii ukrywała się przed nimi na podmokłych, górzystych terenach zachodniego terytorium, które – według Cechu Historyków – było niegdyś Wyspami Brytyjskimi. Od dziesięciu lat Londyn żywił się wyłącznie małymi miasteczkami rolniczymi i osadami, jakie udało mu się upolować w pobliżu. Teraz wreszcie lord burmistrz podjął decyzję, by wyruszyć na wielki Teren Polowań.

Londyn był właśnie w pół drogi, gdy obserwatorzy na wysokich wieżach wypatrzyli miasteczko z kopalnią soli. Londyńczycy uznali to za znak od bogów i nawet lord burmistrz, który nie wierzył ani w bogów, ani w żadne wróżby, stwierdził, że to dobry początek podróży na wschód, i rozkazał rozpocząć pościg.

Górnictwo miasteczko dostrzegło niebezpieczeństwo i rzuciło się do ucieczki, ale gaśienice Londynu obracały się coraz szybciej i szybciej. Wkrótce Londyn mknął przed siebie na najwyższych obrotach – wielka, ruchoma góra stali, wznosząca się jak weselny tort siedem pięter w górę, z dolnymi pokładami spowitymi kłębami spalin, a górnymi zabudowanymi lśniącymi bielą willami bogaczy, ponad które wyrastała zwieńczona złotym krzyżem katedra Świętego Pawła.

Gdy rozpoczął się pościg, Tom odkurzał właśnie eksponaty w galerii historii naturalnej Muzeum Londyńskiego. Poczł znane wstrząsy metalowej podłogi i zadarł głowę, aby spojrzeć na podwieszane pod sufitem modele delfinów i wielorybów, które zaczęły się kołysać z cichym skrzypieniem.

Nie przestraszył się. Mieszkał w Londynie piętnaście lat, od urodzenia, i zdążył się już przyzwycząić do jego ruchów. Wiedział, że miasto zmienia kierunek i nabiera prędkości. Poczł na grzbiecie dreszcz podniecenia, który znali wszyscy londyńcy. Łup musi być gdzieś niedaleko! Rzucił na podłogę szczoteczkę i szmatkę. Przyłożył dłoń do ściany, wyczuwając wibracje, dochodzące z maszynowni mieszczącej się głęboko w Trzewiach miasta. Do buczenia silników dołączyło niskie dudnienie silników wspomagających. Jak rytm wybijany na bębnach.

Otworzyły się drzwi po drugiej stronie i do sali wtoczył się Chudleigh Pomeroy. Jego okrągła twarz była purpurowa ze zdenerwowania.

– Na Quirke’a! Co to takiego?! – zawołał tubalnym głosem, spoglądając na wirujące pod sufitem wieloryby i wypchane ptaki, podskakujące w gablotkach, jakby chciały rozprostować skrzydła i zerwać się do lotu. – Czeladniku Natsworthy! Co się tutaj dzieje?

– To pogoń, proszę pana – powiedział Tom, dziwiąc się, że zastępca Wielkiego Mistrza Cechu Historyków, który mieszkał w mieście od tak dawna, nie rozpoznawał bicia londyńskiego serca. – Pewnie coś upolujemy. Włączyli silniki wspomagające. Od lat już tego nie robiono. Może Londynowi znowu zacznie sprzyjać szczęście.

– Phi! – prychnął Pomeroy, krzywiąc się na widok przeszklonych gablotek drgających w rytm pracy silników. Nad jego głowę największy z modeli morskich ssaków – płetwal błękitny, który wyginął tysiące lat temu – podskakiwał na linkach niczym piłka. – Być może, czeladniku Natsworthy. Szkoda tylko, że Cech Inżynierów nie zainstalował w budynku urzędzeń, które stłumiłyby drgania. Niektóre z tych okazów są bardzo delikatne.

– Wyciągnął z kieszeni długiej czarnej szaty chustkę w grochy i otarł nią czoło.

– Czy mógłbym – poprosił Tom – pobiec na platformę obserwacyjną popatrzeć na polowanie? Od lat nie mieliśmy pościgu...

– Nie ma mowy, czeladniku! Spójrz tylko, ile kurzu sypie się z tej gabloty! Trzeba jeszcze raz wyczyścić wszystkie eksponaty i sprawdzić, czy nie ma uszkodzeń.

– To niesprawiedliwe! – jęknął Tom. – Właśnie odkurzyłem całą salę!

Natychmiast zorientował się, że popełnił błąd. Stary Chudleigh Pomeroy nie był najgorszym z mistrzów cechu, ale nie lubił, gdy mu się przeciwstawiał jakiś marny czeladnik trzeciej kategorii. Wyprostował się – był tak gruby, że wyglądał jak piłka do koszykówki, która zmienia się w piłkę do rugby – i zmarszczył surowo krzaczaste brwi.

– Życie nie jest sprawiedliwe, Natsworthy – powiedział. – Jeszcze jedna taka odzywka, a znajdziesz się w Trzewiach, gdy tylko skończy się pościg!

Ze wszystkich obowiązków czeladnika trzeciej kategorii Tom najbardziej nienawidził właśnie pracy w Trzewiach. Zamilkł więc natychmiast i spuścił głowę, wpatrując się w nienagannie wypolerowane buty głównego kuratora.

– Masz pracować w muzeum do siódmej wieczorem i nigdzie się stąd nie ruszysz – ciągnął Pomeroy. – Ja tymczasem porozmawiam z innymi kuratorami na temat tych okropnych, niedopuszczalnych wstrząsów...

Wciąż mrużąc coś pod nosem, Pomeroy wyszedł pośpiesznie z sali. Tom popatrzył za nim, podniósł miotłkę i z rezygnacją powrócił do pracy. Zwykle nie miał nic przeciwko sprzątanii, zwłaszcza tej sali – z ciekawymi zwierzętami, których nie oszczędziły mole, gdzie spod sufitu uśmiechał się do niego wielki wieloryb. Czasem z nudów Tom uciekał w krainę marzeń: wyrwał piękne dziewczyny z łap podniebnych piratów lub ratował Londyn przed Ligą Antymobilistów, a potem żył sobie długo i szczęśliwie. Jak jednak mógł oddawać się marzeniom w

chwili, gdy inni londyńczycy oglądali pierwszy porządny pościg od wieków?

Odczekał dwadzieścia minut. Chudleigh Pomeroy nie wracał. W środę muzeum było zamknięte dla zwiedzających, a większość mistrzów cechu i czeladników pierwszej i drugiej kategorii miała wolne. Chyba nic się nie stanie, jeśli wymknie się ukradkiem na dziesięć minut, żeby popatrzeć, co się dzieje? Schował przybory do sprzątania i skierował się do wyjścia.

Kuliste argonowe lampy w korytarzu również tańczyły do wtóru silników, rzucając światło to na jedną, to na drugą metalową ścianę. Obok Toma przeszła pośpiesznie para historyków w czarnych szatach. Usłyszał piskliwy głos doktora Arkengartha:

- Co za wstrząsy! Żebyś wiedział, co się dzieje z moją kolekcją ceramiki z trzydziestego piątego wieku...

Tom odczekał, aż historycy zniknęli za zakrętem, a potem pobiegł do najbliższych schodów. Przeszedł przez galerię dwudziestego pierwszego wieku, mijając wielkie plastikowe figury Pluta i Mickey – półzwierzęcych bogów nieistniejącej już Ameryki. Przebiegł przez główną salę, gdzie zgromadzono przedmioty sprzed okropnej wojny sześćdziesięciminutowej, kiedy to starożytni, tysiące lat temu, za pomocą rakiet z głowicami jądrowymi i szczepów śmiertelnych wirusów doprowadzili do zniszczenia swej cywilizacji. Dwie minuty później przez boczne wyjście wydostał się na gwarną, ruchliwą ulicę Tottenham Court.

Muzeum Londyńskie stało na samym krańcu drugiego piętra, w ruchliwej dzielnicy Bloomsbury. Kilka metrów nad jej dachami, niczym rdzawe niebo, rozciągała się podłoga pierwszego poziomu. Tom nie bał się, że ktoś go rozpozna w półmroku zatłoczonych ulic. Przeciskał się w kierunku wielkiego ekranu nieopodal stacji wind. Stał w grupie ciekawskich i zaczął się wpatrywać w niebieskawy obraz emitowany przez kamery umieszczone na wysokości szóstego pokładu.

- MIASTO NAZYWA SIĘ SALTHOOK – wyjaśniono przez głośnik.
- JEST TO PLATFORMA GÓRNICZA, ZAMIESZKANA PRZEZ

DZIEWIĘCSET OSÓB. OSADA PORUSZA SIĘ OBECNIE NA WSCHÓD Z SZYBKOŚCIĄ STU PIĘCDZIESIĘCIU KILOMETRÓW NA GODZINĘ, ALE CECH NAWIGATORÓW ZAPEWNIŁ, ŻE LONDYN DOGONI JĄ JESZCZE PRZED ZACHODEM SŁOŃCA. W GŁĘBI TERENU POLOWAŃ ZNAJDUJE SIĘ WIELE TAKICH MIAST. ZAPRAWDĘ MĄDRY JEST NASZ UKOCHANY LORD BURMISTRZ, ŻE ROZKAZAŁ WRESZCIE POPROWADZIĆ LONDYN NA WSCHÓD...

Sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę! – pomyślał Tom z zachwytem. Zawrotna prędkość. Chłopak zapragnął znaleźć się na balkonie obserwacyjnym i poczuć wiatr na twarzy. Pewnie i tak podpadł już panu Pomeroyowi. Co za różnica, jeśli spędzi kilka dodatkowych minut poza muzeum?

Popędził co sił do parku Bloomsbury, gdzie świeciło słońce i wiał wiatr. Kiedyś był to piękny park – z drzewami, sadzawkami i trawą, ale z powodu braku dostatecznej liczby łupów został przekształcony w ogród warzywny i rosła tam teraz kapusta i algi. Platforma obserwacyjna pozostała jednak na swoim miejscu. Z jej balkonów londyńczycy mogli podziwiać ziemię przemierzane przez ich rodzinne miasto. Tom wbiegł na najbliższy balkon. Panował tu jeszcze większy tłok niż przed ekranem. Wśród zgromadzonych było sporo członków Cechu Historyków, więc Tom starał się nie zwracać na siebie uwagi, przepychając się w stronę balustrady. Salthook znajdowało się nie więcej niż dziesięć kilometrów przed Londynem. Umykało po płaskim terenie, wypuszczając kłęby czarnego dymu z kominów.

– Natsworthy! – zawołał ktoś donośnym głosem. Serce Toma zamarło. Obejrzał się i zobaczył Melliphanta, rosłego czeladnika pierwszej kategorii, który uśmiechnął się do niego i zagadnął: – Fajowo, nie? Tłuściutkie miasteczko górnicze z silnikami C20! Właśnie tego Londyn potrzebuje!

Herbert Melliphant należał do najgorszego typu sadystów; nie wystarczyło mu walenie słabszych po gębach i wtykanie ich głów do klozetów, lubił także wiedzieć wszystko o swych ofiarach, aby potem wykorzystywać tę wiedzę przeciwko nim. Melliphant uwielbiał gnębić Toma, który był nieduży, nieśmiały i nie miał

przyjaciół, którzy by go obronili. A sam Tom nie mógł mu się przeciwstawić, ponieważ rodzice Melliphanta zapłacili, żeby syna przyjęto do grona czeladników pierwszej kategorii, podczas gdy Tom, sierota bez grosza przy duszy, pozostał marnym trzeciakiem. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Melliphant sili się na uprzejmość wyłącznie dlatego, że chce zaimponować stojącej obok ładnej młodej historyczce Klytii Potts. Pokiwał więc tylko głową, odwrócił się i skupił uwagę na pościgu.

– Patrzcie! – wykrzyknęła Klytia Potts.

Dystans między Londynem a jego ofiarą zmniejszał się z każdą chwilą. Wtem nad Salthook pojawił się ciemny kształt. A potem jeszcze jeden i następny. Statki powietrzne! Tłum zgromadzony na balkonie zaczął wiwatować, a Melliphant powiedział:

– Powietrzni kupcy. Wiedzą, że miasto jest zgubione, więc opuszczają je, nim zostanie pożarte. Gdyby nie uciekli, mielibyśmy prawo do ich całego dobytku!

Tom z radością spostrzegł, że Klytia Potts wygląda na śmiertelnie znudzoną Melliphantem: na pewno wiedziała to wszystko. Była przecież o rok wyżej od niego: zdała egzamin cechu i została przyjęta do grona mistrzów historyków, co poświadczał znak wytatuowany na jej czole.

– Patrzcie! – zawołała, spoglądając na Toma i uśmiechając się do niego. – Och, jakie one piękne!

Tom odgarnął z czoła włosy i spojrział na sterowce, które wzbijały się w niebo i znikwały za szarymi chmurami. Na chwilę dał się ponieść marzeniu, że leci jednym z nich, wciąż wyżej i wyżej, w stronę słońca. Gdyby tylko rodzice nie zostawili go pod opieką Cechu Historyków! Gdyby mógł być pomocnikiem na pokładzie latającego statku i zwiedzać wszystkie miasta świata: morskie miasto Puerto Angeles, pływające po Pacyfiku, Archangielsk, przemierzający na stalowych płozach skute lodem morza północy, wielką piramidę miasta Neo-Majów i nieruchome twierdze Ligi Antymobilistów...

Ale to było tylko marzenie, które bardziej mu się przyda kiedy indziej, w jakieś nudne popołudnie w muzeum. Radosne okrzyki i oklaski gapiów znaczyły, że pościg zbliża się ku końcowi. Tom

zapomniał o powietrznych podróżach i spojrzął na Salthook.

Górnice miasteczko było już tak blisko, że widział podobne do mrówek ludzkie postaci, biegające po górnych pokładach. Jak bardzo musieli być przerażeni, widząc górujący nad nimi Londyn, przed którym nie było ucieczki! Jednak nie ma im czego współczuć: to naturalne, że miasta pożerały miasteczka, a miasteczka żywiły się pozostałościami godnymi nieruchomymi osadami. Tak głosiła doktryna miejskiego darwinizmu, takimi prawami rządził się świat od tysiąca lat, kiedy to wielki inżynier Nikolas Quirke zmienił Londyn w pierwsze ruchome miasto. „Londyn! Londyn!” – zaczął wiwatować razem z pozostałymi. Nagle jedno z kół Salthook odpadło, miasteczko zatrzymało się gwałtownie, kominy z hukiem runęły na jego ulice. Po chwili miasteczko zniknęło z oczu zasłonięte dolnymi piętrami Londynu. Tom poczuł, jak podłoga drga mu pod stopami – nieomylny znak zatraskujących się wielkich hydraulicznych szczepek.

Ze wszystkich platform obserwacyjnych podniosły się wiwaty. Z wielkich głośników, przymocowanych do słupów podpierających kolejne piętra, rozległy się dźwięki Dumy Londynu. Ktoś nieznajomy objął Toma i uściskał, krzycząc mu w ucho: „Łup! Łup!” Tomowi wcale to nie przeszkadzało, w tej chwili kochał wszystkich na platformie, nawet Melliphanta. „Łup!” – odkrzyknął. Uwalniając się z uścisku nieznajomego, znowu poczuł drgania pokładu. Gdzieś w dole wielkie stalowe zębiska chwyciły Salthook, podnosiły je, a potem przesuwwały do tyłu, w głąb Trzewi.

– ...a może czeladnik Natsworthy też by z nami poszedł – usłyszał głos Klytii Potts.

Tom nie miał zielonego pojęcia, o co jej chodziło. Gdy się odwrócił, położyła mu dłoń na ramieniu i uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Wieczorem w ogrodach Kensington odbędzie się festyn – wyjaśniła. – Tańce i sztuczne ognie! Chcesz pójść?

Nikt nigdy nie zapraszał na imprezy czeladników trzeciej kategorii – a już na pewno nie takie ładne kobiety jak Klytia –

więc Tom zaczął się zastanawiać, czy się z niego nie nabija. Jednak Melliphant najwidoczniej potraktował to serio. Odciągnął ją na bok i powiedział:

– Nie potrzebujemy tam ludzi pokroju Natsworthy’ego.

– Jak to? – zdziwiła się dziewczyna.

– No, wiesz! – zirytował się Melliphant, a jego kwadratowa gęba zrobiła się czerwona jak burak. – To trzeciak. Rozumiesz? Nigdy nie otrzyma znaku cechu. Skończy jako marny asystent kuratora. Prawda, Natsworthy? – zapytał, spoglądając na Toma z góry. – Jaka szkoda, tata nie zostawił ci forsy, żebyś został porządnym czeladnikiem...

– To nie twoja sprawa! – zawołał Tom. Radość ze schwytania zdobyczy już go opuściła. Zaczął się denerwować, jaką karę wymierzy mu Pomeroy, kiedy się dowie, że uciekł z muzeum. Nie miał ochoty wysłuchiwać złośliwości Melliphanta.

– Tak to jest, kiedy się mieszka w slumsach na dolnych piętrach. – Melliphant uśmiechnął się do Klytii Potts. – Bo widzisz, rodzice Natsworthy’ego mieszkali na czwartym poziomie i podczas wielkiego przechyłu oboje zostali zmiażdżeni. Wyglądali jak naleśniki.

Tom nie mógł się powstrzymać. Zacisnął pięść i walnął Melliphanta prosto w kartoflowaty nochal.

– Au! – jęknął Melliphant i runął na ziemię jak długi.

Ktoś zaczął im kibicować. Klytia z trudem powstrzymywała się od śmiechu, a Tom gapił się na swą drżącą rękę, zastanawiając się, jak to zrobił.

Melliphant był jednak o wiele większy i silniejszy od Toma i zdążył się już podnieść. Klytia próbowała go powstrzymać, ale grupka innych historyków i ubrani w zielone stroje czeladnicy Cechu Nawigatorów zagrozdzi mu drogę odwrotu i zaczęły wołać: „Walcz! Walcz!”

Tom wiedział, że nie ma szans w pojedynku z Melliphantem, tak jak Salthook nie miało szans z Londynem. Zrobił krok do tyłu, ale tłum pchnął go z powrotem w stronę Melliphanta. Najpierw pięść przeciwnika wylądowała na jego policzku, potem Melliphant kopnął go kolaniem między nogi. Tom zgiął się wpół, czując, jak

łzy napływają mu do oczu. Cofnął się i natrafił na coś wielkiego i miękkiego jak kanapa. Podniósł głowę i zobaczył okrągłą, czerwoną twarz z krzaczastymi brwiami.

– Natsworthy! – ryknął Chudleigh Pomeroy. – Co ty, na Quirke’a, wyprawiasz?!

2. VALENTINE

W ten oto sposób Tom został odesłany do roboty w Trzewiach, podczas gdy wszyscy pozostali czeladnicy bawili się na festynie, świętując upolowanie Salthook. Po długiej reprimendzie, której wysłuchał skruszony w gabinecie Pomeroya („Nieposłuszeństwo, Natsworthy... Zaatakowanie starszego czeladnika... Co by pomyśleli twoi biedni rodzice?”), Tom powlókł się na stację Tottenham Court, gdzie stanął ze spuszczoną głową, czekając, aż przyjedzie winda na dół.

W windzie panował ścisk. Siedzenia w górnym pomieszczeniu były zajęte przez pewnych siebie mężczyzn i kobiety z Cechu Inżynierów, najpotężniejszego z czterech cechów rządzących Londynem. Tomowi niedobrze się robiło na widok ich łysych głów i długich płaszczy z białej gumy, więc zdecydował się zostać w dolnej części wagonika, gdzie z obrazu na ścianie patrzył na niego lord burmistrz. Pod spodem widniał napis:

Życie to wieczny ruch.

Pomóżmy Cechowi Inżynierów utrzymać Londyn w ruchu!

Wolno jadąca w dół winda zatrzymywała się na dobrze Tomowi znanych stacjach: Bakerloo, High Holborn, Low Holborn, Bethnal Green. Na każdym przystanku do wagonika wsiadało coraz więcej ludzi, coraz bardziej przyciskając Toma do tylnej ściany. Poczul ulgę, gdy zjechał na sam dół, a potem wyszedł z windy na zatłoczoną i głośną ulicę Trzewi.

Trzewia to część miasta, w której Londyn demontował schwyte miasteczka – wypełniona fabrykami i magazynami przestrzeń między Szczękami a główną maszynownią. Tom nie lubił tego miejsca. Zawsze panował tu hałas, wszędzie kręcili się brudni, ponurzy robotnicy z dolnych pięter i skazańcy z więzienia w Głębokich Trzewiach, którzy wyglądali jeszcze

straszniej. Panujące tu zawsze gorąco przyprawiało go o ból głowy, kichał od zapachu siarki, a od migotania argonowych lamp łzawiły mu oczy. Cech Historyków zawsze pilnował, aby ktoś z jego ludzi znalazł się w Trzewiach, ilekroć Londyn upolował nową ofiarę. Dzisiejszego wieczoru Tom będzie musiał rozmawiać z gburowatymi robotnikami, przypominać im, że wszystkie zdobyte książki i antyki stanowią własność jego cechu, a historia jest równie ważna jak cegły, żelazo i węgiel.

Przecisnął się do wyjścia ze stacji i szybkim krokiem ruszył w stronę magazynu Cechu Historyków. Przeszedł korytarzem, którego zaokrąglone ściany były wyłożone zielonymi kafelkami, a potem przez metalowy pomost przerzucony nad placem Trawiennym. Daleko w dole widział rozrywane na kawałki Salthook, wyglądające teraz całkiem niepozornie, jakby skurczyło się onieśmielone wielkością Londynu. Na ofiarę rzuciły się olbrzymie żółte maszyny, pełzające wokół na gąsienicach, atakujące z góry dźwigami i stąpające po pokładzie miasteczka niczym pająki na hydraulicznych nogach. Koła i osie zostały już zdemontowane i zabierano się do rozkładania podwozia. W budowie na pokładzie wgrzały się wielkie jak diabelskie młyny piły tarczowe, rozsypując dookoła tysiące iskier. Z pieców hutniczych buchały fale gorącego powietrza i nim Tom zdążył zrobić dwadzieścia kroków, pot zmoczył jego czarną tunikę.

Kiedy jednak dotarł na miejsce, okazało się, że może wcale nie będzie tak źle, jak przypuszczał. Salthook nie miało muzeum ani biblioteki, a rzeczy znalezione w sklepikach ze starzyzną pakowano już do skrzyń i wysyłano na górę, na poziom drugi. Jeśli Tomowi będzie sprzyjało szczęście, zostanie wcześniej zwolniony i może uda mu się zobaczyć przynajmniej końcówkę festynu. Zastanawiał się, który mistrz cechu zarządza dzisiaj robotą w Trzewiach. Jeśli stary Arkengarth albo doktor Weymouth, to miał przechlapane – ci dwaj zawsze kazali czeladnikom pracować przez całą zmianę, nawet gdy nie było nic do roboty. Jeśli jednak trafi na Potty Pewtertide albo pannę Plym, może nie będzie tak źle...

Kiedy zbliżył się do biura nadzorcy, zrozumiał, że tego wieczoru

w Trzewiach miał dyżur ktoś znacznie ważniejszy. Na zewnątrz stał zaparkowany błyszczący czarny pojazd z wymalowanym na masce emblematem cechu. Obok wozu prężyło się dwóch groźnie wyglądających mężczyzn w uniformach wysokich funkcjonariuszy cechu. Tom od razu odgadł, kim byli – to Pewsey i Gench, dawni piraci, którzy od dwudziestu lat wiernie służyli głównemu historykowi Londynu i pilotowali jego powietrzny statek, „Winę Na Trzynaste Piętro”, ilekroć wybierał się na ekspedycję.

Valentine! – pomyślał Tom, z trudem powstrzymując się od wpatrywania w luksusowy pojazd, kiedy wchodził po schodkach do biura.

Thaddeus Valentine był bohaterem Toma: padliniarz, który stał się najbardziej znanym londyńskim archeologiem, a także – ku oburzeniu zazdrośników takich jak Pomeroy – głównym historykiem miasta. Tom przylepił nad swoim łóżkiem w internacie jego zdjęcie i znał prawie na pamięć jego książki: Przygody współczesnego historyka oraz Wyludnioną Amerykę – przez martwy kontynent z karabinem i aparatem. Był dumny, że kiedy miał dwanaście lat, Valentine przybył do szkoły wręczyć nagrody na koniec roku. Również Tom otrzymał wtedy z jego rąk nagrodę – za pracę na temat rozpoznawania fałszywych antyków. Chłopak wciąż pamiętał każde słowo wielkiego archeologa: „Nigdy nie zapominajcie, młodzi czeladnicy, że my, historycy, jesteśmy najważniejszym cechem w mieście. Nie zarabiamy tyle, co kupcy, ale tworzymy wiedzę, która jest warta znacznie więcej. Nie wytyczamy drogi dla Londynu, jak Cech Nawigatorów, ale cóż znaczyliby nawigatorzy, gdybyśmy nie uratowali od zniszczenia i zapomnienia starożytnych map? Jeśli zaś chodzi o Cech Inżynierów, nigdy nie zapominajcie, że każda maszyna, którą skonstruowali, została zbudowana na podstawie starożytnej, wysoko rozwiniętej technologii, o której wiemy dzięki kustoszom naszego muzeum i archeologom”.

Tamtego pamiętnego dnia Tom zdołał wykrztusić z siebie tylko niewyraźne „dziękuję” i pośpiesznie wrócił na miejsce. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że Valentine mógł go zapamiętać. Kiedy

jednak otworzył drzwi do gabinetu, wielki archeolog spojrział na niego zza biurka i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Czy to Natsworthy? Chyba mnie wzrok nie myli? Czeladnik, który tak świetnie zna się na rozpoznawaniu falsyfikatów? Będę musiał dzisiaj uważać na siebie, żebyś mnie nie rozszyfrował.

Nie był to może najlepszy dowcip, ale wystarczył, żeby usunąć dystans dzielący zwykle czeladnika od mistrza cechu. Tom śmiało wszedł do gabinetu z notatką od Pomeroya w garści. Valentine wstał i podszedł do chłopca. Był wysokim, przystojnym mężczyzną, dobiegającym czterdziestki, ze szpakowatymi włosami i krótko ostrzyżoną kruczoczną brodą. Jego szare oczy wilka morskiego błyszczały humorem, a trzecie oko – znak Cechu Historyków, błękitne oko, patrzące wstecz na minione dzieje – wydawało się mrugać, gdy unosił pytająco brwi.

– Bójka? A cóż to zrobił czeladnik Melliphant, że zasłużył na śliwę pod okiem?

– Źle się wyraził o mojej mamie i tacie, proszę pana – wymamrotał Tom.

– Rozumiem. – Archeolog pokiwał głową, przyglądając się chłopcu uważnie. Zamiast od razu oddelegować go do jakichś zajęć, zapytał: – Jesteś synem Davida i Rebeki Natsworthych?

– Tak, proszę pana – odparł Tom. – Miałem sześć lat, kiedy wydarzył się wielki przechył... i nie bardzo ich pamiętam.

Valentine znowu pokiwał głową, jego oczy zrobiły się smutne i łagodne.

– Byli dobrymi historykami, Thomasie. Mam nadzieję, że pójdziesz w ich ślady.

– Och, tak, proszę pana! – powiedział Tom. – To znaczy, mam taką nadzieję. – Pomyślał o biednej mamie i tacie, którzy zginęli, gdy zawałiła się część Taniej Dzielnicy. Nikt nigdy nie mówił o nich w ten sposób i Tom poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Miał wrażenie, że może się zwierzyć Valentine'owi ze wszystkiego, i właśnie miał zamiar powiedzieć, jak bardzo brakuje mu rodziców, jaki jest samotny, jakie smutne jest życie czeladnika trzeciej kategorii, kiedy w gabinecie pojawił się wilk.

Był to bardzo duży biały wilk, który dostał się tutaj przez drzwi

prowadzące do magazynu. Gdy tylko zobaczył Toma, podbiegł do niego, szczerząc ostre żółte kły.

– Aaa! – krzyknął Tom, wskazując na najbliższe krzesło. – Wilk!

– Och, bądź grzeczny! – powiedziała dziewczyna, która właśnie pojawiła się w drzwiach. Podeszła do zwierzęcia, pochyliła się nad nim i podrapała je pod brodą. Groźne bursztynowe ślepią zmrużyły się ze szczęścia i Tom usłyszał merdanie ogona, objającego się o ubranie dziewczyny. – Nie bój się – zwróciła się do Toma z uśmiechem. – Jest łagodny jak owieczka.

– Tom – powiedział rozbawiony Valentine – poznaj moją córkę Katherine i Psa.

– Psa? – bąknął zdezorientowany Tom, schodząc z krzesła. Czuł się głupio, ale jednocześnie wciąż bał się zwierzęcia. W pierwszej chwili pomyślał, że bestia uciekła z zoo w Circle Parku.

– To długa historia – zaczął wyjaśniać Valentine. – Katherine mieszkała do piątego roku życia na pokładzie pływającego miasta Puerto Angeles. Potem jej matka umarła, a ją wysłano tutaj, żeby zamieszkała ze mną. Przywiozłem dla niej Psa z ekspedycji w Lodowatych Pustkowiach, ale Katherine nie mówiła wtedy najlepiej po angielsku, poza tym nigdy wcześniej nie słyszała o wilkach, kiedy więc pierwszy raz go zobaczyła, zawołała: „Pies”. I tak już jakoś zostało.

– Jest całkiem łagodny – zapewniła dziewczyna, wciąż uśmiechając się do Toma. – Tata znalazł go, kiedy był jeszcze szczeniakiem. Musiał zastrzelić jego mamę, ale nie potrafił się zmusić, żeby zabić biednego Psa. Pies najbardziej lubi, jak się go głaszcze po brodzie.

Miała długie ciemne włosy, szare oczy swojego ojca i ten sam olśniewający uśmiech. Była ubrana w obcisłe spodnie i luźną tunikę, jakie nosiły w tym sezonie modnisie z Wysokiego Londynu. Tom gapił się na nią oczarowany. Nieraz widywał zdjęcia panny Valentine, ale nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest taka piękna.

– Patrz – zawołała – polubił cię!

Pies podszedł do Toma i zaczął obwąchiwać jego czarną szatę. Zamerdał ogonem i oblizał mu palce różowym jęzorem.

– Jeżeli Pies akceptuje jakichś ludzi, zwykle się zdarza, że i ja mogę ich polubić. Więc przedstaw nas sobie jak należy, tato!

Valentine roześmiał się.

– W porządku. Kate, to jest Tom Natsworthy, który został tu przysłany do pomocy. I jeśli twój wilk już z nim skończył, musimy mu pozwolić zająć się pracą. – Poklepał Toma dobrodusznie po ramieniu. – Chociaż nie ma wiele do zrobienia. Po prostu rozejrzemy się jeszcze raz po placu Trawiennym, a potem... – Zerknął na pismo od Pomeroya, podarł je na strzępy i wyrzucił do kosza. – A potem możesz iść.

Tom nie był pewien, co bardziej go zaskoczyło – czy to, że Valentine chciał go wcześniej puścić, czy to, że sam wybierał się na plac. Mistrzowie cechu zwykle woleli siedzieć w biurze, a do brudnej roboty posyłali czeladników. Jednak Valentine odsunął połą czarnej szaty, wetknął długopis do kieszeni kamizelki i ruszył do wyjścia. Stał w drzwiach i uśmiechnął się do Toma.

– No to chodźmy – powiedział. – Im szybciej zacniemy, tym szybciej będziemy mogli dołączyć do świętujących w ogrodach Kensington...

Minęli magazyny i zeszli krętymi metalowymi schodkami na plac Trawienny, gdzie Salthook z minuty na minutę robiło się coraz mniejsze i mniejsze. Z miasteczka pozostał tylko stalowy szkielet, a maszyny właśnie rozrywały go na kawałki, które transportowano do pieców hutniczych. Równocześnie sterty cegieł, drewna, soli i węgla ładowano na pasy transmisyjne, które niosły je w stronę serca Trzewi, a gangi zbieraczy złomu rozkradały meble i żywność.

Zbieracze złomu byli prawdziwymi władcami tej części Londynu i doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Sprężystym krokiem przemierzali wąskie uliczki i korytarze Trzewi, wypinając dumnie nagie, spocone torsy i patrząc na innych przechodniów zza przyciemnionych gogli. Tom zawsze się ich bał, ale Valentine powitał ich serdecznie i zapytał, czy nie zauważyli pośród łupów czegoś, co mogłoby zainteresować

muzeum. Od czasu do czasu zatrzymywał się, aby wymienić z którymś z nich kilka słów, pożartować, zapytać o rodzinę – i za każdym razem przedstawiał rozmówcom „swego kolegę, pana Natsworthy’ego”. Tom rósł z dumy. Ponieważ Valentine traktował go z szacunkiem, również zbieracze złomu odnosili się do niego w ten sposób: zdejmowali z głów brudne czapki, uśmiechali się i mówili, jak się nazywają. Wydawało się, że wszyscy mają na imię Len albo Smudger.

– Nie słuchaj tego, co o tych ludziach mówią w muzeum – rzekł Valentine, gdy jeden z Lenów prowadził ich w stronę skrzyni, do której odłożono antyki. – To, że mieszkają głęboko w Trzewiach i mówią z innym akcentem, nie znaczy, że są głupi. Lubię tu przychodzić, kiedy pracują. Nieraz zbieracze złomu i padliniarze znajdują przedmioty, jakich historycy w ogóle by nie zauważyli...

– Tak jest, proszę pana – zgodził się Tom, zerkając na Katherine. Bardzo chciał wywrzeć dobre wrażenie na głównym historyku i jego pięknej córce. Gdyby tylko udało mu się znaleźć jakiś ciekawy fragment starej technologii wśród tych śmieci, coś, co sprawi, że go nie zapomną, gdy wrócą do luksusów Wysokiego Londynu. Inaczej po wspólnym spacerze w Trzewiach już nigdy ich nie zobaczy.

Podbiegł do skrzyni i zajrzał do środka. Czasem coś ze starej technologii pojawiała się w małomiasteczkowych sklepach z antykami albo wśród bibelotów na kominkach wiekowych dam. Gdyby tak na przykład udało się odnaleźć szczątki któregoś z legendarnych, owianych tajemnicą przedmiotów – cięższej od powietrza maszyny latającej albo makaronu! Nawet jeśli nie byłoby to coś, co przydałoby się Cechowi Inżynierów, i tak mogłoby się znaleźć w muzealnej gablotce z tabliczką informującą:

ZNALEZISKO T. NATSWORTHY’EGO.

Z nadzieją spojrział na stos rzeczy w skrzyni: kawałki plastiku, części lamp, rozpląszczony pojazd naziemny dla zaledwie kilku osób... Jego wzrok przykuło niewielkie metalowe pudełeczko.

Kiedy je wyciągnął i otworzył, zobaczył własną twarz, odbitą w srebrzystym plastikowym dysku.

– Panie Valentine! Proszę spojrzeć! CD!

Valentine sięgnął do pudełka, wyjął dysk i obrócił go w palcach.

– Zgadza się – oznajmił Valentine. – Starożytni używali ich w komputerach jako nośników informacji.

– Czy to może być coś ważnego? – spytał z nadzieją Tom.

Archeolog pokręcił głową.

– Przykro mi, Thomasie. Ludzie w dawnych czasach mieszkali co prawda w nieruchomych miastach, ale ich elektroniczne maszyny znacznie przewyższały wszystko, co potrafią skonstruować londyńscy inżynierowie. Nawet jeśli na tym dysku jest zapisane coś ważnego, to i tak nie zdołamy tego odczytać. Ale zatrzymaj go na wszelki wypadek.

Valentine odwrócił się, a Tom włożył CD do pudełeczka i schował do kieszeni. Katherine wyczuła chyba jego rozczarowanie, bo wzięła go za rękę i powiedziała:

– Wszystko, co przetrwało tyle tysięcy lat, jest godne uwagi. Bez względu na to, czy może się przydać inżynierom, czy nie. Mam naszyjnik zrobiony z dysków komputerowych... – Uśmiechnęła się. Była tak piękna, jak dziewczyny z jego marzeń, ale miłsza, bardziej przystępna.

W skrzyni nie znaleźli już niczego, co przedstawiałoby jakąkolwiek historyczną wartość. Salthook było miasteczkiem zbyt zajęтым wydobywaniem soli, by tracić czas na grzebanie w przeszłości. Zamiast jednak wrócić do magazynu, Valentine poprowadził Toma i Katherine po schodkach na górę, a potem przez wąski mostek aż do budynku administracji, przed którym stali w kolejce niedawni mieszkańcy Salthook, by podać swoje nazwiska urzędnikowi, który miał im przydzielić miejsca w schroniskach i zakładach pracy Londynu.

– Nawet jak nie jestem na służbie – wyjaśnił Valentine – kiedy tylko coś złapiemy, przychodzę spotkać się z padliniarzami, zanim zdążą sprzedać swoje znaleziska sklepikarzom z piątego poziomu i wrócą na ziemię.

Na pokładzie schwytanych miasteczek zawsze byli jacyś

padliniarze – bezdomni włóczędzy, którzy pieszo przemierzali Teren Polowań w poszukiwaniu kawałków starej technologii i złomu. Salthook nie stanowiło wyjątku. Na końcu długiej kolejki byłych mieszkańców górniczego miasteczka stała grupka ludzi w długich zniszczonych płaszczach, z gogłami i maskami przeciwpływowymi na szyjach.

Jak większość londyńczyków Tom z obrzydzeniem myślał o ludziach, którzy mieszkali na gołej ziemi. Przystanął z tyłu razem z Katherine i Psem, a Valentine poszedł porozmawiać z padliniarzami, którzy otoczyli go ciasnym kółkiem. Tylko jedna osoba trzymała się na uboczu. Tom miał wrażenie, że to dziewczyna, chociaż twarz miała zasłoniętą czarną chustą, jak u pustynnych nomadów. Stał obok niej. Tymczasem Valentine przedstawił się padliniarzom i zapytał:

– No i co? Znaleźliście coś, co mógłby kupić Cech Historyków?

Niektórzy pokręcili głowami, a inni zaczęli szperać w wielkich torbach. Dziewczyna w czarnej chuście wsunęła rękę pod płaszcz.

– Ja mam coś dla ciebie, Valentine – szepnęła.

Tylko Tom i Katherine ją usłyszeli. Kiedy odwrócili się do niej z zaciekawieniem, skoczyła nagle do przodu, wyszarpując spod płaszczu długi sztylet o cienkim ostrzu.

3. ZSYP NA ŚMIECI

Katherine krzyknęła, Pies warknął. Obca dziewczyna zawahała się przez moment. Tom wykorzystał okazję i chwycił ją za ramię. Syknęła, wyrwała się z uścisku, upuściła sztylet i pobiegła w kierunku pomostu.

– Zatrzymać ją! – krzyknął Valentine, rzucając się w pogoń, ale tłum przerażonych uchodźców zagroził mu drogę. Kilku padliniarzy wyciągnęło broń. Nagle pojawił się policjant.

– W Londynie nie wolno posiadać broni! – zawołał.

Między głowami padliniarzy Tom dostrzegł w dali ciemną sylwetkę na tle buchających kotłów. Dziewczyna zdążyła przebiec na drugą stronę pomostu i zwinnie wspinała się już po drabinie na wyższy poziom. Tom popędził za nią. O mało nie złapał jej za kostkę, gdy wdrapywała się na górny pokład. Spóźnił się o ułamek sekundy. Wtem usłyszał świst strzały. Obejrzał się za siebie. Dwaj kolejni policjanci z kuszami przeciskali się przez tłum. Katherine i Valentine stali z tyłu i patrzyli na niego.

– Nie strzelać! – krzyknął. – Złapię ją!

Nie tracąc czasu, puścił się znowu w pogoń. Za wszelką cenę pragnął schwytać niedoszłą zabójczynię. Czuł, jak serce wali mu z podniecenia. Po tych wszystkich nudnych latach spędzonych na marzeniu o przygodach nagle trafia się okazja przeżycia czegoś niezwykłego! Już udało mu się ocalić życie pana Valentine'a! Już jest bohaterem!

Dziewczyna biegła labiryntem pomostów w stronę maszynowni. Tom – mając nadzieję, że Katherine wciąż go widzi – popędził za nią. Pomost rozwidlił się i zwęził, poręcze znajdowały się teraz nie dalej niż pół metra od siebie. Prace na placu Trawiennym trwały, jak gdyby nic się nie stało; nikt nie zauważył dramatycznych wydarzeń na wyższym poziomie. Tom zanurzył się w kłęby gęstej, gorącej pary. Dziewczyna biegła kilka metrów przed nim. Czarna chusta zaczepiła się o wystający pręt i

spadła jej z twarzy. Miała długie włosy, lśniące w pomarańczowym świetle pieców jak miedź. Czy jest ładna? Piękna skrytobójczyni z Ligi Antymobilistów? Minął powiewając na wietrze chustę i pobiegł dalej, dysząc ciężko. Zbiegł po krętych, przyprawiających o zawroty głowy schodkach, śmignął między pasami transmisyjnymi, minął wielkie kuliste zbiorniki z paliwem. Grupa pracujących więźniów obejrzała się ze zdziwieniem za dziewczyną, gdy przebiegła obok.

– Zatrzymać ją! – wrzasnął Tom, lecz oni tylko stali z szeroko otwartymi ustami. Minął ich, ale gdy się obejrzał, zobaczył, że czeladnik inżynierów, który nadzorował skazańców, dołączył do pościgu. Tom od razu pożałował, że zawołał o pomoc. Nie miał zamiaru oddawać zwycięstwa jakiemuś głupiemu inżynierkowi. Wytężył resztę sił i przyśpieszył. Koniecznie musiał sam złapać tę dziewczynę.

Drogę przed nimi zagradzała zardzewiała barierka wokół zsyphu na śmieci. Dziewczyna zwolniła na chwilę, zastanawiając się, w którą stronę skręcić. Tomowi udało się zbliżyć do niej na tyle, że wyciągnął rękę i złapał jej plecak. Dziewczyna stanęła i odwróciła się do Toma. Wreszcie w czerwonym żarze z pieców zobaczył, jak wyglądała.

Była mniej więcej w tym samym wieku co on. Od czoła aż po brodę miała okropną bliznę. Jej twarz przypominała portret namalowany przez artystę wściekłego na cały świat: usta miała wykrzywione w ustawicznym grymasie pogardy, nos wyglądał jak zmiażdżony. Z tej pokiereszowanej twarzy patrzyło na niego jedno jedyne oko, szare i zimne, jak północne morze.

– Dlaczego nie dałeś mi go zabić? – syknęła.

Był w takim szoku, że nie potrafił wykrztusić słowa. Stał jak wryty, gdy dziewczyna podniosła z ziemi plecak i zaczęła znowu uciekać. Za jego plecami słychać już było policyjne gwizdki, posypały się strzały z kusz. Dziewczyna upuściła plecak i upadła, wykrzykując wulgarne przekleństwo. Tom nie miał pojęcia, że dziewczyny znają takie słowa.

– Nie strzelać! – zawołał, machając w stronę policjantów. Stali u podnóża krętych schodków piętro niżej i strzelali na oślep, nie

przejmując się tym, że mogą go trafić. – Nie strzelać!

Dziewczyna podniosła się z wysiłkiem. Jedna ze strzał utkwiała jej w nodze tuż ponad kolaniem. Chwyciła się za udo, między palcami sączyła się krew. Dysząc ciężko i stękając, dokuśtykała do zsypu i wychyliła się przez barierkę.

– Nie! – krzyknął Tom, widząc, co zamierzała zrobić. Już nie czuł się jak bohater. Teraz po prostu było mu żal tej biednej brzyduli, czuł się winny, że przez niego znalazła się w pułapce. Wyciągnął ku niej rękę, powstrzymując ją od skoku.

– Nie mogłem pozwolić, żebyś skrzywdziła pana Valentine’a! – zawołał, przekrzykując hałasy w głębi Trzewi. – To dobry człowiek... miły, odważny, wspomniały...

Dziewczyna wychyliła się w jego stronę, pokazując szpetną, pozbawioną nosa twarz.

– Przyjrzyj mi się! – powiedziała wykrzywionymi ustami. – Zobacz, co zrobił mi twój dzielny, miły Valentine!

– Jak to?

– Zapytaj go! – krzyknęła. – Zapytaj, co zrobił Hester Shaw!

Policjanci zbliżali się coraz bardziej. Tom słyszał stukot ich butów o metalową podłogę. Dziewczyna spojrzała w ich kierunku i, jęcząc z bólu, przełożyła zranioną nogę przez barierkę.

– Nie! – zawołał błagalnym głosem.

Było już jednak za późno. Jej stary, długi płaszcz załopotał w powietrzu i dziewczyna zniknęła. Tom podbiegł do barierki. Wychylił się, zaglądając w głąb mrocznego zsypu. Uderzyła go fala chłodnego powietrza, pachnącego wilgotną ziemią i miażdżonymi roślinami; zapach ziemi pod gąsienicami rozpędanego miasta.

– Nie!

Skoczyła! Zeskoczyła z pokładu na ziemię, na pewną śmierć! Hester Shaw. Będzie musiał zapamiętać to imię i zmówić w jej intencji modlitwę w świątyni któregoś z wielu londyńskich bogów.

Z oparów dymu wyłoniły się jakieś postaci. Policjanci szli naprzód ostrożnie niczym kraby, a przed nimi biegł Valentine. W

mroku pod zbiornikiem dostrzegł patrzącego na niego w osłupieniu młodego inżyniera. Tom stał jak sparaliżowany. Chwilę później owiał go gęsty dym, zasłaniając wszystko dookoła.

– Tom! Nic ci nie jest? – spytał Valentine, podbiegając do niego.
– Gdzie ona jest? Gdzie ta dziewczyna?

– Nie żyje – odparł apatycznie Tom.

Valentine stanął przy zsypie i spojrział w dół. Na jego twarzy malował się strach, a oczy płonęły dziwnym blaskiem.

– Widziałeś ją, Tom? Miała bliznę?

– Tak – odparł chłopak, zastanawiając się, skąd Valentine mógł o tym wiedzieć. – Wyglądała okropnie! Miała tylko jedno oko, a jej nos... Powiedziała... – Zawahał się, nie wiedząc, czy powinien powtarzać panu Valentine'owi oczywiste kłamstwa szalonej dziewczyny. – Powiedziała, że nazywa się Hester Shaw.

– Wielki Quirke'u! – warknął Valentine, a Tom odruchowo cofnął się i zmrużył powieki, żałując swoich słów. Kiedy jednak znowu otworzył oczy, Valentine uśmiechał się do niego przyjaźnie. – Nie martw się, Tom – powiedział. – Przykro mi...

Tom poczuł na ramieniu dużą, łagodną dłoń, a potem – nie wiedział, jak to się stało – nagle coś go popchnęło i poleciał przez barierkę w dół zsypu, tak jak Hester Shaw. Wypchnął mnie! – pomyślał, spadając w mrok, czując raczej zdziwienie niż strach.

4. ZEWNĘTRZE

Cisza. Nie potrafił jej pojąć. Nawet gdy Londyn stał w miejscu, zawsze słycać było szum wentylatorów, odległe buczenie i zgrzytanie wind, chrapanie śpiących obok czeladników. Ale teraz – cisza. Bolała go głowa. Właściwie wszystko go bolało. Łóżko też było jakieś dziwne, a kiedy ruszył ręką, poczuł pod palcami coś mokrego i zimnego, kleistego jak...

Błoto! Aż usiadł z wrażenia. Zdał sobie sprawę, że nie znajduje się w sypialni czeladników trzeciej kategorii. Leżał na wielkiej kupie błota nad głębokim rowem. W perłowoszarym świetle poranka zobaczył siedzącą nieopodal dziewczynę z pokiereszowaną twarzą. Koszmarny sen, że wpada do zsypu, okazał się prawdą: spadł z pokładu Londynu i został sam na sam z Hester Shaw. Na gołej ziemi!

Jęknął z przerażenia. Dziewczyna spojrzała na niego przelotnie i szybko odwróciła głowę.

– Więc jednak żyjesz – powiedziała. – Myślałam, że wykitowałeś. – Ton jej głosu sugerował, że mało ją to obchodzi.

Tom stanął na czworakach, tak, że tylko jego kolana, stopy i dłonie dotykały błota. Kiedy przyjrzał się sobie lepiej, stwierdził, że jest goły od pasa w górę. Jego płaszcz leżał w błocie, ale nie potrafił odnaleźć koszuli. Dopiero kiedy doczołgał się do dziewczyny z blizną, spostrzegł, że jest zajęta darcie jego koszuli na pasy, którymi następnie bandażowała zranioną nogę.

– Hej! – zawołał. – To jedna z moich najlepszych koszul!

– I co z tego? – odpowiedziała, nie podnosząc wzroku. – To jedna z moich najlepszych nóg.

Tom nałożył na siebie płaszcz – był brudny, poszarpany i nie chronił najlepiej przed mroźnym powietrzem. Skulił się, drżąc z zimna. To Valentine mnie zepchnął! Popchnął mnie i zleciałem przez zsyp do Zewnętrzza! Nie, nie mógł tego zrobić. Pewnie sam się pośliznąłem, a on mnie chwycił i próbował uratować.

Hester Shaw skończyła bandażować nogę. Wstała, krzywiąc się z bólu, i włożyła brudne, sztywne od krwi spodnie. Potem rzuciła Tomowi to, co zostało z jego koszuli – marną szmatę.

– Powinieneś dać mi go zabić – powiedziała i z wyraźną złością pokuśtykała w górę wału błota.

Dopiero gdy zniknęła po drugiej stronie, Tom zdał sobie sprawę z tego, że nie chce zostać sam; wołał każde towarzystwo od tej ciszy.

Odrzucił podartą koszulę i pobiegł za dziewczyną, ślizgając się po błocie, potykając o wyrwane z ziemi korzenie i kamienie. Głęboki, stromy rów ział ciemnością po jego lewej stronie, a kiedy dotarł do szczytu wzniesienia, stwierdził, że to tylko jeden z setek podobnych żlebów – wielki ślad Londynu. Daleko, daleko przed sobą zobaczył swoje miasto ciemniejące na tle porannego nieba, otoczone dymem z własnych silników. Poczł nagły przypływ tęsknoty za domem. Wszyscy, których znał, zostali na pokładzie tej oddalającej się góry. Wszyscy oprócz Hester, która energicznie kuśtykała na wschód.

– Czekaj! – zawołał Tom, na wpół biegnąc, na wpół czołgając się w jej kierunku. – Hester! Panno Shaw!

– Odczep się ode mnie! – warknęła.

– Ale dokąd idziesz?

– Muszę wrócić do Londynu – odparła. – Znalezienie go zajęło mi dwa lata. Przedzierałam się pieszo przez Zewnętrzne, wskakiwałam na pokłady małych miasteczek, mając nadzieję, że Londyn je pożre. A kiedy w końcu udało mi się tam dostać i znaleźć Valentine'a, który zszedł do Trzewi, tak jak mówili padliniarze, co się stało? Przeszkodził mi jakiś kretyn! Gdyby nie ty, Valentine byłby trupem, a ja mogłabym umrzeć spokojnie!

Tom nie zdołał powstrzymać łez napływających do oczu. Nie chciał wyjść na bekę, ale nie mógł na to nic poradzić; szok po tym, co się stało, myśł, że został porzucony na tym odludziu, były ponad jego siły. Łzy pociekły mu po policzkach, żłobiąc białe kanaliki w błocie, którym był oblepiony.

Hester znieruchomiała. Zaczęła mu się przypatrywać, jakby nie była pewna, co się z nim dzieje.

– Płaczesz! – powiedziała w końcu łagodnym, a jednocześnie zdziwionym głosem.

– Przepraszam – chrząknął.

– Ja nigdy nie płaczę. Nie potrafię. Nie płakałam nawet wtedy, kiedy Valentine zamordował moich rodziców.

– Co? – wymamrotał łamiącym się głosem Tom. – Pan Valentine nigdy by czegoś takiego nie zrobił! Katherine powiedziała, że nie potrafił nawet zastrzelić małego wilczka. Kłamiesz!

– To niby jak się tu znalazłeś? – zapytała z drwiną. – Wypchnął cię zaraz po mnie, prawda? Tylko dlatego, że mnie widziałeś.

– Kłamiesz! – nie dawał za wygraną Tom. Po chwili jednak przypomniał sobie pchającą go wielką rękę, przypomniał sobie, jak spadał, i ten dziwny błysk w oczach archeologa.

– No i co? – zapytała Hester.

– Popchnął mnie! – wyszeptał Tom.

Hester Shaw tylko wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „A nie mówiłam? Widzisz, jaki jest naprawdę?” A potem odwróciła się, chcąc odejść.

Tom pobiegł za nią.

– Pójdę z tobą! Też muszę wrócić do Londynu! Pomogę ci!

– Ty? – roześmiała się chrypliwie, a potem splunęła w błoto pod jego stopami. – Myślałam, że jesteś wielbicielem Valentine’a. A teraz chcesz mi pomóc go zabić?

Tom pokręcił głową. Nie wiedział, czego chce. Podświadomie wciąż miał nadzieję, że to jakieś nieporozumienie, że Valentine jest dobry, dzielny i miły. Z całą pewnością nie życzył mu śmierci, poza tym nie chciał osierocić biednej Katherine... Musiał jednak jakoś dostać się z powrotem do Londynu, a nie mógł tego dokonać sam. Poza tym czuł się odpowiedzialny za Hester Shaw. Mimo wszystko to przez niego została ranna.

– Pomogę ci iść – powiedział. – Jesteś ranna. Potrzebujesz mnie.

– Nikogo nie potrzebuję – odparła gniewnie.

– Razem dogonimy Londyn – obiecał. – Jestem członkiem Cechu Historyków. Posłuchaj mnie. Jeżeli Valentine rzeczywiście zabił twoich rodziców, prawo się nim zajmie!

– Prawo? – prychnęła. – W Londynie Valentine stanowi prawo.

Jest ulubieńcem lorda burmistrza, prawda? I Wielkim Mistrzem Cechu Historyków! Pozbędzie się mnie, chyba że mnie uda się go zabić wcześniej. Ciebie też pewnie zabije.

Słońce wznosiło się coraz wyżej, nad błotem zaczęła się unosić delikatna mgiełka. Londyn wciąż się od nich oddalał. Gdzie mu tak śpieszno? Zazwyczaj po pożarciu łupu zatrzymywał się na kilka dni.

Dziewczyna potknęła się i upadła. Tom pomógł jej wstać. Nie podziękowała mu, ale i go nie odepchnęła. Potem razem poszli wzdłuż błotnego wału, podążając śladami zmierzającego na wschód Londynu.

5. LORD BURMISTRZ

Sto pięćdziesiąt kilometrów dalej słońce świeciło na Circle Park – pięknie zadbane trawniki i rabatki okalające pierwszy pokład. Słońce odbijało się w czystej wodzie stawów, lśniło na kropkach rosy pokrywających dróżki i srebrzyste iglice Domu Klio – siedziby Valentine’a, stojącej wśród ciemnych cedrów na skraju parku niczym gigantyczna muszla wyrzucona na brzeg przez wzburzone morze.

Katherine obudziła się w sypialni na najwyższym piętrze. Leżała w łóżku i przypatrywała się promieniom słońca przedzierającym się przez żaluzje wykonane ze skorup żółwi. Początkowo sama nie wiedziała, dlaczego jest jej tak smutno.

Potem przypomniała sobie ubiegły wieczór i to, jak ten biedny, miły czeladnik rzucił się w pogoń za zamachowcem i zginął. Pobiegła za tatą, ale kiedy zatrzymała się przy zsypie, było już po wszystkim. Jakiś młody czeladnik inżynierów odchodził właśnie, błady jak gumowe ubranie, które nosił. Tata stał w otoczeniu policjantów, zdenerwowany i ponury. Nigdy dotąd nie widziała go takim. Nigdy przedtem nie mówił do niej takim ostrym tonem jak wtedy, gdy kazał jej natychmiast wracać do domu.

Chciała zawinąć się w kołdrę i znowu zasnąć. Musiała go jednak zobaczyć i upewnić się, że nic mu nie jest. Wstała więc i włożyła na siebie wczorajsze, cuchnące Trzewiami ubranie.

Za drzwiami jej sypialni korytarz opadał łagodną spiralą. Dziewczyna ruszyła pośpiesznie na dół, zatrzymując się na chwilę z czią przed posągiem bogini historii Klio, ustawionym w niszy przy wejściu do jadalni. W innych niszach znajdowały się skarby, które jej ojciec poprzywoził z ekspedycji: jakieś skorupy, fragmenty klawiatur komputerowych i rdzewiejące czaszki Łowców, tych dziwnych półmechanicznych żołnierzy zapomnianej wojny. Ich potłuczone szklane oczy wpatrywały się w nią surowo, gdy schodziła na parter.

Ojciec pił kawę w atrium – wielkiej, otwartej przestrzeni pośrodku domu. Wciąż ubrany w szlafrok, z poważną miną przechadzał się tam i z powrotem. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby domyśliła się, że nie spał całą noc.

– Tato – zapytała – co się stało?

– Och, Kate! – Podszedł do niej i objął ją czule. – Co za noc!

– Biedny chłopak – westchnęła Katherine. – Biedny Tom! Może... coś... znaleźli?

Valentine pokręcił głową.

– Ta dziewczyna pociągnęła go za sobą, kiedy skoczyła. Oboje musieli utonąć w błocie albo zostali zmiażdżeni gąsienicami Londynu.

Katherine westchnęła i usiadła na brzegu stołu, nawet nie zauważając tego, że Pies podbiegł do niej i złożył wielki łeb na jej kolanie. Biedny Tom! Był taki uroczy, tak bardzo chciał im pomóc. Naprawdę go polubiła. Nawet zastanawiała się, czy nie poprosić ojca, żeby zlecił mu pracę w Domu Klio. W ten sposób mogłaby go lepiej poznać. Ale teraz nie żył, jego dusza przeniosła się do świata, w którym nigdy nie świeci słońce, jego martwe ciało leżało w zimnym błocie gdzieś w Zewnętrzzu.

– Lord burmistrz jest niezadowolony, że skrytobójca pojawił się na pokładzie Londynu już pierwszego dnia, gdy tylko znaleźliśmy się na Terenie Polowań – odezwał się ojciec, zerkając na zegar. – Przychodzi dzisiaj, żeby ze mną porozmawiać. Posiedzisz tu? Możesz zjeść moje śniadanie. Na stole jest kawa, rogaliki i masło. Ja nie mam apetytu.

Katherine też nie miała ochoty na jedzenie, ale spojrzała na stół i zobaczyła leżący na nim zniszczony skórzany plecak. Był to plecak, który tajemnicza dziewczyna porzuciła wczoraj w Trzewiach. Obok widniała jego zawartość, niczym eksponaty z muzeum: blaszany bidon na wodę, apteczka, kawałek rzemyka, kilka kawałków suszonego mięsa, które wyglądało na twardsze od skóry buta, oraz wymięty kawałek papieru z przyklejonym zdjęciem. Katherine wzięła go do ręki. Był to dowód tożsamości, wydany przez miasto Strole – brudny, wyblakły i rozpadający się w miejscu zgięcia. Nim zdążyła przeczytać dane, jej wzrok padł

na fotografię. Mimo woli wstrzymała oddech.

– Tato! Spójrz na jej twarz! – jęknęła.

Valentine odwrócił się i wyrwał papier z jej rąk.

– Nie, Kate! – krzyknął ze złością. – Nie patrz na to! Nikt nie powinien na to patrzeć...

Wyciągnął zapalniczkę i ostrożnie podpalił róg kartki. Kiedy dokument spłonął, zamieniając się w pomarszczoną, powyginaną kupkę popiołu, Valentine wstał i znowu zaczął się nerwowo przechadzać po atrium. Katherine siedziała w milczeniu, przypatrując mu się z niepokojem. Przez dziesięć lat pobytu w Londynie przyzwyczała się do myśli, że Valentine jest nie tylko jej tatą, ale także najlepszym przyjacielem. Lubili te same rzeczy, śmiali się z tych samych dowcipów i nigdy nie mieli przed sobą tajemnic. Teraz jednak miała wrażenie, że ojciec ukrywa przed nią, co wie o tej nieszczęsnej dziewczynie. Nigdy nie widziała go tak zdenerwowanego.

– Kto to jest, tato? – spytała. – Poznałeś ją w trakcie jednej ze swoich ekspedycji? Jest taka młoda i taka... Co się stało z jej twarzą?

Usłyszeli odgłosy kroków. Chwilę później w drzwiach stanął Pewsey.

– Idzie lord burmistrz, szefie.

– Już?

– Gench właśnie widział lorda burmistrza jadącego przez park. Podobno nie wyglądał na zadowolonego.

Valentine również nie krył niezadowolenia. Chwytał szaty, które wisiały na oparciu krzesła, i zaczął się przebierać. Katherine podeszła, żeby mu pomóc, ale niecierpliwym ruchem ręki dał jej do zrozumienia, że sobie tego nie życzy. Pocałowała go więc tylko lekko w policzek i wyszła pośpiesznie z Psem u boku. Przez wielkie owalne okna w salonie zobaczyła podjeżdżający do Domu Klio biały służbowy pojazd. Biegł przed nim oddział żołnierzy, ubranych w jaskrawoczerwone pancerze. Byli to wołożercy¹,

¹ beefeaters (ang.) – tradycyjna nazwa strażników londyńskiego zamku Tower. Ich zadaniem była początkowo ochrona zamku strategicznie ważnego dla Korony, bo osadzano w nim więźniów i przechowywano angielskie

przyboczna straż lorda burmistrza. Rozbiegli się po trawniku i stanęli na baczność w wyznaczonych miejscach. Wyglądali jak wielkie, brzydkie rzeźby. Kiedy pojazd zatrzymał się, Gench i jeden ze służących podbiegli, aby otworzyć jego przezroczyłą pokrywę. Lord burmistrz wysiadł z wozu i energicznym krokiem poszedł w kierunku drzwi.

Magnus Crome był władcą Londynu od prawie dwudziestu lat, ale wciąż jeszcze nie wyglądał jak lord burmistrz. Burmistrzowie, których Katherine знаła z książek historycznych, byli grubsiutcy, rumiani i jowialni; Crome był chudy jak szczapa i ponury jak śmierć. Nie nosił nawet szkarłatnych szat, którymi chełpili się poprzedni ojcowie miasta. Wciąż ubierał się w biały gumowy płaszcz, a na czole miał wytatuowane czerwone koło – znak Cechu Inżynierów. Poprzedni burmistrzowie usuwali znaki macierzystych cechów, aby w ten sposób podkreślić, że służą całemu Londynowi. Wszystko uległo zmianie, gdy do władzy doszedł Crome. Nawet ci, którzy twierdzili, że nie przystoi jednocześnie piastować urzędu burmistrza i głównego inżyniera, musieli przyznać, że Crome dobrze wywiązuje się ze swoich zadań.

Katherine nie przepadała za nim. Nigdy go nie lubiła, chociaż był taki miły dla jej taty, i nie miała ochoty spotykać się z nim tego poranka. Gdy tylko usłyszała dźwięk otwieranych drzwi, wybiegła na korytarz i przywołała do siebie Psa. Zatrzymała się jednak w niewielkiej alkowie za pierwszym zakrętem. Podejrzewała, że ojciec ma jakieś kłopoty, i nie zamierzała pozwolić, by taił przed nią prawdę, jakby wciąż była małą dziewczynką.

Po kilku sekundach zobaczyła w drzwiach Gencha.

– Tędy, lordzie burmistrzu – wymamrotał, miętosząc w rękach czapkę, i ukłonił się uniznienie. – Proszę uważać na próg, wasza lordowska mość.

W drzwiach pojawił się Crome. Przystanął na chwilę, rozglądając się na boki w jakiś dziwny sposób, niczym gad. Katherine poczuła chłód jego zimnych oczu. Przywarła mocno do insygnia koronne (przyp. wyd.).

ściany, posyłając modły do Quirke'a i Klio, aby jej nie zauważył. Przez moment słyszała tylko jego oddech i skrzypienie gumowego płaszcza. Potem Gench wprowadził go do atrium. Niebezpieczeństwo minęło.

Trzymając Psa za obrożę, podkradła się z powrotem do drzwi. Usłyszała głos ojca i wyobraziła sobie, że stoi przy ozdobnej fontannie, podczas gdy Gench i Pewsey wskazują burmistrzowi krzesło. Valentine powiedział coś o ładnej pogodzie, ale Crome przerwał mu w połowie zdania.

– Przeczytałem twój raport o wczorajszych zajściach, Valentine. Zapewniałeś, że sprawa całej rodziny została załatwiona.

Odskoczyła od drzwi jak oparzona. Jak ten staruch śmie mówić do ojca w ten sposób! Już nie chciała niczego słuchać, lecz ciekawość okazała się w końcu silniejsza i Katherine przywarła znowu do framugi.

– ...duch z mojej przeszłości – powiedział tata. – Nie pojmuję, jak udało się jej uciec. Quirke jeden wie, jakim sposobem zrobiła się taka waleczna i sprytna. Ale teraz nie żyje. Tak jak chłopak, który ją złapał, biedny Natsworthy...

– Jesteś tego pewien?

– Wypadli z miasta, Crome.

– To jeszcze nic nie znaczy. Jedziemy po miękkim gruncie. Mogli przeżyć. Powinieneś być posłać ludzi, żeby to sprawdzili. Pamiętaj, że nie wiemy, ile dziewczyna wiedziała o pracy matki. Gdyby powiedziała innemu miastu, że mamy Meduzę, nim jej użyjemy...

– Wiem, wiem – powiedział z irytacją Valentine i Katherine usłyszała skrzypnięcie krzesła, na którym usiadł. – Wezmę „Winę Na Trzynaste Piętro” i postaram się odszukać ciała...

– Nie – odparł nieznoszącym sprzeciwu głosem Crome. – Mam dla ciebie inne zadanie. Chcę, żebyś poleciał naprzód i zobaczył, co się dzieje na drodze między Londynem a jego celem.

– Ależ, Crome! To robota dla sztabu i statków zwiadowczych...

– Nie – uciął ostro lord burmistrz. – Nie chcę, żeby zbyt wiele osób wiedziało, dokąd prowadzimy miasto. Londyńczycy dowiedzą się tego dopiero we właściwym czasie. Chodzi o

zadanie, które mogę powierzyć tylko tobie.

– A co z dziewczyną? – zapytał Valentine.

– Nie zawracaj sobie tym głowy – odparł lord burmistrz. – Wysłałem agenta, który na pewno ją wysledzi i dokończy robotę, którą schrzaniłeś. Przygotuj się do podróży na wschód, Valentine.

Spotkanie dobiegło końca. Katherine usłyszała, jak Crome szykuje się do wyjścia. Pobiegła korytarzem na górę, nim drzwi z atrium zdążyły się otworzyć. Myśli w jej głowie wirowały szybciej niż bęben maszyny piorzącej, która stała w głównej sali londyńskiego muzeum.

Po powrocie do pokoju usiadła na łóżku i zaczęła się zastanawiać nad tym, co podsłuchiwała. Myślała, że uda jej się rozwiązać zagadkę, ale zamiast tego poczuła, że wszystko robi się jeszcze bardziej tajemnicze. Tylko jednego była pewna – ojciec coś przed nią ukrywał. Nigdy przedtem nie miał przed nią tajemnic. Zawsze o wszystkim jej mówił, pytał o radę, a teraz szeptał z lordem burmistrzem o zeszpeconej dziewczynie, która była „duchem z jego przeszłości”, i o jakimś agencie wysłanym, aby ją odnaleźć i... co zrobić? Czy to możliwe, że Tom i skrytobójczyni przeżyli? I dlaczego lord burmistrz wysłał ojca na zwiad w jakiejś tajemniczej sprawie? Dlaczego nie chce nikomu mówić, dokąd zmierza Londyn? I co to za Meduza?

6. SPEEDWELL

Przez cały dzień szli naprzód, kuśtykając wzdłuż bruzdy pozostawionej przez Londyn w podmokłej ziemi Terenu Polowań. Miasto stawało się coraz mniejsze, bardziej odległe. Tom nagle uświadomił sobie, że wkrótce zniknie za wschodnim horyzontem i już nigdy go nie dogonią. Poczul się bardzo samotny i opuszczony. Co prawda nie odpowiadało mu życie czeladnika trzeciej kategorii w Cechu Historyków, ale w tej chwili lata spędzone w muzeum wydawały się piękne jak sen. Zaczął tęsknić za starym, zręcznym doktorem Arkengarthem i pompatycznym Chudleighem Pomeroyem. Tęsknił za swoim łóżkiem we wspólnej sypialni, za długimi godzinami pracy w muzeum. I za Katherine Valentine, chociaż spędził z nią zaledwie kilka minut. Czasami, gdy przymykał powieki, wyraźnie widział jej twarz, jej łagodne szare oczy i cudowny uśmiech. Z pewnością nie ma pojęcia, jakim człowiekiem jest jej ojciec.

– Patrz, gdzie leziesz! – fuknęła Hester Shaw.

Otworzył oczy i zobaczył, że zaprowadził ją na sam skraj głębokiego rowu, zostawionego przez olbrzymią gąsienicę Londynu.

Szli i szli. Tom stwierdził, że najbardziej brakuje mu londyńskiego jedzenia. W kantynie cechu nie dawali smakołyków, ale i tak było to lepsze niż nic. Kiedy zapytał Hester, czym się będą żywić na tym okropnym pustkowiu, odpowiedziała po prostu:

– Pewnie teraz żałujesz, że przez ciebie straciłam plecak, londyński paniczyku? Miałam w nim trochę smakowitego psiego mięska.

Późnym popołudniem natrafili na kilka rachitycznych szarawych krzaków, których Londyn nie zagrzebał całkiem w błocie. Hester pozrywała z nich liście i utarła na papkę między dwoma kamieniami.

– Lepiej by je było ugotować – powiedziała, jedząc obrzydliwą zieloną papkę. – W plecaku miałam krzesiwo.

Później w jednej z głębokich kałuż udało się jej złapać żabę. Nie podzieliła się nią z Tomem, który odwrócił z obrzydzeniem głowę, gdy żuła obślizgłe mięso.

Wciąż nie wiedział, co o niej myśleć. Przez większość drogi milczała, a gdy próbował nawiązać rozmowę, spoglądała na niego tak groźnym wzrokiem, że szybko nauczył się nie otwierać ust. Czasami jednak, zupełnie niespodziewanie, zaczynała mówić.

– Teren się podnosi – powiedziała pewnego razu. – To znaczy, że Londyn będzie wolniej jechał. Inaczej zmarnowałby za dużo paliwa.

A po jakichś dwóch godzinach dodała:

– Moja mama mawiała, że ruchome miasta miały sens tysiąc lat temu, kiedy było mnóstwo trzęsień ziemi i wulkanów, a także lodowców napierających z południa. Teraz tylko jeżdżą dookoła i pożerają się nawzajem, bo ludzie są za głupi, żeby je zatrzymać.

Tom lubił, kiedy się odzywała, mimo że uważał, że jej mama musiała być niebezpieczną antymobilistką. Próbował podtrzymać rozmowę, ale Hester znowu milkła, zasłaniając ręką twarz. Jak gdyby jej szczupłe ciało skrywało dwie istoty – ponurą mścicielkę, która cały czas myśli o zamordowaniu Valentine'a, i bystrą, fajną dziewczynę, która od czasu do czasu ukazuje swoje oblicze zza szpetnej maski z paskudną szramą. Zastanawiał się, czy nie jest lekko stuknięta. Każdy by zwariował, gdyby na jego oczach zamordowano rodziców.

– Jak to się stało? – zapytał ją delikatnie. – Co się stało z twoimi rodzicami? Jesteś pewna, że to właśnie Valentine...?

– Zamknij się – ucięła.

Jednak wiele godzin po zapadnięciu zmroku, kiedy zbudowali wał z błota, żeby osłonić się przed mroźnym nocnym wiatrem, zaczęła nagle opowiadać o swoim życiu.

– Urodziłam się na gołej ziemi – powiedziała – ale nie takiej jak ta. Mieszkałam na Wyspie Dębów, daleko na zachód stąd. Kiedyś był to Teren Polowań, ale trzęsienia ziemi sprawiły, że ziemia zapadła się i zalała ją woda. Została tylko pośrodku górzysta

wysepka, daleko od wygłodzonych miast na brzegu. Była wspaniała: zielone pagórki, ostre szare skały, strumyczki płynące przez dębowe lasy...

Tom wzdrygnął się. Każdy londyńczyk wiedział, że na gołej ziemi mieszkają tylko dzikusy.

– Ja wolę twarde, równy pokład pod stopami – powiedział. Jednak Hester wcale go nie słuchała, z jej krzywych ust płynął potok słów, którego, zdawało się, nie potrafiła powstrzymać.

– Znajdowało się tam miasto o nazwie Dunroamin. Kiedyś było ruchome, ale mieszkańcy dość mieli podróży i ciągłych ucieczek przed większymi aglomeracjami, więc przeprawili się przez wodę, rozmontowali silniki i koła i wkopali miasto w górskie zbocze. Stało już tak ze sto lat albo więcej i nigdy byś nie zgadł, że mogło kiedyś się poruszać.

– Okropne! – zawołał z przejęciem Tom. – To przecież czysty antymobilizm!

– Moi rodzice mieszkali za Dunroamin, przy drodze – mówiła dalej Hester, zupełnie go ignorując. – Mieli dom w zatoczce. Tata był rolnikiem, a mama historykiem jak ty – tylko oczywiście znacznie mądrzejszym. Każdego lata odlatywała statkiem powietrznym na poszukiwania starej technologii, a na jesieni wracała do domu. Często w zimowe wieczory przychodziłam do jej gabinetu, jadłam grzanki z serem, a ona opowiadała o swoich przygodach. Pewnej nocy, siedem lat temu, obudziły mnie głosy kłócących się ludzi. Weszłam po schodach na górę i zobaczyłam ich – Valentine’a i mamę. Znałam Valentine’a, bo przyjaźnił się z mamą i wpadał do nas, ilekroć był w pobliżu. Tylko że teraz wcale nie był miły. „Daj mi maszynę, Pandoro – powtarzał – daj mi Meduzę”. Nie widział mnie. Stałam u szczytu schodów i patrzyłam. Bałam się poruszyć. Był odwrócony do mnie plecami, a mama, trzymając tę maszynę, powiedziała: „Niech cię piekło pochłonie, Thaddeusie, ja ją znalazłam, jest moja!” Wtedy Valentine wyciągnął miecz i...

Zamilkła, żeby nabrać powietrza. Nie chciała już nic więcej mówić, ale wspomnienia przeniosły ją do tamtej nocy, do tamtego domu. Przed oczyma miała krew, która obryzgała mapy

nieba w pracowni jej mamy, tworząc jak gdyby nową konstelację gwiazd.

– A potem się odwrócił i zobaczył mnie. Podbiegł do mnie, a ja cofnęłam się na tyle, że miecz tylko rozciął mi twarz. Spadłam ze schodów. Pewnie pomyślał, że nie żyję. Usłyszałam, jak podchodzi do biurka mamy i zaczyna przerzucać papiery, podniosłam się i uciekłam. Tata leżał na podłodze w kuchni – też nie żył. Valentine zabił nawet nasze psy.

Wybiegłam z domu i zobaczyłam w ogrodzie wielki czarny statek Valentine'a i jego ludzi czekających obok. Zaczęli mnie gonić, ale udało mi się uciec. Pobiegłam do łodzi taty. Chciałam popłynąć do Dunroamin po pomoc – byłam wtedy mała i myślałam, że doktor wyleczy mamę i tatę. Straciłam jednak dużo krwi, strasznie mnie bolało... Odcumowałam łódź, a prąd zepchnął ją na pełne morze i następnego dnia obudziłam się na brzegu Terenu Polowań.

Zamieszkałam tam. Początkowo niczego nie pamiętałam. Jakby Valentine, rozcinając mi głowę, pozbawił mnie wszelkich wspomnień. Jednak stopniowo wszystko sobie przypominałam. I wtedy postanowiłam zabić Valentine'a tak, jak on zabił moich rodziców.

– Co to była za maszyna? – spytał Tom.

Hester wzruszyła ramionami. Było za ciemno, by mógł ją zobaczyć, ale usłyszał ruch kościstych ramion pod brudnym płaszczem.

– Coś, co mama znalazła. Stara technologia. Nie wyglądało imponująco. Jakby metalowa piłka, cała poobijana, pełna wgnieceń.

– Siedem lat temu – wyszeptał Tom. – Właśnie wtedy Valentine został głównym historykiem. Mówiono, że znalazł coś tak ważnego, że Crome awansował go poza kolejnością, nie zważając na zasługi Chudleigha Pomeroya i innych. Nigdy jednak nie słyszałem o Meduzie.

Hester nie odpowiedziała. Zasnęła.

Tom długo siedział zamyślony, rozważając jej historię. Przypomniały mu się snute podczas pracy w muzeum marzenia.

Marzył, żeby znaleźć się na gołej ziemi z piękną dziewczyną i gonić jakiegoś niebezpiecznego przestępcę. Nigdy nie wyobrażał sobie jednak, że będzie tu tak zimno i mokro, że tak bardzo będą go bolały nogi, a przestępcą okaże się największy londyński bohater. Jeśli zaś chodzi o piękną dziewczynę...

Spojrzał na bladą, pokiereszowaną twarz Hester Shaw, która nawet we śnie miała wykrzywione usta. Teraz lepiej ją rozumiał. Nienawidziła Valentine'a, ale jeszcze bardziej nienawidziła siebie – za to, że była taka brzydka, i za to, że jej rodzice umarli, a ona wciąż żyła. Pamiętał, jak się czuł, kiedy po wielkim przechyle wrócił do domu i zobaczył same gruzy. Jego rodzice nie żyli, a on czuł się winny, że nie było go w domu i nie zginął razem z nimi.

Muszę jej pomóc – pomyślał. Nie pozwolę zabić pana Valentine'a, ale znajdę sposób na ujawnienie prawdy. Może jutro Londyn zwolni, a Hester przestanie tak boleć noga. O zachodzie słońca wrócimy na pokład miasta i znajdziemy kogoś, kto nas wysłucha...

Kiedy jednak obudził się następnego ranka, zobaczył, że miasto bardzo się oddaliło, a noga Hester jest w jeszcze gorszym stanie niż poprzedniego dnia. Dziewczyna jęczała teraz z bólu prawie przy każdym kroku; jej twarz poszarzała, a krew, przedostając się przez bandażę, spływała czerwoną strużką do buta. Tom przeklinał w duchu własną głupotę: to, że wyrzucił resztki swojej koszuli, że Hester zgubiła przez niego plecak i apteczkę.

Po paru godzinach marszu w strugach deszczu zobaczyli na śladach Londynu górę śmieci i żużlu. Obok przystanęło dziwne miasteczko. Kiedy Tom i Hester podeszli bliżej, zobaczyli ludzi zbierających złom.

Z nadzieją przyśpieszyli kroku. Przed południem znaleźli się już w cieniu rzucanym przez wielkie koła miasteczka. Tom zadarł głowę, przyglądając się jego jednopiętrowemu pokładowi. Miasteczko było mniejsze od niejednego domu w Londynie i wyglądało na to, że zostało zbudowane z drewna przez kogoś, kto uważał, że stolarka polega na zbiciu desek kilkoma

gwoździami w nadziei, że wszystko się nie rozpadnie. Za przypominającym szopę ratuszem sterczał krzywy komin jakiegoś eksperymentalnego silnika.

– Witam! – zawołał wysoki, siwobrody mężczyzna w brązowym płaszczu, schodząc z góry złomu. – Witam w Speedwell. Jestem Orme Wreyland, burmistrz. Mówicie po angielsku?

Hester zatrzymała się i spojrzała na niego podejrzliwie, ale Tom uznał, że staruszek wygląda całkiem sympatycznie.

– Proszę pana – powiedział – jesteśmy bardzo głodni, potrzebujemy lekarza, który opatrzyłby nogę mojej przyjaciółce...

– Nie jestem żadną twoją przyjaciółką. A z moją nogą jest wszystko w porządku – syknęła Hester Shaw, mimo że cała się trzęsła, miała bladą twarz i krople potu na czole.

– Tak czy siak, w Speedwell nie ma lekarza – roześmiał się tubalnie Wreyland. – A co do jedzenia... Cóż, nastały ciężkie czasy. Macie coś na sprzedaż?

Tom sięgnął do kieszeni. Miał trochę pieniędzy, ale wątpliwe, by poza Londynem były cokolwiek warte. Potem wymacał coś twardego. Był to dysk, który znalazł wczoraj wieczorem w Trzewiach. Wręczył go Wreylandowi. Miał zamiar podarować go Katherine Valentine, ale w tej chwili jedzenie było ważniejsze.

– Ładne! – przyznał Wreyland, przechylając dysk i podziwiając tęcze kolory. – Mało przydatne, ale warte kilku dni noclegu i odrobiny jedzenia. Co prawda jedzenie nie jest zbyt smaczne, ale lepsze to niż pusty brzuch...

Miał rację, jedzenie nie było zbyt smaczne, lecz Tom i Hester poprosili o dokładkę.

– To głównie wodorosty – wyjaśnił Orme Wreyland, gdy jego żona nalewała chochlą niebieskawą maź. – Uprawiamy je w zbiornikach pod główną maszynownią. Straszne świństwo, ale trzyma przy życiu, kiedy są złe zbiory. A między nami mówiąc, nigdy jeszcze nie było tak krucho jak teraz. Dlatego ucieszyliśmy się, kiedy natrafiliśmy na tę kupę złomu.

Tom pokiwał głową, oparł się wygodnie i rozejrzał po domu Wreylandów. Siedzieli w małym pokoiku, wcale nieprzypominającym rezydencji burmistrza. Zresztą sam Orme Wreyland też nie wyglądał na burmistrza. Umorusany staruszek sprawował rządy w mieście, którego ludność stanowiła jego własna rodzina: wnuczeta, synowie i córki oraz ich żony i mężowie, poznani zapewne w czasie przypadkowych spotkań z innymi miastami.

Mimo to Wreyland bynajmniej nie tryskał radością.

– Rządzenie miastem na kółkach to nie taka prosta sprawa – powiedział. – Nie to, co kiedyś. Dawniej takie miasteczko jak Speedwell mogło poruszać się całkiem bezpiecznie, bo było za małe, żeby zainteresować większe miasta. Teraz jednak łupów jest tak mało, że każdy, kto nas dojrzy, natychmiast chce nas pożreć. Ostatnio uciekaliśmy przed wielkim miastem, jednym z tych olbrzymich francuskich villes mobiles. I jaki pożytek może mieć z nas takie monstrum? Żadnego, ale i tak nas gonili!

– Wasze miasto musi być bardzo szybkie – zauważył Tom.

– Och, tak – potwierdził Wreyland, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Maksymalna prędkość sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę – pochwaliła się żona. – Wreyland jest wspaniałym konstruktorem.

– Możecie nam pomóc? – spytał Tom. – Musimy jak najszybciej dostać się z powrotem na pokład Londynu. Na pewno udałoby się wam go dogonić, a po drodze może być więcej takich kup złomu...

– Niestety, chłoptasiu – odparł Wreyland, kręcąc głową. – Odpadki z Londynu nie są warte zachodu. Kiedyś było inaczej, ale teraz wszystko traktują jako surowiec wtórny, bo mało jest łupów. Pamiętam czasy, kiedy cały Teren Polowań był usiany odpadkami z większych miast. Ho, ho, wtedy było co zbierać! Ale to już przeszłość. Poza tym – dodał, wzdrygając się – nie podjechałbym w pobliże Londynu moim miasteczkiem. W dzisiejszych czasach nikomu nie można ufać. Obróci się taki i capnie nas, nim się obejrzymy. Chrup! I tyle. Nie, nie, nie mogę się

na to zgodzić.

Tom pokiwał głową, próbując nie okazywać rozczarowania. Spojrzał na Hester, która siedziała z opuszczoną głową, jakby spała albo straciła przytomność. Kiedy zamierzał sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku, Wreyland powiedział:

– Ale wiesz co, chłoptasiu? Podrzucimy was do targowiska!

– Do czego?

– Do targowiska! To punkt zborny miasteczek parę dni jazdy na południowy wschód stąd. I tak chcieliśmy się tam udać.

– Będzie tam mnóstwo miasteczek – potwierdziła pani Wreyland. – A jeśli nawet żadne z nich nie zechce was podwieźć do Londynu, na pewno znajdzie się jakiś powietrzny kupiec, który tam się wybiera.

– Ja... – wybełkotał Tom i urwał. Nie czuł się najlepiej. Pokój falował mu przed oczami, wirował. Spojrzał na Hester i zobaczył, że spadła z krzesła.

Domowe bóstwa Wreylandów uśmiechały się ze ścian, a jedno z nich odezwało się głosem Orme'a Wreylanda:

– Na pewno będą tam statki powietrzne, Tom, zawsze zjawiają się na targowisku...

– Jeszcze trochę wodorostów, kochaniutki? – zapytała pani Wreyland, kiedy Tom osuwał się na kolana. Z bardzo, bardzo daleka usłyszał, jak mówi: – Strasznie późno zaczęło działać, Ormusiu.

– Następnym razem trzeba dać większą dawkę, kochaniutka – odparł Wreyland.

Tom zapadł w sen, który otulił go jak miękkie puch. Znów marzył o Katherine.

7. WYSOKI LONDYN

Ponad pierwszym pokładem, ponad gwarnymi sklepami na Mayfair i Piccadilly, ponad placem Quirke'a, gdzie posąg wybawcy Londynu stał dumnie na stalowej, żłobkowanej kolumnie, wisiał nad miastem górny pokład, niczym żelazna korona, podparta potężnymi słupami. Był to najmniejszy, a zarazem najważniejszy z siedmiu pokładów, chociaż stały tam tylko trzy budynki. Od strony rufy pięły się ku niebu wieże ratusza, gdzie wszystkie londyńskie cechy miały swe biura i raz na miesiąc spotykały się na naradę. Naprzeciwko stał budynek, w którym zapadały wszelkie decyzje: ciemna szklana bryła inżynierium. Między nimi znajdowała się starożytna chrześcijańska świątynia Świętego Pawła, odbudowana w tym miejscu przez Quirke'a, gdy uczynił z Londynu ruchome miasto. Teraz katedra cała była w rusztowaniach, popodpierana stalowymi sztabami, gdyż podróże Londynu mocno nadwerżyły kamienne mury. Wkrótce jednak świątynia znowu zostanie otwarta dla ludności. Cech Inżynierów obiecał ją odrestaurować i ze środka dobiegały odgłosy młotów i wiertarek.

Magnus Crome usłyszał te dźwięki, gdy przejeżdżał pojazdem obok starej katedry, kierując się w stronę inżynierium. Uśmiechnął się przy tym dziwnie tajemniczo.

Słońce nie miało dostępu do wnętrza inżynierium – czarne okna nie przepuszczały jego promieni. Siedzibę cechu oświetlało zimne światło neonówek, odbijające się od metalowych ścian, w powietrzu unosił się zapach środków odkażających, który Crome powitał jako miłą odmianę po smrodzie kwiatów i świeżo skoszonej trawy na zewnątrz. Podbiegła do niego młoda czeladniczka i skłoniła na powitanie łusą głowę.

– Jedziemy do doktor Twix – rozkazał jej Crome.

Czeladniczka pomogła lordowi burmistrzowi wejść do wagonika, który ruszał w górę po spiralnym torze wewnątrz

budynku. Burmistrz mijał piętro po piętrze – biura, sale konferencyjne i laboratoria. Za półprzezroczystymi, oszklonymi ścianami majaczyły kształty dziwnych maszyn. Wszędzie widać było inżynierów przy pracy, dłubiących przy fragmentach starej technologii, przeprowadzających eksperymenty na szczurach i psach albo oprowadzających wycieczki dzieci z wygolonymi głowami. Czuł się zadowolony, bezpieczny w czystym, jasnym centrum swego cechu. Przypomniał sobie, dlaczego tak bardzo pokochał Londyn, dlaczego poświęcił życie na poszukiwanie sposobów, które zapewniłyby mu ruch.

Wiele lat temu, jeszcze jako młody czeladnik, czytał ponure prognozy mówiące, że łupów będzie coraz mniej, a ruchome miasta utracą rację bytu. Postanowił udowodnić, że nie jest to prawda. Wyboista droga ku szczytom władzy w cechu, a potem na fotel lorda burmistrza stanowiły tylko początek tego, co zamierzał dokonać. Podobnie jak jego surowe prawa przeciwko marnotrawstwu i promowanie prac nad wykorzystaniem surowców wtórnych. Teraz nadchodzi wreszcie czas, gdy świat pozna jego prawdziwy plan.

Najpierw musi być jednak pewny, że Hester Shaw nie przysporzy mu już żadnych kłopotów.

Wagonik zatrzymał się z piskiem przed laboratorium na jednym z najwyższych pięter. Przed wejściem, przestępując nerwowo z nogi na nogę, czekała na niego korpulentna kobieta w białym ubraniu. Evadne Twix była jednym z najwybitniejszych inżynierów Londynu. Wyglądała jak dobrotliwa ciotunia, dekorowała laboratorium obrazkami kwiatów i szczeniaczków (naruszając tym samym przepisy cechu), lecz podczas pracy była bezwzględna.

– Dzień dobry, lordzie burmistrzu – powitała go, wdzięcząc się.
– Jak miło pana widzieć! Przyszedł pan odwiedzić moje maleństwo?

– Chcę się zobaczyć ze Shrikiem – odpowiedział chłodno Crome, wchodząc do środka, podczas gdy doktor Twix tańczyła wokół niego niczym listek na wietrze.

Przeszli przez jej laboratorium, mijając zaaferowanych,

kłaniających się uniżenie inżynierów, lśniące rzędy szklanych naczyń i stoły, na których w pocie czoła naprawiano zardzewiałe metalowe szkielety. Zespół doktor Twix od lat studiował budowę Łowców – przywróconych do życia ludzi, których szczątki znajduje się niekiedy w Zewnętrzu.

– Zakończyliście badania nad Shrikiem? – zapytał Crome, idąc pewnie przed siebie. – Na pewno już się wam nie przyda?

– Wiemy o nim wszystko, lordzie burmistrzu – zaszcebiotała pani doktor. – To fascynujący mechanizm, ale naprawdę zbyt skomplikowany. Nawet na jego własne potrzeby. Można uznać, że ma własną osobowość. A jeśli chodzi o jego dziwne zafascynowanie tą dziewczyną... Dopilnuję, żeby nowe modele były znacznie prostsze. Życzy pan sobie, byśmy go rozmontowali?

– Nie. – Crome zatrzymał się przed niedużymi, okrągłymi drzwiami i nacisnął guzik, żeby je otworzyć. – Zamierzam dotrzymać obietnicy, jaką mu złożyłem. Poza tym mam dla niego robotę.

Za drzwiami panował mrok, a w powietrzu unosił się zapach smaru. Pod ścianą naprzeciwko stała wysoka, nieruchoma postać. Gdy lord burmistrz przestąpił próg pokoju, zapaliły się zielone ślepia.

– Pan Shrike! – zawołał radośnie Crome. – Jak się dzisiaj miewamy? Mam nadzieję, że pana nie obudziłem?

– Ja nigdy nie śpię – odpowiedział z mroku straszny głos, ostry jak zgrzyt zardzewiałych zawiasów. Nawet doktor Twix mimo woli zadrżała pod gumowym płaszczem na jego dźwięk. – Życzy pan sobie znowu mnie zbadać?

– Nie, Shrike – powiedział Crome. – Pamiętasz, przed czym mnie ostrzegałeś podczas naszego pierwszego spotkania półtora roku temu? Co mówiłeś o Hester Shaw?

– Powiedziałem, że żyje i jest w drodze do Londynu.

– Zdaje się, że miałaś rację. Zjawiła się w mieście.

– Gdzie jest? Pokażcie mi ją!

– To niemożliwe. Wyskoczyła zsympem z powrotem do Zewnętrza.

Rozległo się ciche syknięcie, jakby gotowała się woda w czajniku.

– Muszę za nią pójść.

Crome uśmiechnął się.

– Miałem nadzieję, że to powiesz. Jeden z naszych zwiadowczych „Jastrzębi 90” już na ciebie czeka. Piloci poprowadzą pojazd szlakiem, którym przejechał Londyn, aż znajdziesz miejsce, w którym zeskoczyła. Jeśli ona i jej towarzysz nie żyją, to dobrze. Jeśli żyją, zabij ich i przywieź mi ich ciała.

– A co potem?

– Potem dam ci tę, którą kochasz.

Były to dziwne dni dla Londynu. Miasto wciąż poruszało się z taką szybkością, jakby goniło jakiś smakowity łup, lecz na szarej, błotnistej równinie północno-zachodniego Terenu Polowań nie było widać żadnego śladu potencjalnej ofiary i wszyscy zaczęli się zastanawiać, co też planuje lord burmistrz.

– Nie możemy ciągle gnać z taką prędkością – usłyszała Katherine ściszony głos służącej. – Na wschodzie są wielkie miasta. Ani się obejrzymy, jak któreś połknie nas i wypluje kości!

Jednak sprzątaczką Mallow odparła jej na to:

– Co ty tam wiesz, Sukey Blinder? Przecież właśnie pan Valentine leci z ekspedycją, by się dowiedzieć, co nas czeka po drodze. On i pan Magnus Crome muszą mieć na oku coś ważnego, możesz być tego pewna.

Kiedy Valentine wrócił do domu na obiad z kolejnego zebrania z inżynierami, Katherine zapytała:

– Dlaczego wysyłają na zwiad akurat ciebie? To zadanie dla nawigatorów, a nie dla największego archeologa na świecie.

Valentine westchnął.

– Lord burmistrz najbardziej ufa mnie, Kate. Niedługo wrócę. Za trzy tygodnie. No, może za miesiąc. Chodź, pójdziemy do hangaru i zobaczymy, co Pewsey i Gench robią przy moim statku.

W ciągu długich tysiącleci od wojny sześćdziesięciminutowej technologia budowy statków powietrznych osiągnęła poziom, o jakim nie śniło się nawet starożytnym. Valentine zlecił zbudowanie specjalnie dla siebie „Windy Na Trzynaste Piętro”. Koszty pokrył z pieniędzy, które dostał od Crome’a za części starej technologii, przywiezione z Ameryki dwadzieścia lat temu. Często chwalił się, że była najwspanialszym statkiem powietrznym, jaki kiedykolwiek powstał. Oczywiście nie trzymał jej w hangarze na piątym poziomie, gdzie stały zwykłe statki handlowe, lecz w prywatnym garażu kilkaset metrów od Domu Klio.

Katherine wraz z ojcem przeszła przez oświetlony słońcem park. Hangar i placyk przed nim były pełne ludzi i pojazdów – Pewsey i Gench ładowali zapasy na zbliżającą się wyprawę. Pies pobiegł przodem, żeby obwąchać skrzynie i pojemniki z gazem wznoszącym, konserwami mięsnymi, narzędziami do naprawy drobnych uszkodzeń, olejkami do opalania, maskami gazowymi, kombinezonami ognioodpornymi, karabinami, płaszczami przeciwdeszczowymi, ciepłymi kurtkami, sprzętem kartograficznym, kuchenkami turystycznymi, skarpetami na zmianę, plastikowymi kubkami. Były tutaj też trzy ognioodporne szalupy oraz pudło z napisem:

Buty błotołazy Pinkiego do podróży po Zewnątrz
Oryginalne błotołazy,
żebyś miał zawsze uśmiech na twarzy!

W mrocznym hangarze oczekiwał wielki powietrzny statek z połyskliwym czarnym balonem. Jak zwykle Katherine poczuła na jego widok dreszcz podniecenia, ale i smutek na myśl, że jej tata wzniesie się w powietrze w tym statku i zostawi ją na pokładzie Londynu. Czuła także niepokój, że może nie wrócić.

– Tato, chciałabym z tobą polecieć – westchnęła.
– Nie tym razem, Kate – odparł Valentine. – Może kiedy indziej.
– Czy dlatego że jestem dziewczyną? – zapytała. – Przecież starożytni pozwalali kobietom robić to samo co mężczyznom, a

poza tym wśród handlarzy powietrznych jest mnóstwo kobiet pilotów. Sam taką miałeś podczas podróży do Ameryki, widziałam jej zdjęcia...

– Chodzi o to, Kate – odparł, obejmując ją – że czasem podczas takich wypraw bywa niebezpiecznie. Wolałbym, żebyś skończyła szkołę i została wspaniałą, piękną, wysokolondyńską damą. A teraz chciałbym, żebyś zakazała Psu siusiać na skrzynię z zupą...

Katherine odciągnęła Psa od zapasów i uwiązała go przed hangarem. A potem usiadła obok ojca i powiedziała:

– Więc jak, powiesz mi w końcu, dokąd lecisz i co to za ważna i niebezpieczna misja?

– Nie mogę – odparł Valentine, spoglądając na nią z ukosa.

– Och, daj spokój! – roześmiała się. – Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, prawda? Wiesz, że nie pisnę nikomu słowa. A bardzo chciałabym wiedzieć, dokąd zmierza Londyn! W szkole ciągle mnie o to pytają. Od wielu dni posuwamy się na wschód z maksymalną prędkością. Nie zatrzymaliśmy się nawet, kiedy jedliśmy Salthook...

– Chodzi o to, że Crome poprosił mnie, abym się rozejrzał po Shan Guo.

Shan Guo było największym państwem, wchodzącym w skład Ligi Antymobilistów, barbarzyńskiego przymierza, które kontrolowało dawne Indie i to, co pozostało z Chin. Przed żarłocznymi miastami na kółkach broniły jej pasma wysokich gór i zdradliwe bagna stanowiące wschodnią granicę Terenu Polowań. Katherine uczyła się o tym na geografii. Dostępu do jedynej wąwozu prowadzącego na drugą stronę strzegła wielka forteca Batmunkh Gompa. Pod jej murami zginęły setki miast, usiłujących przedostać się do Indii w pierwszych stuleciach mobilizmu.

– Przecież Londyn nie może tam jechać! – zdziwiła się.

– Wcale nie powiedziałem, że już jedzie – powiedział Valentine.

– Jednak pewnego dnia będziemy musieli przedostać się do Shan Guo i pokonać ich warownie. Wiesz, jak trudno dzisiaj o łup. Wielkie miasta zaczynają przymierać głodem i atakują się nawzajem.

Katherine przeszedł dreszcz.

– Chyba jest jakieś inne wyjście? – zaprotestowała. – Trzeba porozmawiać z burmistrzami innych miast i coś wymyślić.

Valentine roześmiał się.

– Obawiam się, że miejski darwinizm nie działa w ten sposób, Kate. Żyjemy w świecie, w którym jedno miasto pożera drugie. Ale nie martw się. Crome to wielki człowiek i na pewno znajdzie rozwiązanie.

Katherine pokiwała bez przekonania głową. Oczy jej taty znowu były takie dziwne. Wciąż nic nie powiedział na temat tej młodej zabójczynie, a teraz Katherine miała jeszcze wrażenie, że ukrywa przed nią coś dotyczącego ekspedycji i planów lorda burmistrza. Czy to wszystko jakoś się wiązało? Nie mogła go zapytać wprost o to, co podsłuchiwała w atrium, bo tym samym przyznałaby się, że go szpiegowała, ale nie potrafiła też siedzieć zupełnie cicho.

– Czy to ma jakiś związek z tą okropną dziewczyną? Czy ona była z Shan Guo?

– Nie – odparł pośpiesznie Valentine. – Ona nie żyje, i nie ma powodu, żebyś się nią przejmowała. Chodź – dodał, wstając. – Postarajmy się jak najlepiej wykorzystać tych kilka dni przed odlotem. Posiedzimy sobie przy kominku, porozmawiamy o starych czasach. Nie warto myśleć o... o tej biednej zeszpeconej dziewczynie.

Kiedy, trzymając się za ręce, szli przez park do domu, przeleciał nad nimi „Jastrząb 90”, który wystartował właśnie z inżynierium.

– Widzisz? – powiedziała Katherine. – Cech Inżynierów ma własne statki powietrzne. Dlaczego Crome wysyła właśnie ciebie?

Valentine nie odpowiedział. Osłonił tylko dłonią oczy i spojrział na śnieżnobiały statek, który zrobił rundę nad górnym pokładem i odleciał na zachód.

8. TARGOWISKO

Tom śnił o Katherine. Przechadzali się razem po znajomych salach muzeum, tylko że nigdzie nie było żadnych innych członków cechu, nikt nie mówił: „Wypastuj podłogę, Natsworthy. Migiem!” ani: „Odkurz wreszcie szkło z czterdziestego trzeciego wieku, czeladniku!” Tom oprowadzał ją, jakby całe muzeum należało wyłącznie do niego, a ona uśmiechała się promiennie, kiedy opowiadał o replice starodawnego statku powietrznego i o wielkim modelu ukazującym przekrój pionowy Londynu. Towarzyszyła im przy tym dziwna, jękliwa muzyka. Dopiero kiedy dotarli do działu historii naturalnej, zdali sobie sprawę, że to wieloryb im śpiewa.

Sen zniknął, ale dźwięki wielorybiej piosenki wciąż brzmiały mu w uszach. Leżał na skrzypiącej drewnianej podłodze. Przez szpary w ścianach z desek sączyło się światło słoneczne. Pod sufitem zobaczył gmatwaninę rur – kanalizację Speedwell, której jęki i gulgot pomylił z piosenką wieloryba.

Odwrócił się na plecy i rozejrzał po klitce. Hester siedziała naprzeciwko oparta o ścianę. Gdy zobaczyła, że nie śpi, pokiwała tylko głową.

– Gdzie jestem? – wymamrotał.

– Myślałam, że tylko w książkach ludzie zadają takie pytania. Naprawdę mnie zaskakujesz.

– Wciąż jesteśmy w Speedwell? Co się stało?

– Oczywiście, zupka z wodorostów – odrzekła.

– To znaczy, że Wreyland wsypał nam do jedzenia jakieś prochy? Ale dlaczego? – Podniósł się i podszedł do drzwi.

– Możesz się nie wysilać – powiedziała obojętnie Hester. – Są zamknięte.

Miała rację. Podszedł do ściany i wyrzwał przez szparę między deskami. Zobaczył wąski drewniany pomost to rozbłyskający w słońcu, to pograżający się w cieniu szprych jednego z kół

Speedwell. W tle przesuwiał się krajobraz, który wydał się Tomowi bardziej górzysty od tego, jaki widział poprzedniego dnia.

– Od świtu jedziemy na południowy wschód – wyjaśniła znużonym głosem Hester, nim zdążył zapytać. – Może nawet dłużej, ale ja też spałam.

– Dokąd nas wiozą?

– Skąd mam wiedzieć?

Tom usiadł z rezygnacją na podłodze, opierając plecy o dygoczącą ścianę.

– Czyli że to już koniec! – powiedział. – Londyn musi być setki kilometrów stąd! Nigdy nie wrócę do domu!

Hester milczała. Jej twarz była blada jak prześcieradło, co sprawiało, że blizna wyglądała jeszcze szkaradniej niż zwykle. Z rany na nodze sączyła się krew.

Minęła godzina, potem następna. Od czasu do czasu po pomoście za ścianą przemykali jacyś ludzie, zasłaniając słońce. Rury bulgotały coś do siebie. W końcu Tom usłyszał dźwięk otwieranej kłódki. Kłapka u dołu drzwi otworzyła się i ukazała się w niej brodata, ogorzała twarz.

– Wszystko w porządku? – zapytał Wreyland.

– Oczywiście, że nie! – zawołał Tom. Podbiegł do drzwi. Wreyland siedział w kucki po drugiej stronie, zaglądając przez otwór, który zapewne stanowił wejście dla kota. Za burmistrzem widać było parę buciorów któregoś z jego podwładnych, stojącego na straży.

– Dlaczego nas więzicie? – zapytał Tom. – Nic wam nie zrobiliśmy!

Stary burmistrz wyglądał na zafrasowanego.

– To prawda, chłoptasiu, ale widzisz, czasy są ciężkie, okrutne. Rządzenie miastem na kółkach to nie zabawa. Musimy brać, co się nam nawinie. Nawinęliście się wy, więc... sami rozumiecie. Sprzedamy was. Potrzebujemy części do silników, jeżeli mamy przetrwać...

– Sprzedacie nas? – Tom słyszał o miastach, które używały niewolników do pracy w maszynowniach, ale zawsze traktował

to jak bajki. – Muszę wrócić do Londynu! Nie możecie mnie sprzedać!

– Och, zapewniam, że dadzą za ciebie dobrą cenę – odparł Wreyland, jakby ta wiadomość miała poprawić chłopakowi humor. – Taki przystojny, zdrowy młodzieniec. Dopilnujemy, żebyś trafił do dobrego pana. Nie mogę oczywiście zagwarantować tego twojej przyjaciółce: jest na w pół żywa, a i przedtem wyglądała chyba nie najlepiej. Może jednak uda mi się was opchnąć oboje naraz. Wiesz, taka transakcja wiązana. – Wepchnął przez otwór dwie cynowe miski. Jedna zawierała wodę, druga niebieskawą zupę z wodorostów. – Smacznego! Chcemy, żebyś dobrze się prezentował na aukcji. O zachodzie dojedziemy do targowiska, a sprzedamy was z samego rana.

– Ale... – chciał zaprotestować Tom.

– Tak, wiem i bardzo mi przykro, ale co mogę zrobić? – powiedział smutnym głosem Wreyland. – Czasy są ciężkie, sam rozumiesz...

Kłapa zatrzasnęła się.

– A co z moim dyskiem?! – zawołał Tom. Nie było odpowiedzi. Usłyszał tylko stłumiony głos Wreylanda, który mówił coś do strażnika. Nabrał w dłonie wody, napił się, a potem zaniósł miskę Hester.

– Musimy uciekać – powiedział.

– Niby jak?

Tom rozejrzył się po pokoiku. Drzwi nie wchodziły w rachubę – były zamknięte, a po drugiej stronie stał strażnik. Zadarł głowę i spojrzął na rury pod sufitem. Były wystarczająco szerokie, żeby się przez nie przeczołgać. Ale jak się tam dostać? Poza tym wolał nie sprawdzać, co za ciecz w nich płynie. Zaczął więc po kolei macać każdą deskę w ścianie. W końcu znalazł jedną nieco obluźowaną. Szarpnął ją i poczuł, że gwoździe powoli ustępują.

Szarpał więc dalej. Była to mozolna, ciężka harówka. Na jego dłoniach pojawiły się pęcherze, pot lał mu się strumieniami po twarzy. Musiał przerywać pracę, ilekroć po drugiej stronie ktoś przechodził. Hester przyglądała mu się w milczeniu, aż zaczął mieć jej za złe, że nie pomaga. Pod wieczór, kiedy niebo

poczerwieniło od zachodzącego słońca, a miasteczko trochę zwolniło, udało mu się obluzować deskę na tyle, że można było wystawić głowę na zewnątrz.

Upewnił się, że nikogo nie ma w pobliżu, i wyrzął przez otwór. Speedwell mijalo pasmo wysokich górskich szczytów. Na przedzie zobaczył coś w rodzaju amfiteatru – niszę otoczoną z trzech stron skałami, w której stało zaparkowanych mnóstwo miasteczek, wiosek kupieckich i osiedli.

– Jesteśmy na miejscu! – powiedział Hester. – To targowisko!

Speedwell jeszcze bardziej zwolniło i przygotowało się do zaparkowania między ubogą, napędzaną żaglem wioską a kupieckim miasteczkiem. Ludzie z innych osad pozdrawiali Speedwell i pytali, co Wreylandowie przywieźli na sprzedaż.

– Żłom – odpowiedziała pani Wreyland – trochę drewna, błyszczący dysk CD i dwoje młodych, zdrowych niewolników!

– Na Quirke’a! – wymamrotał pod nosem Tom, ze zdwojonym wysiłkiem zabierając się do powiększenia dziury w ścianie.

– Nie uda ci się jej dostatecznie powiększyć – zawyrokowała Hester, która zawsze obawiała się najgorszego.

– Mogłabyś mi pomóc, zamiast po prostu tak sobie siedzieć! – odwarknął Tom, ale od razu tego pożałował, bo widział, że jest bardzo chora. Zastanawiał się, co będzie, jeśli okaże się zbyt słaba, żeby uciec. Nie mógłby zostawić jej samej na łasce handlarzy niewolników. Ale jeśli nie ucieknie, też skończy jako niewolnik na jednym z tych brudnych, cuchnących miasteczek!

Starął się o tym nie myśleć i całą uwagę skoncentrował na powiększaniu dziury. Tymczasem na niebie pojawił się księżyc. Słyszał było muzykę i śmiech, a potem hałas przerzucanych ze Speedwell mostków i stukot kroków. Tom nadal mozolnie dłubał przy dziurze zardzewiałym gwoździem, próbując podważyć następną deskę. Niestety, bez skutku. W końcu zdesperowany odwrócił się do Hester i syknął:

– Pomóż!

Hester wstała niepewnie i pokuśtykała do dziury. Nie wyglądała tak źle, jak się tego obawiał. Może celowo oszczędzała siły, żeby przygotować się do ucieczki? Uważnie obmacała krawędzie

dziury i pokiwała głową. Oparła się mocno o bark Toma i zdrową nogą mocno kopnęła w ścianę. Za drugim razem drewno zaczęło pękać z trzaskiem, przy trzecim uderzeniu deski poszybowały z hukiem na zewnątrz.

- Też mogłem tak zrobić! - powiedział Tom, spoglądając zaskoczony na wielką dziurę.

- Ale nie zrobiłeś - odparła Hester, siląc się na uśmiech. Nareszcie przestała go traktować jak piąte koło u wozu. - No to chodź - powiedziała. - Chyba że wolisz tutaj zostać.

Setki kilometrów dalej Shrike zauważył coś w błocie oświetlonym blaskiem księżyca. Dał znak pilotom, a ci kiwnęli głowami, przygotowując „Jastrzębia 90” do lądowania. „Co znowu? Jak długo jeszcze mamy latać tam i z powrotem, aż wreszcie ten blaszak przyzna, że dzieciaki nie żyją, i da nam spokój?”, mruzcili pod nosem. Nie śmieli zaprotestować głośno, bo Shrike ich przerażał.

Otworzył się właz i wyszedł z niego Łowca. Jego zielone, fosforyzujące oczy w końcu natrafiły na to, czego szukał. Kawałek białej, podartej koszuli - mokry od deszczu, prawie całkowicie zagrzebany w błocie.

- Hester Shaw tu była - powiedział gdzieś w przestrzeń i zaczął węszyć w poszukiwaniu jej zapachu.

9. „JENNY HANIVER”

Na początku wydawało się, że szczęście im sprzyja. Przekradli się chyłkiem słabo oświetlonym pomostem, a potem pod błotnikiem jednego z kół. Widzieli przed sobą ciemne bryły innych miast ze światłami w oknach. Na górnym pokładzie jednego z nich, górniczego miasteczka na skraju targowiska, płonęło duże ognisko, przy którym odbywała się huczna zabawa.

Doszli do kładki łączącej Speedwell z zaparkowanym obok miasteczkiem handlowym. Nikt nie stał na straży, ale kładka była jasno oświetlona i kiedy przebiegali na drugą stronę, usłyszeli wołanie:

– Hej! Wujku Wreylandzie! Niewolnicy uciekli!

Tom biegł, ciągnąc za sobą Hester, która postękiwała przy każdym kroku. Wbiegli po schodkach na pomost, minęli posąg Perypateti, bogini wędrujących miast, i znaleźli się na placu targowym, na którym stały rzędami wielkie żelazne klatki z wychudzonymi, nędznie wyglądającymi niewolnikami. Tom zwolnił, żeby nie rzucać się w oczy. Z walącym sercem zaczął nasłuchiwać odgłosów pogoni. Byli sami. Może Wreylandowie zrezygnowali z pościgu, a może po prostu nie mieli zezwolenia na uganianie się za niewolnikami po pokładach innych miast.

– Idź na dziób – poradziła Hester, puszczając jego rękę i stawiając kołnierz, aby ukryć twarz. – Powinno się tam znajdować lotnisko. Chyba że mamy pecha.

Tym razem szczęście im dopisało. Na górnym pokładzie stało sześć statków powietrznych – ich ciemne, wypełnione gazem balony wyglądały jak wyrzucone na brzeg wieloryby.

– Chcesz ukraść sterowiec? – zapytał szeptem Tom.

– A potrafisz go pilotować? Tam z boku jest kawiarenka dla pilotów. Zachowujmy się jak zwykli pasażerowie.

Kawiarenka mieściła się w starej, rdzewiejącej gondoli statku powietrznego, którą przymocowano do pokładu. Przed wejściem

stało kilka metalowych stolików osłoniętych markizą. Cały lokal był oświetlony naftowymi lampami, a na jednym z krzeseł chrapał w najlepsze stary, brodaty wilk przestworzy. Jediną klientką była odziana w długi czerwony płaszcz kobieta o orientalnej urodzie, która siedziała przy barze. Pomimo braku słońca miała na nosie ciemne okulary. Kiedy Tom podszedł do baru, zmierzyła go spojrzeniem.

Za barem drobny mężczyzna z wielkimi, obwisłymi wąsikami wycierał szklanki.

– Szukam statku – zaczął Tom.

Mężczyzna podniósł obojętnie wzrok i zapytał:

– Dokąd?

– Do Londynu – odparł chłopak. – Ja i moja przyjaciółka musimy się tam dostać jeszcze tej nocy.

– Do Londynu? – Wąsiska barmana zafalowały niczym ogonki dwóch wiewiórek, które jakimś cudem dostały mu się do nosa. – Tylko statki z licencją Londyńskiego Cechu Kupców mogą lądować w Londynie. Żaden tutejszy statek nie ma takiego zezwolenia.

– Może ja się na coś przydam? – rozległ się łagodny, obco brzmiący głos. Kobieta w czerwonym płaszczu niezauważenie podeszła do Toma. Była szczupła i ładna, miała czarne, lekko przyprószone siwizną, krótko ostrzyżone włosy. Jej ciemne okulary odbijały światło lamp. Gdy się uśmiechnęła, Tom zwrócił uwagę na jej czerwone zęby.

– Nie mam londyńskiej licencji, ale wybieram się do Airhaven. Na pewno znajdziecie tam statek, który podrzuci was do Londynu. Czym zapłacicie?

Tom zaczął szperać w kieszeniach i wydobyl w końcu dwa zmięte banknoty z portretem Quirke'a po jednej stronie i ponurą twarzą Magnusa Crome'a po drugiej. Tamtego wieczoru, kiedy wypadł z Londynu, miał zamiar wydać je na festynie w ogrodach Kensington. Tutaj, w świetle naftowych lamp na podrzędnym lotnisku, banknoty te wyglądały całkiem niepoważnie.

– Dwadzieścia Quirke'ów – powiedziała kobieta. – Poza Londynem nie mają żadnej wartości. Na nic nie przydadzą się

takiej błąkającej się po świecie dziewczynie jak ja. Masz złoto? Albo starą technologię?

Tom wzruszył ramionami. Kątem oka zobaczył kilku nowych gości, przeciskających się między stolikami.

– Patrz, wujku Wreylandzie! – zawołał jeden z nich. – Są tutaj! Mamy ich!

Tom obejrzał się przez ramię. Wreyland i kilku jego ludzi okrążyło go, ściskając w łapach ciężkie, solidne kije. Tom złapał ledwo przytomną, opartą o bar Hester. Jeden z ludzi Wreylanda skoczył w stronę drzwi, aby uniemożliwić im ucieczkę, ale kobieta w czerwonym płaszczu zagroziła mu drogę.

– To moi pasażerowie. Właśnie omawialiśmy stawkę – powiedziała.

– To nasi niewolnicy! – wrzasnął Wreyland, przeciskając się do przodu. – Tom Nitsworthy i jego kumpelka. Znalazłem ich w Zewnątrz. Należą do mnie...

Tom czym prędzej wyprowadził Hester na metalowy pokład, a potem po schodkach na platformę z zacumowanymi sterowcami. Ludzie Wreylanda rozbiegli się po lotnisku w poszukiwaniu uciekinierów. Chwilę później usłyszał, jak któryś z nich pada z rumorem na pokład. Dobrze mu tak – pomyślał, choć wiedział, że inni wkrótce go dopadną.

Rozejrzał się dookoła. W niektórych latających maszynach paliły się światła. Gdyby miał broń, wtargnąłby do którejś gondoli, sterroryzowałby pilota i kazał zawieźć się do Londynu. Muszę coś wykombinować – pomyślał, lecz w tym samym momencie usłyszał czyjeś kroki.

– Zachowuj się rozsądnie, Nitsworthy! – powiedział Wreyland, podchodząc do niego. – Bo jak nie, to będę cię musiał walnąć. Chyba tego nie chcesz? Fred! – zawołał. – Znalazłem tych drani. Fred!

Tom wiedział, że to już koniec. Nie ma ratunku. Nawet nie próbował uciekać. Wreyland zbliżał się do niego, wymachując kijem. Hester z jękiem osunęła się na dużą metalową korbę.

– Też nie lubię niewolnictwa, ale czasy są ciężkie, a chyba nie zaprzeczycie, że was złapaliśmy, więc...

Nagle, zanim Tom zdążył się zorientować, Hester wyszarpnęła metalową rączkę z korby i rzuciła nią w Wreylanda. Kij wypadł burmistrzowi z ręki, a on sam runął z hukiem na pokład, łapiąc się za głowę.

– Au! – jęknął.

Hester rzuciła się naprzód, złapała metalowy pręt i zamierzyła się. Nim jednak zdążyła zmiażdżyć czaszkę Wreylanda, Tom złapał ją za ramię.

– Nie! Zabijesz go!

– I co z tego? – Odwróciła się do niego, szczerząc zęby jak rozwścieczona małpa. – No, co?

– On ma rację, moja droga – odezwał się łagodny głos. – Nie należy go zabijać.

Z mroku wyłoniła się kobieta, którą spotkali w barze. Jej czerwony płaszcz łopotał na wietrze, kiedy zbliżała się w ich kierunku.

– Myślę, że powinniśmy wsiąść na pokład mojego statku, nim przybiegnie reszta tej hałastry.

– Nie mamy pieniędzy – przypomniał jej Tom.

– Nie przejmuj się tym, Nitsworthy – odparła. – Przecież nie mogłabym stać z boku i przyglądać się, jak was sprzedają na targu niewolników, prawda? Sama byłam kiedyś niewolnicą i wiem, co to znaczy.

Gdy zdjęła okulary, okazało się, że ma ciemne, migdałowe oczy, a kiedy się uśmiechała, pojawiały się wokół nich delikatne kurze łapki.

– Poza tym – dodała – intrygujesz mnie. Co londyńczyk porabia na Terenie Polowań? Dlaczego pakuje się w kłopoty?

Wyciągnęła do Toma szczupłą dłoń.

– Skąd mamy wiedzieć, że nie zdradzi nas pani tak jak Wreyland? – zapytał podejrzliwie Tom.

– Znikąd! – roześmiała się. – Po prostu będziecie musieli mi zaufać.

Po przygodach z Valentine'em i Wreylandami Tom poprzysiągł sobie, że już nikomu w życiu nie zaufa, ale ta niezwykła kobieta była jego jedyną nadzieją.

– Zgoda – powiedział. – Ale Wreyland przekręcił moje nazwisko. Nazywam się Natsworthy.

– A ja Fang. Anna Fang. – Wciąż uśmiechała się do niego, ukazując czerwone zęby, i wyciągała rękę, jakby chcąc go uspokoić. – Mój statek stoi na stanowisku numer sześć.

Tom dał się wreszcie przekonać i poszli do sterowca panny Fang. Po drodze natknęli się na towarzyszy Wreylanda, leżących na pokładzie i gapiących się tępym wzrokiem w niebo.

– Czy oni... – szepnął Tom.

– Nawet nie wiedziałam, że jestem taka silna. Chyba stracili przytomność – powiedziała panna Fang.

Tom chciał się zatrzymać i sprawdzić, czy nic im nie jest, ale wzięła go za rękę i pociągnęła do stanowiska numer sześć. Zacumowany tam statek nie wyglądał elegancko. Był to czerwony balon z zardzewiałym silnikiem, przymocowanym do drewnianej gondoli.

– Przecież to złom! – wykrzyknął niemile zaskoczony Tom.

– Złom? – roześmiała się panna Fang. – Całkiem przeciwnie! „Jenny Haniver” została zbudowana z części najwspanialszych statków, jakie kiedykolwiek wzbiły się w powietrze! Powłoka balonu, wykonana z krzemowego jedwabiu, należała kiedyś do klipra z Shan Guo, silnik braci Jeunet-Carot z paryskiego myśliwca, komory na gaz z bojowego sterowca ze Spitsbergenu... Nieprawdopodobne, co można znaleźć w kupie złomu...

Wprowadziła ich do ciasnej gondoli, w której unosił się zapach egzotycznych przypraw. Była to wąska, przypominająca rurę konstrukcja z kabiną pilota na przedzie, sypialenką panny Fang na rufie i kilkoma kajutami pomiędzy nimi. Tom co chwilę musiał się schylać, żeby nie zawadzić głową o podwieszane pod sufitem szafeczki i nie zaplątać się w rozmaite kable. Mrucząc coś pod nosem w dziwnym obcym języku, panna Fang zasiadła za sterami. Nacisnęła jakiś guzik i zapaliło się zielone światło. Teraz kabina wyglądała jak akwarium.

– To powietrzne esperanto, język pilotów. Podczas samotnego latania ptasimi szlakami przyzwyczaiałam się mówić do siebie...

Panna Fang przesunęła ostatnią dźwignię, coś zaskrzypiało,

zasyczały zawory od gazu, z metalicznym zgrzytem puściły magnesy trzymające statek na płycie lotniska i z trzaskiem włączyło się radio:

– „JENNY HANIVER”, TU WIEŻA. NIE MASZ POZWOLENIA NA START!

Ale „Jenny Haniver” i tak startowała. Gdy statek zaczął się wzbijać w rozgwieżdżone niebo, Tom poczuł, jak żołądek przykleja mu się do pleców. Podeszedł niepewnie do okna: miasteczko zmniejszało się z każdą chwilą. Potem zobaczył pod sobą także Speedwell, a po kilku sekundach całe targowisko, które wyglądało teraz jak makieta miasta w muzeum.

– „JENNY HANIVER”! – ryczał głos z głośnika. – NATYCHMIAST WRACAJ! RADA MIEJSKA SPEEDWELL ŻĄDA WYDANIA ZNAJDUJĄCYCH SIĘ NA TWOIM POKŁADZIE PASAŻERÓW, W PRZECIWNYM WYPADKU BĘDZIEMY ZMUSZENI...

– Co za nudna audycja! – zażartowała panna Fang, wyłączając radio. Wyrzutnia rakiet domowej roboty na dachu ratusza Speedwell wypluła w ich stronę kilka rakiet. Trzy z nich świsnęły obok, nie wyrządziwszy żadnych szkód, czwarta wybuchła niedaleko prawej burty, aż gondola zakołysała się niczym wahadło, piąta eksplodowała jeszcze bliżej. Anna Fang uniosła tylko jedną brew, a Tom i Hester skulili się ze strachu, zamykając odruchowo oczy. Wkrótce jednak znaleźli się poza zasięgiem rakiet, „Jenny Haniver” wzbijała się dalej w chłodne nocne niebo, a targowisko zamieniło się w świetlistą plamkę pod chmurami.

10. „WINDA NA TRZYNASTE PIĘTRO”

Tamtej nocy na Londyn padał deszcz, ale o pierwszym brzasku niebo było czyste i jasne jak spokojne morze, a dym z miejskich silników wzbijał się prosto w bezwietrzne powietrze. Mokra pokłady lśniły niczym srebro w promieniach wschodzącego słońca, a wszystkie flagi zwieszały się nieruchomo na masztach. Był wspaniały wiosenny poranek, na który tak liczył Valentine, a którego tak obawiała się Katherine. Doskonałe warunki do latania.

Chociaż było bardzo wcześnie, na balkonach pierwszego poziomu zebrały się tłumy ludzi, którzy przyszli podziwiać start „Windy Na Trzynaste Piętro”. Gdy Gench wioził Katherine i jej ojca na lotnisko, dziewczyna zobaczyła, że Circle Park też jest pełen ludzi; wyglądało na to, że cały Londyn zebrał się, żeby pożegnać Valentine’a i życzyć mu szczęścia. Oczywiście nikt nie wiedział, dokąd miał lecieć, ponieważ jednak miasto wciąż pełną parą pędziło na wschód, wszędzie aż huczało od plotek: wszyscy byli przekonani, że misja Valentine’a ma coś wspólnego z jakąś zdobyczą, którą lord burmistrz wypatrzył gdzieś w głębi Terenu Polowań.

Wzniesiono nawet trybuny dla członków Rady i innych znamienitych osobistości. Po pożegnaniu ojca w hangarze Katherine dołączyła do nich i usiadła między Chudleighem Pomeroyem i doktorem Arkengarthem. Zebrała się tu elita Londynu: poważni, ubrani na czarno historycy, okryci purpurą kupcy, ponurzy nawigatorzy w zielonych szatach i odziani w białe płaszcze z kapturami inżynierowie, wyglądający jak gumowe manekiny. Nawet Magnus Crome wystroił się stosownie do okazji i zawiesił na chudej szyi starożytny złoty łańcuch lorda burmistrza.

Katherine wolałaby, żeby ci wszyscy ludzie zostali w domach. Trudno było się żegnać, gdy wszędzie dookoła wiwatowały

tłumy rozentuzjasmowanych londyńczyków, wymachujących chorągiewkami. Pogłaskała Psa po łbie i szepnęła:

– Patrz, tam jest tata, wchodzi po mostku do kabiny.

– Oby tylko wszystko odbyło się bez problemów – mruknął doktor Arkengarth. – Ciągłe słyhać o statkach, które bez powodu wybuchają przy starcie.

– Może powinniśmy się stąd cofnąć? – zasugerowała panna Pływ, nerwowa kuratorka zbioru antycznych mebli.

– Nonsens – oburzyła się Katherine. – Nic się nie stanie.

– Oczywiście. A ty, Arkengarth, nie gadaj głupstw – powiedział ku jej zdziwieniu Pomeroy. – Proszę się nie bać, panno Valentine. Pani ojciec ma najlepszy statek i najsprawniejszych pilotów na świecie. Nie ma mowy o żadnej awarii.

Katherine uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, ale mimo wszystko zacisnęła mocno kciuki. Psu również udzielił się jej nastrój, bo zaczął cichutko skomleć.

Z hangaru dobiegł trzask zamykanych drzwiczek i łoskot wciąganych drabinek. Na trybunach zaległa cisza oczekiwania. Londyńczycy wstrzymali oddech. Potem orkiestra zaczęła grać Zwycięski Londyn, a „Widę Na Trzynaste Piętro” wyprowadzono na słońce. Czarny, opancerzony balon z gazem lśnił niczym jedwab. Valentine stał na rufie gondoli i machał ręką. Pozdrowił trybuny i ekipę naziemną, a potem uśmiechnął się do Katherine, bezbłędnie odnalazłszy ją w tłumie.

Katherine pomachała do niego, ocierając ukradkiem łzę z policzka. Tłum zaczął krzyczeć i wiwatować na widok silników ustawionych w pozycji startowej. Obsługa naziemna usunęła liny cumownicze, śmigła zaczęły się obracać i w deszczu confetti olbrzymia maszyna uniosła się w powietrze. Niektórzy czeladnicy powyciągali transparenty z napisem:

NIECH ZYJE VALENTINE!

Wiwatom nie było końca, jakby rozentuzjasmowany tłum myślał, że tylko dzięki jego radosnym okrzykom najsłynniejszy londyński historyk utrzymuje się w powietrzu. „Va-len-tine! Va-

len-tine!” – skandowali.

Jednak Valentine nie zwracał na nich uwagi. Stał z uniesioną w pożegnalnym geście dłonią i patrzył na Katherine, aż statek wzbił się tak wysoko, że zniknął jej z oczu.

W końcu, gdy „Winda” zamieniła się już w czarny punkcik na wschodnim krańcu nieba, a trybuny zaczęły pustoszeć, otarła łzy, wzięła Psa za obrozę i odprowadziła go do domu. Już tęskniła za ojcem, ale przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Pod jego nieobecność zamierzała zorganizować własne śledztwo i dowiedzieć się, kim była ta tajemnicza dziewczyna i dlaczego tata tak się jej przeraził.

11. AIRHAVEN

Gdy Tom się wyspał i umył, a potem dostał coś do jedzenia, powiedział sobie, że to całkiem dobra przygoda. Niemal całkowicie zapomniał o trudach pieszej podróży przez błoto i o więzieniu w Speedwell. Widoki z okien lecącej ponad złocistymi chmurami „Jenny Haniver” wystarczyły, aby wspomnienie o podstępnym Valentine zatarło się w jego pamięci. Podczas śniadania, gdy w kabinie pilota pił z panną Fang gorącą czekoladę, odkrył, że świetnie się bawi.

Kiedy „Jenny Haniver” znalazła się poza zasięgiem rakiet ze Speedwell, panna Fang ustawiła statek na odpowiedni kurs, a potem znalazła Tomowi ciepłą kurtkę z wełnianą podpinką i przygotowała mu poślanie w ładowni, wysokim pomieszczeniu wypełnionym transportem foczych skór ze Spitsbergenu. Następnie zaprowadziła Hester do kajuty medycznej i opatrzyła jej nogę. Tom zajął do niej po śniadaniu. Spała jeszcze mocno, okryta białym kocem.

– Dałam jej lek przeciwbólowy – wyjaśniła panna Fang. – Będzie spać jeszcze dobrych parę godzin, ale nie musisz się o nią martwić.

Tom przypatrywał się twarzy śpiącej Hester. Jakoś zdawało mu się, że teraz, po umyciu i opatrzeniu rany, powinna wyglądać lepiej, lecz oczywiście była tak brzydka jak zawsze.

– Nieźle ją urządził ten Valentine – zauważyła panna Fang, prowadząc go z powrotem do kabiny pilota i siadając za sterami.

– Skąd pani wie o Valentine? – zdziwił się Tom.

– Och, przecież wszyscy słyszeli o Thaddeusie Valentine – roześmiała się. – Wiem, że jest największym historykiem Londynu, i wiem, że to tylko przykrywka tego, czym naprawdę się zajmuje jako tajny agent Crome’a.

– To nieprawda! – oburzył się Tom, wciąż instynktownie stając w obronie swojego byłego idola. Rzeczywiście w Londynie

krążyły plotki, że ekspedycje Valentine'a wiązały się z jakimiś ciemnymi sprawami, które nie miały nic wspólnego z archeologią. Teraz, gdy zobaczył okropne dzieło londyńskiego bohatera, zaczął w to wierzyć. Umilkł więc i zarumienił się po uszy ze wstydu, że tak podziwiał Valentine'a.

Panna Fang przyglądała mu się z lekkim współczującym uśmiechem.

– Kiedy opatrywałam wczoraj jej ranę, Hester opowiedziała mi o nim znacznie więcej. Oboje macie szczęście, że jeszcze żyjecie.

– Wiem – przyznał Tom, ale poczuł się trochę niepewnie. Wolałby, żeby Hester nie rozpowiadała wszystkim o ich przygodach. W końcu nie wiadomo, czego się można spodziewać po tej panie Fang.

Usiadł na fotelu drugiego pilota i zaczął się przypatrywać przyrządom. Było tu mnóstwo przełączników, wskaźników i dźwigni opisanych mieszaniną powietrznego esperanto, angielskiego i chińskiego. Nad nimi stał mały lakierowany ołtarzyk, ozdobiony czerwonymi wstążkami i zdjęciami przodków panny Fang. Uśmiechnięty kupiec z Manchu to pewnie jej ojciec. A czy ta rudowłosa kobieta z Lodowych Pustkowi to jej mama?

– A więc powiedz mi, Tom – zagadnęła panna Fang, manipulując przy sterach – dokąd właściwie jedzie Londyn?

Tom nie spodziewał się tego pytania.

– Nie wiem! – odparł.

– Na pewno musisz coś wiedzieć! – roześmiała się. – Twoje miasto opuściło kryjówkę na zachodzie, wjechało na Teren Polowań, a teraz pruje pełną parą dalej na wschód. Chyba słyszałeś jakieś plotki, co?

Ciemnymi, skośnymi oczami tak spojrzała na Toma, że oblizał nerwowo wargi, zastanawiając się, co powiedzieć. Nigdy nie zwracał uwagi na głupie plotki czeladników. Dlatego naprawdę nie miał pojęcia, dokąd zmierza Londyn. Zresztą nawet gdyby było inaczej, nie powinien udzielać takich informacji tajemniczym azjatyckim aeronautkom. Co by się stało, gdyby panna Fang opowiedziała o tym jakiemuś wielkiemu miastu,

spodziewając się nagrody? Jeśli jednak nic jej nie powie, może zostać natychmiast wyrzucony ze statku – nawet bez lądowania!

– Cech Nawigatorów mówi, że na środkowym Terenie Polowań jest mnóstwo miasteczek do pożarcia – wydusił w końcu.

Panna Fang uśmiechnęła się jeszcze szerzej, błyskając czerwonymi zębami.

– Serio?

– Słyszałem to z ust samego głównego nawigatora – zapewnił.

Panna Fang pokiwała głową, a potem przesunęła długi mosiężny drążek. Wewnątrz balonu zasyczały zawory i „Jenny Haniver” zaczęła obniżać lot, wpadając w grube mlecznobiałe chmury. Tom poczuł, jak zatykają mu się uszy.

– Zaraz ci pokażę, jak wygląda środkowy Teren Polowań – zachichotała, spoglądając na mapę.

Lecieli coraz niżej, aż w końcu chmury rozrzedziły się i Tom zobaczył przypominającą pognieciony pakowy papier szarobrazową ziemię poprzecinaną długimi błękitnymi liniami – zalany wodą śladami, pozostawionymi przez niezliczone ruchome miasta. Po raz pierwszy od ucieczki z targowiska zaczął się bać.

– Nie musisz się niczego obawiać, Tom – zapewniła go panna Fang.

Uspokoił się trochę i spojrzał ciekawie w dół. Daleko na północy dostrzegł skrzący się w słońcu śnieg Lodowych Pustkowi i ciemne stożki ziejących ogniem gór Tannhäuser. Zaczął się rozglądać za Londynem i w końcu zdało mu się, że go widzi – malutką szarą plamkę, zostawiającą za sobą tumany kurzu. Zauważył też inne miasteczka, a nawet parę dużych aglomeracji, jadących po błotnistej równinie lub przycupniętych u podnóży gór. Było ich jednak znacznie mniej, niż się spodziewał. Na południowym wschodzie w ogóle nie dojrzał żadnego miasta – tylko zasnutę mgłą bagna, a dalej srebrzącą się wodę.

– To wielkie śródlądowe morze Khazak – poinformowała go panna Fang. – Na pewno znasz tę starą piosenkę – dodała, a potem zaczęła śpiewać melodyjnym, wysokim głosem: – „Strzeż się, strzeż morza Khazak, bo miasto, co się tam zakrada, nigdy nie

powróci...”

Lecz Tom jej nie słuchał. Zauważył coś znacznie bardziej przerażającego od śródlądowego morza.

Dokładnie pod „Jenny Haniver” znajdowało się martwe miasto. Stało na ziemi rozoranej wijącymi się i poplątanymi śladami po mniejszych osiedlach. Kiedy panna Fang obniżyła lot, Tom przekonał się, że nie miało podwozia ani silników, a jego pokłady były właśnie rozrywane przez chmurę miasteczek, które buszowały w cieniu dolnych pięter. Grasowały tam również grupy ludzi z pochodniami, które lśniły w mroku niższych kondygnacji niczym lampki na choince.

Z jednego z miasteczek wzbił się kłęb dymu i wystrzeliła rakietą, która eksplodowała paręset metrów pod „Jenny Haniver”. Panna Fang bez pośpiechu poruszyła jedną z dźwigni i Tom poczuł, że zaczynają się wznosić.

– Połowa padliniarzy z Terenu Polowań pracuje przy wraku Motoropolis – oznajmiła. – Są strasznie zazdrośni. Strzelają do każdego, kto się zbliży. I do siebie nawzajem.

– Ale jak do tego doszło? – zdumiał się Tom, spoglądając na wielki szkielet.

– Motoropolis się zagłodziło – wyjaśniła panna Fang. – Zabrakło mu paliwa i stanęło, a wtedy kilka mniejszych miast zaczęło je podgryzać. Trwa to już od kilku miesięcy. Podejrzewam, że wkrótce zjawi się jakieś duże miasto i dokończy robotę. Widzisz, Tom, na środkowym Terenie Polowań jest za mało pożywienia, więc Londyn nie mógł spodziewać się tu dobrych łupów.

Tom odwrócił się i ostatni raz spojrział na martwego kolosa. Na północnym zachodzie stado drapieżnych osad goniło grupkę padlinożernych miasteczek, wyławiając najwolniejsze i najśłabsze, a potem je atakując. Nim jednak połów dobiegł końca, „Jenny Haniver” zanurzyła się znowu w chmurach i wrak Motoropolis zniknął z pola widzenia.

Kiedy panna Fang znowu na niego spojrzała, wciąż miała uśmiech na ustach, lecz jej oczy lśniły dziwnym blaskiem.

– Skoro więc Magnus Crome nie liczy na dobre łowy, to o co może mu chodzić? – zapytała.

Tom pokręcił głową.

– Jestem tylko czeladnikiem trzeciej kategorii – wyznał. – Tak naprawdę nie znam głównego nawigatora.

– Hester wczoraj wspomniała mi o czymś – powiedziała. – O rzeczy, którą Valentine zabrał jej biednym rodzicom. Meduza. Dziwna nazwa. Słyszałeś ją? Wiesz, co oznacza?

Tom pokręcił głową. Anna Fang przypatrywała mu się uważnie, przesywając go wzrokiem na wylot. Potem roześmiała się.

– No, nieważne. Muszę was odtransportować do Airhaven, a potem znajdziemy ci jakiś statek do domu.

Airhaven! Było to najśłynniejsze miasto w całych dziejach mobilizmu, kiedy więc wieczorem jego nawigatorzy odezwali się przez radio, Tom czym prędzej pobiegł do kabiny pilota. Po drodze spotkał zasną Hester, która wyszła ze swojej kabiny. Anna Fang zrobiła, co mogła, żeby poprawić stan jej zdrowia, ale w żaden sposób nie wpłynęło to na jej maniery. Gdy tylko ujrzała Toma, ukryła twarz, a na pytanie, jak się czuje, spiorunowała go wzrokiem i mruknęła coś pod nosem.

W kabinie pilota panna Fang powitała ich radosnym uśmiechem.

– Patrzcie! Airhaven!

Oboje stanęli za jej fotelem i spojrzeli w okno. Daleko przed nimi, za morzem chmur, lśnił w świetle zachodzącego słońca jednopoziomowy, zbudowany z lekkiego stopu metali pokład, podwieszony pod różnobarwnymi balonami.

Dawno temu Airhaven zdecydowało się uciec przed wygłodniałymi miastami, wzbijając się w powietrze. Teraz było to miasto handlowe, ulubione miejsce spotkań lotników, przez całe lato dryfujące ponad Terenem Polowań, a na zimę odlatujące na południe. Tom pamiętał, jak pewnego razu przez cały tydzień leciało nad Londynem. Turystyczne balony zabierały wtedy z Circle Parku i ogrodów Kensington ludzi, których było stać na taką wycieczkę. Po powrocie wszyscy opowiadali nieprawdopodobne historie o tym podniebnym mieście. A teraz

on sam się tam znajdzie i zobaczy je na własne oczy! I to nie tylko z balonu! Będzie miał czym się pochwalić innym czeladnikom, kiedy wróci do domu!

Statek powoli płynął w kierunku miasta. Gdy słońce schowało się za chmurami, panna Fang wyłączyła silniki, pozwalając „Jenny Haniver” dryfować w stronę lądowiska, gdzie obsługa w błękitnych uniformach, machając flagami, skierowała ją na wyznaczone miejsce. Na tarasach za płytą lotniska stały grupki turystów, lotników oraz hobbystów, którzy skrętnie zapisali w zeszytach numery lądującej „Jenny Haniver”.

Po kilku chwilach Tom wyszedł na chłodne, rozrzedzone powietrze, rozglądając się wokół i podziwiając eleganckie statki pasażerskie, stare porzewiałe sterowce, zwrotne podniebne strzały z przezroczystymi balonami i pomalowane w tygrysie pasy frachtowce ze Stu Wysp.

– Patrzcie! – wykrzyknął, pokazując palcem dachy domów. – To Podniebna Giełda, a tam Kościół Wniebowstąpienia, w Muzeum Londyńskim wisi jego obraz!

Jednak panna Fang widziała te wszystkie cuda wiele razy, a Hester przestraszyła się tłumu gapiów i ukryła twarz.

Panna Fang zamknęła drzwiczki „Jenny” na klucz, który zawiesiła sobie na szyi, lecz gdy podbiegł do niej bosy chłopczyk i, ciągnąc ją za rękaw, zapytał: „Popilnować statek?”, roześmiała się i rzuciła mu trzy kwadratowe monety. „Nie pozwolę nikomu myszkować po pokładzie!” – zapewnił dzieciak, stając na baczność przed gondolą. Pojawili się umundurowani strażnicy. Z uśmiechem powitali pannę Fang, lecz spojrzeli podejrzliwie na jej pasażerów. Sprawdzili, czy nowo przybyli nie mają podkutych butów lub zapalniczek, po czym wprowadzili ich do budynku lotniska, gdzie wielkie plansze ostrzegają:

**ZAKAZ PALENIA, WYŁĄCZYĆ WSZELKIE URZĄDZENIA
ELEKTRYCZNE, NIE ISKRZYĆ.**

Iskry były postrachem lotników, ponieważ mogły spowodować wybuch gazu w balonach. W Airhaven nawet nazbyt energiczne

czesanie włosów stanowiło poważne wykroczenie; wszyscy przyjezdni musieli podpisać oświadczenie, że będą się stosować do przepisów bezpieczeństwa, a także przekonać urzędników, że nie stanowią zagrożenia dla miasta.

W końcu wypuszczono ich na High Street. Jedyna obiegająca miasto dookoła ulica Airhaven była pełna sklepów, straganów, hurtowni, restauracyjek i hotelików lotniczych. Tom rozglądał się uważnie, starając się wszystko jak najlepiej zapamiętać. Na każdym dachu obracały się wiatraki, podłączone do głównej elektrowni, tu i ówdzie po gigantycznych prądnicach i silnikach chodzili mechanicy. Powietrze było przesycone egzotycznymi zapachami obcej kuchni. Wszędzie widziało się okrytych powiewającymi na wietrze płaszczami lotników, przechadzających się ulicą z pewnością siebie ludzi, którzy całe życie spędzili w powietrzu.

Panna Fang wskazała dłonią budynek z sztyldem w kształcie statku powietrznego.

– To zajazd Balon i Gondola – oznajmiła. – Postawię wam kolację, a potem znajdziemy kogoś, kto podrzuci was do Londynu.

Poszli w kierunku gospody: panna Fang na przedzie, a za nią Hester, wciąż skrywająca twarz, i Tom, który rozglądał się ciekawie po okolicy, żałując, że jego przygoda wkrótce dobiegnie końca. Nie zauważył jednak kołującego wśród innych statków „Jastrzębia 90”, który oczekiwał na lądowanie. Zresztą nawet gdyby go spostrzegł, i tak z tej odległości nie zdołałby odczytać jego numerów ani zobaczyć wymalowanego na balonie czerwonego koła Cechu Inżynierów.

12. BALON I GONDOLA

Zajazd był duży, mroczny i zatłoczony. Ściany udekorowano modelami statków powietrznych w butelkach i śmigłami słynnych starych sterowców, których nazwy starannie na nich wymalowano: „Nadzieжда”, „Aeromyszka” i „Niewidzialna Dżdżownica”. Przy metalowych stolikach siedzieli lotnicy, rozmawiający o ładunkach i wymieniający informacje o cenach paliwa. Byli wśród nich Tybetańczycy, Aero-Tuaregowie, Bantu, Eskimosi i rośli, odziani w futra mieszkańcy Lodowych Pustkowi. Ujgurska dziewczyna grała na czterdziestostrunowej gitarze serenadę, której melodię zaczęły właśnie zagłuszać informacje z głośnika:

– NA STANOWISKU TRZECIM WYLĄDOWAŁ „SZALONY WIATR” PROSTO Z PALATYNATU NEO-MAJÓW Z ŁADUNKIEM CZEKOLADY I WANILII. – Zaraz potem usłyszeli: – NA STANOWISKU SIÓDMYM LĄDUJE „MOJA SHIRONA” W DRODZE DO ARCHANGIELSKA...

Anna Fang zatrzymała się przy ołtarzyku obok wejścia i podziękowała bogom niebios za udaną podróż. Grubiutka, czerwona postać boga lotników przypominała Tomowi Chudleigha Pomeroya, lecz jego żona, Pani Niebios, była okrutna i podstępna; gdy wpadała w furję, zsyłała huragany i rozrywała balony z gazem. Anna złożyła jej w ofierze ryżowe ciasteczka i trochę drobnych monet, a Tom i Hester spuścili głowy i wymamrotali pod jej adresem kilka słów podziękii – tak na wszelki wypadek.

Kiedy podnieśli wzrok, zobaczyli, że panna Fang podchodzi do grupy pilotów, siedzących przy stoliku w rogu.

– Khora! – wykrzyknęła.

Gdy do niej dołączyli, wirowała już w ramionach przystojnego młodego Afrykańczyka i rozmawiała z nim w powietrznym esperanto. Tom był niemal pewien, że usłyszał słowo „Meduza”.

– Szybowaliśmy na silnym wietrze całą drogę z Zagwa! – powiedział Afrykańczyk, po czym na dowód prawdziwości swych słów wytrząsnął z czapki czerwony saharyjski piasek.

Khora okazał się kapitanem statku bojowego „Mokele Mbembe” ze statycznej enklawy w Górach Księżycowych, sprzymierzonej z Ligą Antymobilistów. Lecił właśnie do Shan Guo, gdzie miał rozpocząć służbę w siłach lotniczych wielkiej antymobilistycznej fortecy Batmunkh Gompa. Tom czuł się początkowo niezręcznie, siedząc obok żołnierza Ligi, ale Khora wyglądał na wesołego człowieka, równie otwartego jak sama panna Fang. Kiedy ona zamawiała jedzenie, przedstawił swoich przyjaciół: ponurego, wysokiego Nilsa Lindstroma z „Garden Aëroplane Trap” oraz piękną, uśmiechniętą Arabkę Yasminę Rashid z palmirskiego statku korsarskiego „Zainab”. Wkrótce wszyscy śmiali się i dowcipkowali, wspominając bitwy ponad Stoma Wyspami i pijackie imprezy w dzielnicy lotników w Panzerstadt-Linz. Anna Fang podsuwała swoim gościom talerze z jedzeniem.

– Jeszcze mielonej kozatki, Tom? Hester, skosztuj tego pieczonego nietoperza, po prostu niebo w gębie!

Kiedy Tom dłubał w dziwnym jedzeniu drewnianymi pałeczkami, które dostał zamiast noża i widelca, Khora pochylił się ku niemu i zapytał półgłosem:

– Więc ty i twoja dziewczyna jesteście teraz załogą „Jenny”?

– Nie, nie! – zapewnił go pośpiesznie Tom. – To znaczy, ona nie jest moją dziewczyną i jesteśmy tylko pasażerami... – Pogrzebał trochę w papce z chleba świętojańskiego i wreszcie zdecydował się zapytać: – Dobrze pan zna pannę Fang?

– Jasne! – roześmiał się Khora. – Wszyscy lotnicy znają Annę. No i oczywiście całą Liga. W Shan Guo nazywają ją Feng Hua, co znaczy „Anemon”.

Tom chciał już zapytać, dlaczego panna Fang ma specjalne imię w Shan Guo, ale Khora ciągnął dalej:

– Wiesz, że własnoręcznie zbudowała „Jenny Haniver”? Kiedy była dzieckiem, miała nieszczęście znaleźć się wraz z rodzicami na pokładzie miasteczka, które zostało pożarte przez Archangielsk. Jako niewolnica została zmuszona do pracy w

fabryce sterowców. Przez lata podkradała różne części, aż wreszcie zbudowała „Jenny” i uciekła.

– Nie wspomniała o tym – odparł zdziwiony Tom.

– Rzadko porusza ten temat – powiedział Khora. – Widzisz, jej rodzice nie dożyli ucieczki; umarli jako niewolnicy.

Tom poczuł przypływ współczucia dla biednej panny Fang, sieroty takiej jak on. Czy dlatego ciągle się uśmiechała? Żeby ukryć swój smutek? Dlatego uratowała Hester i jego? Żeby oszczędzić im losu jej rodziców? Uśmiechnął się do niej, a ona podała mu talerz wypełniony chudymi czarnymi nóżkami.

– Tom, spróbuj tej tarantuli...

– NA STANOWISKU CZTERNASTYM LĄDUJE LONDYŃSKI STATEK PASAŻERSKI GE47! – odezwał się głośnik.

Tom aż podskoczył, przewracając krzesło, które z hukiem runęło na podłogę. Znał te szybkie stateczki, jakich inżynierowie używali do zwiadów i patrolowania górnych pięter Londynu. Wiedział, że żaden z nich nie miał nazwy, tylko numery rejestracyjne, które zawsze zaczynały się od liter GE.

– Wysłali ich po nas! – jęknął przerażony.

Panna Fang też wstała z krzesła.

– Może to tylko zbieg okoliczności – powiedziała. – Musi tu być wiele statków z Londynu... A jeśli nawet Valentine wysłał kogoś za wami w pogoń, jesteście wśród przyjaciół. Na pewno poradzimy sobie z tymi waszymi okropnymi wołojadami.

Tom zobaczył, że Hester się uśmiecha. Nagle uświadomił sobie, że cieszy się, że są razem, i poczuł, że będzie jej bronić za wszelką cenę.

Wtem zgasły wszystkie światła.

Ludzie zaczęli krzyczeć, gwizdać, z kuchni dobiegł ich trzask rozbijanych talerzy. Za oknami też zrobiło się nagle ciemno.

– W całym mieście wysiadła elektryczność – oznajmił ponurym głosem Lindstrom. – To pewnie awaria w elektrowni!

– Nie – wtrąciła się Hester. – Znam te sztuczki. Chcą wywołać chaos, żebyśmy nie uciekli. Idą po nas... – W jej głosie zabrzmiała nuta paniki, jakiej Tom wcześniej u niej nie słyszał, nawet podczas ucieczki ze Speedwell. Nagle zaczął się bardzo bać.

W drugim końcu sali, przy drzwiach, gdzie tłoczyli się ludzie chcący wyjść na zewnątrz, rozległ się krzyk. Potem następny, a po chwili brzęk tłuczonego szkła, wrzaski, przekleństwa, hałas upadających krzesel i stolików. Nad kotłującym się tłumem zapaliły się dwie zielone lampki.

– To nie żaden wołożerca! – szepnęła Hester.

Tom był całkiem dezorientowany. W jej tonie wyczuł przerażenie i zarazem ulgę.

– Hester Shaw – zaskrzeczał metaliczny głos.

Z drzwi buchnęły kłęby pary i ukazał się w nich Łowca.

Był wysoki na dwa i pół metra, a pod jego płaszczem lśniła metalowa zbroja. Miał pociągłą twarz, bladą i błyszczącą od śluzu, tu i tam przez skórę przeświecały białobłękitne kości. W nieosłoniętych wargami ustach lśniły metalowe zęby. Nos i czoło miał pokryte metalowym hełmem, z którego sterczały rurki i przewody, biegnące do otworów w klatce piersiowej. Okrągłe zielone oczy nadawały jego twarzy wyraz zdumienia, jakby wciąż nie mógł się przyzwyczaić do tego, co z nim zrobiono.

Bo to właśnie najbardziej przerażało u Łowców: kiedyś byli ludźmi, a głęboko w ich metalowych czaszkach wciąż tkwił żywy ludzki mózg.

– To niemożliwe! – jęknął Tom. – Nie ma już Łowców! Wszyscy zostali zniszczeni wieki temu!

Łowca jednak wciąż przed nim stał, przerażająco rzeczywisty. Tom chciał się cofnąć, lecz nie mógł się ruszyć. Coś gorącego, jak rozlana herbata, popłynęło mu po nogach i nagle dotarło do niego, że się posusiał.

Mechaniczny człowiek podchodził do nich powoli, spychając z drogi krzesła i stoły. Leżące na podłodze naczynia chrupały pod jego stopami. Z mroku za nim wypadł jakiś lotnik i zamachnął się na niego mieczem, lecz klinga odbiła się od pancerza, a Łowca, nie odwracając się, powalił go jednym uderzeniem wielkiej pięści.

– Hester Shaw – powiedział. – Thomas Natsworthy.

Wie, jak się nazywam! – pomyślał z przerażeniem Tom.

– Ja... – zaczęła panna Fang, ale nawet jej zabrakło słów.

Odciągnęła Toma, a Khora i pozostali lotnicy dobyli mieczy i wystąpili do przodu. Jednak Hester, zamiast zostać z tyłu, przecisnęła się w stronę Łowcy.

– W porządku – powiedziała dziwnym, słabym głosem. – Znam go, porozmawiam z nim.

Łowca obrócił ku niej bladą twarz, soczewki w jego mechanicznych oczach zaczęły się obracać.

– Hester Shaw – powtórzył syczącym jak ulatniający się gaz, chropawym głosem.

– Cześć, Shrike – powitała go Hester.

Przekrzywił głowę i spojrzał na nią. Uniósł metalową rękę, zawahał się, a potem dotknął jej twarzy, zostawiając na policzku plamy smaru.

– Przepraszam, że nie miałam okazji się z tobą pożegnać...

– Teraz pracuję dla burmistrza Londynu – przerwał jej Shrike. – Wysłał mnie, żebym cię zabił.

Tom jęknął żałośnie, a Hester roześmiała się niepewnie.

– Ale... nie zrobisz tego, prawda, Shrike? Nie zabiłbyś mnie?

– Zabiję – odparł obojętnie Shrike, wciąż się jej przyglądając.

– Nie, Shrike! – zawołała z płaczem Hester. Panna Fang, wykorzystując okazję, wyszarpnęła z kieszeni płaszcza przypominający wachlarz kawałek metalu i rzuciła nim w Łowcę. Wachlarz utworzył w powietrzu lśniący, ostry jak brzytwa dysk, który obracając się pomknął w kierunku gardła Shrike'a.

– Bojowe frisbee Neo-Majów! – wyszeptał z zapartym tchem Tom, który widział tego typu broń w muzealnej gablotce. Wiedział, że dysk potrafi przeciąć ludzką szyję nawet z odległości sześćdziesięciu kroków, zamartł więc, czekając, że za chwilę głowa Łowcy spadnie na ziemię – ale frisbee uderzyło z brzękiem w opancerzone gardło i utkwiono w nim, drgając.

Usta Shrike'a rozszerzyły się w uśmiechu i Łowca skoczył do przodu szybko jak błyskawica. Panna Fang zrobiła unik, dała susa w bok, usiłując go kopnąć. Jednak mechaniczny człowiek był dla niej za szybki.

– Uciekajcie! – zawołała do Hester i Toma. – Wracajcie na „Jenny” i czekajcie!

Co mogli zrobić? Uciekli. Kiedy przebiegali obok, Łowca zamachnął się na nich, lecz Khora złapał go za ramię, a Nils Lindstrom zdzielił go mieczem po twarzy. Shrike odrzucił Khorę na bok i uniósł rękę; metal uderzył z brzękiem o metal, Lindstrom upuścił złamany miecz, zawył z bólu i chwycił się za ramię. Shrike odepchnął go na bok i podniósł Annę w powietrze, a potem rzucił ją na Khorę i Yasmine.

– Panno Fang! – krzyknął Tom. Przez moment zastanawiał się, czy nie zawrócić, ale wiedział o Łowcach dostatecznie wiele, by zdawać sobie sprawę, że nie jest w stanie jej pomóc. Ruszył więc w ślad za Hester. Przeskakując przez kłębiące się ciała, dobiegł do wyjścia i wypadł na ulicę, gdzie w mroku krążyli zdezorientowani i przerażeni przechodnie. Wyły syreny. Nad elektrownią unosiły się kłęby dymu, a Tomowi zdawało się, że widzi błysk ognia – tego, czego lotnicy najbardziej się obawiali!

– Nie rozumiem – mamrotała zdyszana Hester. – Przecież on nie mógłby mnie zabić!

Wciąż jednak biegła i w końcu razem dopadli do stanowiska numer siedem, gdzie czekała na nich „Jenny Haniver”.

Shrike zadbał jednak, by stateczek panny Fang nie mógł tej nocy odlecieć. Balon z gazem był rozcięty, osłona silnika zdarta, a wyrwane pęki przewodów wylewały się z niego niczym spaghetti z blaszanej puszkii.

Tom wpatrywał się we wrak osłupiały. Za nim coraz głośniej dudniły o metalowy pokład ciężkie, miarowe kroki.

Rozejrzał się w poszukiwaniu Hester. Nie było jej. Po chwili dostrzegł, jak kuśtykając, zbiega po pokładzie. Nagle zdał sobie sprawę, że uszkodzone powietrzne miasto zaczęło się niebezpiecznie przechylać. Pobiegł za nią w stronę sąsiedniego stanowiska. Właśnie wylądował tam niepozornie wyglądający balon. Na pokład wysypała się grupa zdziwionych turystów, którzy nie byli pewni, czy ciemność i krzyki oznaczały alarm, czy też w taki sposób tu się bawią. Hester precyzyjnie się między nimi, torując sobie drogę łokciami, wyrzuciła sternika z kosza i wskoczyła na jego miejsce.

– Stać! Złodzieje! Porywacze! Pomocy! – zawołał zaskoczony

sternik.

Tom słyszał za sobą coraz głośniejsze, przerażające dudnienie.

– Tom! Chodź!

Zebrał odwagę i wskoczył za Hester. Kiedy wylądował w koszu, odwiązywała właśnie liny cumownicze.

– Wyrzuć cały balast! – krzyknęła.

Zrobił, co kazała. Balon wzbił się w górę. Wkrótce Airhaven wyglądało jak ciemny obwarzanek, a Shrike skurczył się do rozmiarów małej plamki z żarzącymi się zielonymi punkcikami. Łowca stał na płycie lotniska ze wzrokiem utkwionym w uciekający balon.

13. ZMARTWYCHWSTANIEC

W ciemnych wiekach, przed świtem ery mobilizmu, nomadyczne imperia wojowały ze sobą na usianej wulkanami ziemi Europy. To oni zbudowali Łowców. Ściągali ciała poległych z pól bitewnych i przywracali je do czegoś w rodzaju życia, podłączając do ich systemów nerwowych dziwne części starej technologii.

O imperiach dawno już zapomniano, lecz nie o skonstruowanych przez nie zmartwychwstańcach. Tom pamiętał, jak będąc dzieckiem, bawił się w sierocińcu. Stąpał ciężko z wyciągniętymi w przód ramionami i krzyczał: „Je-stem ŁOW-CĄ! Za-bi-jać!”, dopóki nie przysłała pani Plym i nie kazała mu być cicho.

Nigdy jednak nie podejrzewał, że spotka jednego z nich.

Gdy ukradziony balon leciał z wiatrem na wschód, Tom usiadł, drżąc z zimna, w chyboczącym się koszu i odwrócił się bokiem do Hester. Nie chciał, żeby zobaczyła mokrą plamę na jego spodniach.

– Myślałem, że oni wszyscy wyginęli setki lat temu – stwierdził.
– Wydawało mi się, że polegli w bitwach albo zwariowali i porozrywali się na strzępy...

– Shrike ocalał – odparła Hester.

– Znasz go?!

– Jasne – powiedziała. – Jesteśmy starymi znajomymi.

Poznała Shrike'a dzień po tym, jak zginęli jej rodzice – tego samego ranka, kiedy obudziła się na brzegu Terenu Polowań. Padał deszcz. Hester nie miała pojęcia, jak się tam znalazła, a głowa bolała ją tak bardzo, że nie miała siły się ruszyć ani zebrać myśli.

Nieopodal stało najmniejsze i najbrzydsze miasteczko, jakie

kiedykolwiek widziała. Ludzie z wielkimi wiklinowymi koszami na plecach schodzili z niego po drabinkach lub kładkach, zbierali z ziemi szczątki statków i drewno, a potem wracali na pokład. Paru z nich wzięło łódkę jej ojca, wkrótce dojrżeli także Hester. Podeszło do niej dwóch mężczyzn. Jeden był typowym brudnym padliniarzem. Przyjrzał się Hester uważnie, a potem odszedł i powiedział do towarzysza: „Przykro mi, panie Shrike – myślałem, że to może być lalka do pańskiej kolekcji, ale to człowiek...” Potem odwrócił się od zakrwawionej dziewczynki i zaczął przeszukiwać wyrzucone przez fale śmieci. Obchodziło go tylko to, co można było sprzedać, więc ludzkie żywe dziecko nie stanowiło dla niego żadnej wartości.

Drugi mężczyzna stał tam, gdzie przedtem, i patrzył na Hester. Dopiero kiedy pochylił się i dotknął jej twarzy, poczuła zimny, twardy metal pod jego rękawiczkami i zdała sobie sprawę, że wcale nie był człowiekiem. Kiedy przemówił, jego głos brzmiał jak pisk drucianej szczotki pocieranej o szkolną tablicę.

– Nie możesz tu zostać, dziecko – powiedział, podnosząc Hester. Przerzucił ją przez ramię i zabrał na pokład miasteczka.

Miasteczko nazywało się Strole i mieszkało w nim pięćdziesięciu nieokrzesanych padliniarzy, którzy, ilekroć trafiała się okazja, okradali mniejsze osady ze starej technologii, a gdy nie mieli szczęścia, zbierali złom z odpadów pozostawionych przez większe miasta. Shrike mieszkał razem z nimi, lecz nie był padliniarzem. Gdy przestępcy z któregoś z wielkich mobilnych miast uciekali do Zewnątrz, Shrike tropił ich i odcinał im głowy, które potem pieczołowicie konserwował. Kiedy spotykał na drodze odpowiednie miasto, udawał się do władz, oddawał im głowę złoczyńcy i odbierał nagrodę.

Hester nigdy nie dowiedziała się, dlaczego ją uratował. Nie mógł tego zrobić z litości, bo nie wiedział, co to litość. Jedynym objawem czułości, który u niego dostrzegła, był sposób, w jaki obchodził się ze swoją kolekcją. Shrike był zafascynowany starymi automatami i mechanicznymi zabawkami. Kupował wszystko, co znosili mu padliniarze. Jego wałacy się domek był pełen mechanicznych zwierzątek, rycerzy w zbrojach,

nakręcanych żołnierzyków z kluczykami w plecach. Shrike miał nawet wielkiego Anioła Śmierci, wymontowanego z jakiegoś miejskiego zegara. Ale najbardziej lubił kobiety i dzieci: piękne damy w przeżartych przez mole sukniach, rumiane dziewczynki i chłopców z porcelanowymi buziami. Całymi nocami siedział nad nimi, rozmontowywał je i naprawiał, przyglądając się ich mechanicznym sercom, jakby szukał w nich prawdy o własnym wnętrzu.

Czasami Hester wydawało się, że jest częścią jego kolekcji. Czy przypominała mu o ranach, które odniósł w bitwach dawno zapomnianych wojen, kiedy był jeszcze człowiekiem?

Mieszkała z nim przez pięć długich lat, podczas których jej rana zagoiła się brzydko, zostawiając szpetną bliznę i nadając twarzy wyraz ciągłego skrzywienia, a pamięć wróciła powoli. Niektóre wspomnienia były zdumiewająco wyraźne: fale objijające się o brzeg Wyspy Dębów, głos mamy, wiatr pachnący świeżą trawą i krowim łajnem. Inne były niejasne i niezrozumiałe; migały jej przed oczyma, kiedy układała się do snu, albo pojawiały się nagle, gdy spacerowała wśród milczących mechanicznych figurek Shrike'a. Krew na mapach nieba. Brzęk metalu. Pociągnęła męska twarz o szarobłękitnych oczach. Trzeba było skrzętnie przechowywać te strzępy informacji i poskładać w całość, tak jak części maszyn wykopywane przez padliniarzy.

Dopiero kiedy przypadkiem usłyszała od ludzi o wielkim Thaddeusie Valentine, zaczęła wszystko rozumieć. Ze zdziwieniem spostrzegła, że zna to imię: tak nazywał się człowiek, który zabił jej mamę i tatę, a ją zmienił w potwora. Od tamtej pory wiedziała, co musi zrobić. Poszła do Shrike'a i powiedziała mu, że chce zabić Valentine'a.

– Nie możesz tego zrobić – odpowiedział jej Łowca. – Zginiesz.

– To chodź ze mną! – poprosiła, ale nie chciał. Słyszał o Londynie i o tym, jak bardzo Magnus Crome kochał technologię. Uważał, że gdyby tam trafił, Cech Inżynierów złapałby go i rozebrał na części w jakimś tajnym laboratorium.

– Nie możesz tego zrobić – powiedział. – Nie wolno ci.

Więc uciekła. Kiedy zajął się swoimi mechanicznymi

zabawkami, wymknęła się przez okno, zeskoczyła ze Strole i z ukradzionym nożem za pasem wyruszyła w drogę w poszukiwaniu Londynu i zemsty.

– Nie widziałam go od tamtej pory – powiedziała Tomowi, który trząsał się z zimna, skulony w koszu balonu. – Kiedy uciekłam, Strole kręciło się nad brzegiem Morza Engelskiego. A teraz proszę: Shrike jest tutaj, pracuje dla Magnusa Crome’a i chce mnie zabić. To nie ma sensu!

– Może swoją ucieczką zraniłaś jego uczucia? – zasugerował Tom.

– Shrike nie ma uczuć – odparła Hester. – Kiedy zrobili z niego Łowcę, wyczyścili mu całą pamięć i pozbawili wszystkich uczuć.

Tom pomyślał, że mówi to tak, jakby mu zazdrościła. Jednak pod wpływem jej głosu uspokoił się i w końcu przestał się trząść. Siedział i słuchał wiatru świszczącego w olinowaniu balonu. W chmurach na zachodzie dostrzegł czarną plamę. To musi być dym z Airhaven. Czy lotnikom udało się opanować pożar? A może ich miasto zostało zniszczone? I co się stało z Anną Fang? Prawdopodobnie Shrike zabił zarówno ją, jak i jej przyjaciół. Ta miła, uśmiechnięta kobieta nie żyła, tak jak jego rodzice. Ginie każdy, kto okaże mu serce. Nie spotkałby nigdy Valentine’a, gdyby został w muzeum.

– Może nic się jej nie stało – odezwała się nagle Hester, jakby zgadując, o czym myślał. – Wydaje mi się, że Shrike tylko się z nią bawił. Nie wyciągnął pazurów.

– On ma jeszcze pazury?!

– Jeśli za bardzo go nie rozdrażniła, prawdopodobnie nie tracił czasu, żeby ją zabić.

– A co z Airhaven?

– Jeżeli uszkodzenia są duże, będzie musiało wylądować gdzieś na czas naprawy.

Tom pokiwał głową.

– Myślisz, że panna Fang będzie nas szukać?

– Nie wiem – odparła Hester. – Ale Shrike na pewno. Dobrze

przynajmniej, że lecimy w kierunku Londynu.

Tom wyrżał za burtę. Gęste białe chmury zasłaniały całą ziemię.

– Skąd wiesz? – zdziwił się.

– Z gwiazd. Mama mnie tego nauczyła. Też była lotnikiem, pamiętasz? Obleciała cały kontynent. Raz była nawet w Ameryce. Jak nie masz map i nie znasz miejsca, nad którym lecisz, musisz się kierować gwiazdami. Zobacz, to jest Gwiazda Polarna, a to konstelacja nazywana przez starożytnych Wielką Niedźwiedzicą, ale teraz ludzie mówią o niej Wielkie Miasto. Dopóki mamy tę gwiazdę po prawej burcie, wiadomo, że lecimy na północny wschód...

– Jest ich tak dużo! – powiedział Tom, próbując nadażyć za jej palcem. Tutaj, ponad chmurami, bez tumanów kurzu i dymu z miejskich kominów, nocne niebo błyszczało milionami świetlistych punkcików. – Nie zdawałem sobie sprawy, że gwiazd jest aż tyle!

– Większość z nich to słońca, które spalają się w kosmosie setki tysięcy kilometrów stąd – powiedziała Hester, chwając się swoją wiedzą. – Niektóre, te bardzo jasno świecące, to sztuczne księżyce, które starożytni umieścili w przestrzeni kosmicznej tysiące lat temu. Starożytnych już nie ma, a one wciąż krążą i krążą dookoła biednej Ziemi.

Tom zadarł głowę i spojrział w niebo.

– A to co? – zapytał, wskazując palcem dużą gwiazdę, świecącą na zachodnim horyzoncie.

Hester spojrzała na nią i nagle uśmiech zniknął z jej twarzy. Zacisnęła mocno pięści.

– To? – odparła. – To statek powietrzny, który leci za nami.

– Może panna Fang chce nam pomóc? – powiedział z nadzieją Tom.

Statek jednak zbliżał się szybko i po kilku minutach zorientowali się, że to mały londyński sterowiec zwiadowczy, „Promyk Spudbury’ego” albo „Jastrząb 90”. Niemal czuli już na sobie zielone ślepie Shrike’a.

Hester zaczęła się mocować z zardzewiałymi kołami i

dźwigniami, regulującymi ciśnienie gazu wewnątrz balonu. Po paru sekundach znalazła to, czego szukała, i gdzieś nad ich głowami rozległ się głośny syk.

– Co ty wyprawiasz? – pisnął Tom. – Wypuszczasz gaz! Rozbijemy się!

– Musimy ukryć się przed Shrikiem – odparła, jeszcze bardziej odkręcając zawór. Tom spojrzął w górę i zobaczył, że balon szybko flaczeje. Zerknął na ścigający ich statek. Wciąż się zbliżał, ale dzieliło ich jeszcze kilka kilometrów. Z tej odległości mogło to wyglądać tak, jakby balonowi przydarzył się jakiś wypadek. Oby Shrike nie przejrzał planu Hester. Oby jego statek nie był uzbrojony w rakiety...

Zanurzyli się w chmurach. Nic teraz nie było widać, oprócz ciemnych, kłębiących się wokół obłoków oraz migającego od czasu do czasu księżyc. Kosz skrzypiał, gaz syczał, ulatniając się przez zawór.

– Jak tylko dotkniemy ziemi, wyskakuj z kosza – powiedziała Hester.

– Dobra – odparł. – To znaczy, że zostawimy balon?

– W powietrzu nie mamy szans – wytłumaczyła. – Miejmy nadzieję, że na ziemi uda mi się przechytryć Shrike'a.

– Na ziemi? – jęknął Tom. – O nie, znowu to Zewnętrznie!

Balon opadał bardzo szybko. Zobaczyli pod sobą ciemną ziemię, czarne kształty nielicznych krzewów, jaśniejące w świetle księżycy kałuże. Nad nimi wiatr gnał chmury na wschód. Ani śladu statku Shrike'a. Ziemia była pięćdziesiąt metrów pod nimi, dwadzieścia metrów, pięć. Cienkie gałęzie zaczęły drapać o kosz, który podskoczył, opadł, uderzył w błotnistą ziemię, znowu podskoczył.

– Wyskakuj! – wrzasnęła Hester.

Tom skoczył i wylądował w miękkim błocie. Balon znowu wzbił się w górę. Przez moment Tom bał się, że Hester zostawiła go na pewną śmierć na gołej ziemi.

– Hester! – krzyknął z całej siły. – Hester!

Pobliski krzak zaszeleścił i wykuśtykała z niego Hester.

– Och, Quirke'owi niech będą dzięki! – westchnął Tom.

Myślał, że Hester podejdzie do niego i usiądzie, żeby trochę odpocząć i podziękować bogom za miękkie lądowanie. Ale ona minęła go i skierowała się na północny wschód.

– Stój! – zawołał, wciąż zbyt roztrzęsiony, żeby wstać. – Zaczekaj! Dokąd idziesz?

Odwróciła się i spojrzała na niego, jakby myślała, że zwariował.

– Do Londynu – powiedziała.

Tom położył się na plecach i jęknął, zbierając siły do marszu.

Nad jego głową pozbawiony ładunku balon wzbijał się znowu w niebo – ciemna łaza, która szybko została połknięta przez chmury. Po kilku chwilach usłyszał warkot silników goniącego balon statku Shrike'a. Potem była już tylko noc, zimny wiatr i błądy księżyc, oświetlający ziemię rozoraną kołami miast.

14. RATUSZ

Katherine uznała, że zacznie od samej góry. Dzień po wyjeździe ojca wysłała pneumatycznym systemem rur list do lorda burmistrza i już po półgodzinie dostała odpowiedź od sekretarza Crome'a: lord burmistrz przyjmie pannę Valentine w samo południe.

Katherine poszła do garderoby i włożyła najbardziej oficjalny strój, jaki miała – wąskie czarne spodnie i szary płaszcz z poduszkami na ramionach. Związała w kucyk włosy i spięła je modną spinką, wykonaną z tylnego światła starożytnego samochodu, a następnie nakryła głowę stylową czapą z nausznikami, którą zakupiła już sześć tygodni wcześniej, ale jeszcze nie miała okazji jej włożyć. Umalowała usta, upudrowała policzki i namalowała między brwiami niebieski trójkącik, fantastyczny znak nieistniejącego cechu, który był wśród londyńskich dam ostatnim krzykiem mody. Wzięła notatnik i ołówki i włożyła je do jednej z czarnych teczek ojca, razem ze złotą przepustką, którą dostała od niego na piętnaste urodziny, dającą dostęp do prawie wszystkich miejsc w Londynie. Następnie stanęła przed lustrem, wyobrażając sobie, jak to będzie za kilka tygodni, gdy tata wróci z wyprawy, a ona mu powie: „Już wszystko w porządku, teraz rozumiem; nie musisz się już tym przejmować...”

Za kwadrans dwunasta poszła z Psem na stację wind przy Quirke Circus, z satysfakcją zauważając, że ludzie oglądają się za nią na ulicy. Pewnie mówią: „To panna Valentine. Idzie na spotkanie z lordem burmistrzem...” Obsługa windy знаła ją z widzenia, wszyscy uśmiechali się i mówili: „Dzień dobry, panno Katherine”. Głaskali Psa i nawet nie prosili o pokazanie przepustki, gdy o godzinie 11.52 wsiadała do wagonika, żeby wjechać na górny pokład.

Katherine przeszła sprężystym krokiem przez plac Paternoster,

gdzie Pies z namysłem przyglądał się drepczącym dookoła gołębiom, a potem nastawił uszu, słysząc odgłosy prac remontowych w katedrze Świętego Pawła. Chwilę później wchodziła już po schodach do ratusza, małą wewnętrzną windą wjechała na górę, i o 11.59 otwarto przed nią brązowe drzwi do prywatnego gabinetu lorda burmistrza.

– O, panna Valentine! Przyszłaś minutę przed czasem. – Crome podniósł na nią wzrok zza swojego olbrzymiego biurka, po czym powrócił do przerwanej lektury. Za jego plecami znajdowało się okrągłe okno z widokiem na katedrę Świętego Pawła, która przez grube szkło wyglądała jak pogrążona w wodzie. Słońce rzucało łagodne światło na brązowe ściany gabinetu. Nie było na nich żadnych obrazów, żadnych dekoracji, a metalowej podłogi nie pokryto żadnym dywanem ani wykładziną. Katherine przeszedł dreszcz, poczuła chłód przenikający przez podeszwy butów.

Lord burmistrz kazał jej czekać przez długie pięćdziesiąt dziewięć sekund. Kiedy wreszcie odłożył na bok czytany raport, zdążyła się już poczuć bardzo niezręcznie. Uśmiechnął się do niej blade.

– Zapewne ucieszysz się, że zanim twój ojciec opuścił nasz zakres, otrzymałem od niego zaszyfowaną wiadomość radiową – powiedział. – Na pokładzie „Windy Na Trzynaste Piętro” wszystko jest w jak najlepszym porządku.

– Świetnie! – odparła z radością Katherine. Wiedziała, że nawet inżynierowie nie potrafili przesyłać sygnału radiowego dalej niż na kilkaset kilometrów.

– Coś jeszcze? – zapytał Crome.

– Tak... – odparła Katherine i zawahała się w obawie, że to, co chciała powiedzieć, zabrzmiałoby bardzo głupio. Jednak właśnie po to przyszła, więc w końcu wyrzuciła z siebie: – Chcę zapytać o tamtą dziewczynę, dowiedzieć się, dlaczego chciała zabić mojego ojca.

Uśmiech zniknął z twarzy lorda burmistrza.

– Twój ojciec nigdy nie uznał za stosowne powiadomić mnie, kim była ta dziewczyna. Nie mam pojęcia, dlaczego tak bardzo chciała go zabić.

– Czy mogło to mieć coś wspólnego z Meduzą?

Wzrok Crome'a zrobił się jeszcze zimniejszy.

– Ta sprawa nie powinna cię obchodzić! – uciął. – Co ci powiedział Valentine o Meduzie?

– Nic! – odparła Katherine. – Widzę jednak, że się boi, i muszę wiedzieć dlaczego, ponieważ...

– Posłuchaj mnie, dziecko – powiedział Crome, wychodząc zza biurka i kładąc jej na ramionach kościste dłonie. – Jeżeli Valentine ma przed tobą jakieś tajemnice, to znaczy, że są po temu ważne powody. Jesteś jeszcze za młoda, żeby zrozumieć niektóre aspekty jego pracy. Pamiętaj, że zaczął od zera; był marnym padliniarzem, dopóki się nim nie zainteresowałem. Chcesz, żeby skończył tak samo, jak zaczął? Albo jeszcze gorzej?

Katherine poczuła się tak, jakby Crome ją spoliczkował. Poczzerwieniała ze złości.

– Wracaj do domu i czekaj na powrót ojca – rozkazał Crome. – I zostaw te sprawy dorosłym. Nie rozmawiaj z nikim o dziewczynie ani o Meduzie.

Sprawy dorosłych? – pomyślała z oburzeniem Katherine. – Co on sobie wyobraża? – Ukłoniła się jednak grzecznie i powiedziała skruszonym głosem:

– Tak jest, lordzie burmistrzu. Chodź, Piesku.

– I nie przywoź więcej tego zwierzęcia na górny pokład! – zawołał za nią Crome.

Gdy zalana łzami przechodziła przez biuro, sekretarki gapiły się na nią z rozdziawionymi ustami.

Jadąc windą z powrotem na Quirke Circus, szepnęła do ucha swojego wilka:

– Jeszcze mu pokażemy, Piesku!

Zamiast pójść od razu do domu, wstąpiła do świątyni Klio na skraju Circle Parku. Tu, w kojącym półmroku, wśród zapachu kadzideł doszła do siebie i zaczęła się zastanawiać, co robić dalej.

Od kiedy Nikolas Quirke został obwołany bogiem, większość londyńczyków przestała się interesować starszymi bóstwami, więc Katherine miała całą świątynię dla siebie. Lubiła Klio, której

dobrotliwe ciemne oczy i wspaniały uśmiech przypominały jej mamę. Zapamiętała, co mama opowiadała o biednej bogini, którą wichur postępu ciągle spychał na bok, ale mimo to udawało jej się od czasu do czasu zainspirować ludzi i zmienić bieg dziejów. Podnosząc wzrok na łagodną twarz posągu, zapytała:

– Co mam robić, Klio? Jak mogę pomóc tacie, jeśli Crome nie chce mi nic powiedzieć?

Tak naprawdę nie spodziewała się odpowiedzi. Odmówiła krótką modlitwę za ojca i za biednego Toma Natsworthy'ego, a potem złożyła ofiarę za duszę matki i wyszła.

Dopiero w połowie drogi do domu przyszła jej do głowy nieoczekiwana myśl, którą musiała jej podszeptać sama Klio. Przypomniała sobie, jak biegnąc w stronę zsyku na śmieci tamtego wieczoru, gdy Tom wypadł z Londynu, spotkała młodego czeladnika inżynierów. Był tak blady i przerażony, że na pewno musiał wszystko widzieć.

Czym prędzej przebiegła przez skąpany w słońcu park. Ten młody inżynier zna odpowiedź na jej pytanie! Trzeba wrócić do Trzewi i odszukać go! Dowiedzieć się, co się wydarzyło, bez pomocy tego okropnego, opryskliwego Magnusa Crome'a!

15. RDZAWE BAGNA

Tom i Hester szli całą noc, a także później, kiedy blade słońce przebiło się przez poranną mgłę. Przystawali tylko na chwilę, żeby złapać oddech. Cały czas musieli omijać wypełnione mętną wodą rowy, i chociaż często napotykali zarośnięte bruzdy, pozostawione przez miasta, było jasne, że od wielu lat nic tędy nie przejeżdżało.

– Zobacz, jak ziemia zarosła – zauważyła Hester, wskazując krzaki jeżyn i drzewka zieleniące się na zboczach wzgórz. – Nawet półstatyczne osiedla wycięłyby ten młody las na paliwo.

– Może ziemia jest tutaj zbyt grząska – odparł Tom, zapadając się któryś już raz po pas w błocie. Przypominał sobie wielkie mapy Terenu Polowań, zawieszane w holu londyńskiego muzeum. Na rozległych bagnach, rozciągających się od podnóży środkowych gór aż po brzegi morza Khazak, widniał napis:

NIE NADAJE SIĘ DLA MIAST ANI MIASTECZEK.

– Chyba wylądowaliśmy na skraju Rdzawych Bagien – powiedział. – Nazywają się tak, ponieważ są czerwone od rdzy miast, które w nich utonęły. Żaden rozsądny burmistrz nie zapuszcza się na to pustkowie.

– W takim razie Wreyland i Anna Fang przewieźli nas dalej na południe, niż myślałam – stwierdziła Hester. – Londyn musi już być tysiące kilometrów od nas. Miną całe miesiące, zanim uda mi się go dogonić, a Shrike ciągle będzie mi deptał po piętach.

– Ale przecież go przechytrzyłaś! – przypomniał jej Tom. – Wykiwaliśmy go!

– Obawiam się, że nie da się długo wodzić za nos – mruknęła. – Niedługo znowu odnajdzie nasz ślad. Nie bez powodu nazywają go Łowcą.

Hester prowadziła go dalej i dalej, wspinali się na kolejne wzgórza, brnęli przez jary i doliny, w których roiło się od bzygających, kłusających much. Opadali z sił i nie mogli zapanować nad swymi nerwami. Raz, gdy Tom zaproponował, żeby usiedli i trochę odpoczęli, Hester syknęła: „Rób, co chcesz. Co mnie to obchodzi?” Maszerował potem, nie odzywając się, obrażony. Co za okropna, brzydka, złośliwa dziewczucha! Po tym wszystkim, przez co przeszli, choć tak bardzo jej pomógł, wciąż chciała go zostawić. Szkoda, że nie wpadła w łapy Shrike’a. Khora i panna Fang pozwoliliby mu odpocząć i rozmasować stopy...

Kiedy jednak zapadł mrok, a gęsta mgła zasnuła bagna, Tom docenił towarzystwo Hester. Zaradna dziewczyna znalazła miejsce pod drzewami, gdzie spędzili noc, a potem, gdy pohukiwania sowy wyrwały go z niespokojnego snu, zobaczył, że siedzi obok niego na straży.

– Wszystko w porządku – powiedziała. Po chwili wyznała: – Brakuje mi ich, Tom. Mojej mamy i taty.

– Wiem. Mnie też brak rodziców.

– Nie masz w Londynie żadnej rodziny?

– Nie.

– A przyjaciół?

Zastanowił się.

– Właściwie nie.

– A kim była ta dziewczyna? – zapytała po chwili.

– Dziewczyna?

– Ta w Trzewiach, z tobą i Valentine’em.

– To Katherine – odparł. – Ona jest... córką Valentine’a.

Hester pokiwała głową.

– Ładna – powiedziała.

Po tej rozmowie spał spokojniej. Śniło mu się, że Katherine przyleciała statkiem, uratowała ich i unieśli się razem ponad chmury, gdzie świeciło słońce i było cudownie. Kiedy otworzył oczy, światło, a Hester potrząsała nim energicznie.

– Słyszysz?!

Wyteżył słuch i usłyszał dźwięk różniący się od szmeru wody i

szumu liści.

– To miasto? – zapytał z nadzieją.

– Nie... – Hester przekrzywiła na bok głowę, nasłuchując. – To silnik „Rotwanga”...

Warkot stał się wyraźniejszy. We mgle zamajaczył kształt londyńskiego statku zwiadowczego.

Oboje znieruchomieli. Mieli nadzieję, że ukryją ich gęste gałęzie, pod którymi siedzieli. Warkot ucichł, ale po chwili znowu się nasilił. Statek krążył nad nimi.

– Shrike nas widzi – wyszeptała Hester, wpatrując się w gęstą białą mgłę. – Czuję jego wzrok...

– Nie, nie – zaprotestował Tom. – Jeżeli my nie widzimy statku, to jak oni mogą nas widzieć?

Wysoko nad ich głowami zmartwychwstaniec ustawił oczy na podczerwień i włączył czujniki ciepła. Dostrzegł dwie świecące ludzkie postaci na szarym, jednostajnym tle.

– Obniż lot – rozkazał.

– Jeżeli teraz tak świetnie ich widzisz, to szkoda, że nie zauważyłeś, że ten balon, który goniliśmy całą noc, był pusty – zamruczał z wyrzutem pilot.

Shrike nie odpowiedział. Dlaczego miałby się tłumaczyć temu gderliwemu raz urodzonemu? Oczywiście zorientował się, że balon jest pusty, gdy tylko znowu wzbił się ponad chmury, ale uznał, że zatrzyma to dla siebie. Spodobał mu się spryt Hester Shaw i zdecydował, że w nagrodę pozwoli jej pożyć jeszcze kilka godzin, w trakcie których ci nierozgarnięci piloci z Cechu Inżynierów będą ścigać pusty balon.

Przełączył oczy z powrotem na normalną wizję. Będzie polował na Hester bez technicznych ułatwień, używając tylko węchu, słuchu i normalnego wzroku. Przywołał w pamięci wspomnienie jej twarzy, podczas gdy statek zanurzał się we mgle.

– Uciekaj! – szepnęła Hester.

Statek wynurzył się z mgły kilkadziesiąt metrów obok, przygotowując się do lądowania. Wyciągnęła Toma z ich beużytecznej kryjówki i zaczęli biec przez podmokły teren, z którego wystawały zdradliwe macki korzeni. Przy każdym kroku chlupała woda, a do butów wdzierał się z bulgotem czarny muł. Uciekali na oślep przed siebie, aż Hester zatrzymała się tak niespodziewanie, że Tom wpadł na nią z rozpędu i oboje runęli w błoto.

Statek wisiał przed nimi, zagradzając im drogę. Dwa promienie zielonego światła, w których tańczyły kropelki wody, przecięły powietrze i dosięgły Hester.

– Hester – zaskrzypiał metaliczny głos.

Dziewczyna schyliła się w poszukiwaniu jakiejś broni i uniosła gruby sękaty kij.

– Nie podchodź, Shrike! – zagroziła. – Bo roztrzaskam te twoje śliczne oczka! Rozkwaszę ci mózg!

– Daj spokój! Chodź! – zawołał Tom, chwytając ją za płaszcz i próbując odciągnąć.

– Niby dokąd? – spytała, zerkając na niego przez ramię. Uniosła kij jeszcze wyżej i czekała na zbliżającego się Łowcę.

– Dobrze się spisałaś, Hester, ale polowanie się skończyło.

Shrike ostrożnie stąpał po błotnistej ziemi. Za każdym razem, gdy stawiał stopę, z sykiem buchał kłęb pary. Uniósł ramiona, z jego dłoni wysunęły się ostrza stalowych pazurów.

– Co spowodowało, że zmieniłeś zdanie o Londynie?! – krzyknęła gniewnie Hester. – Jak zostałeś chłopcem na posyłki Crome'a?!

– To ty zaprowadziłaś mnie do Londynu, Hester. – Shrike przystanął, jego martwą twarz rozjaśnił metalowy uśmiech. – Wiedziałem, że tam pójdziesz. Sprzedałem kolekcję i kupiłem bilet lotniczy do Londynu, żeby być tam przed tobą.

– Sprzedałeś swoje mechaniczne ludziki? Jeżeli tak bardzo za mną tęskniłeś, dlaczego po prostu mnie nie wytropiłeś?

– Zdecydowałem, że pozwolę ci przejść przez Teren Polowań samodzielnie – odparł Shrike. – To był sprawdzian.

– I co? Zdałam?

Shrike zignorował pytanie.

– Kiedy dotarłem do Londynu, zabrano mnie prosto do inżynierium, tak jak przypuszczałem. Spędziłem tam osiemnaście miesięcy w oczekiwaniu na ciebie. Inżynierowie rozkładali mnie i składali z powrotem dziesięć razy. Zawarłem umowę z Magnusem Crome'em. Obiecał mi miłość mego serca.

– Och, to wspaniale – powiedziała słabym głosem Hester, zastanawiając się, o czym on bredzi.

– Ale najpierw musisz umrzeć.

– Dlaczego, Shrike?

Odpowiedź zagłuszył nagły warkot silnika. Czy to odlatuje londyński statek, zostawiając Shrike'a na ziemi? Tom spojrzął w tamtą stronę. Sterowiec wciąż wisiał nieruchomo nad nimi, ale odgłosy jego turbin coraz bardziej zagłuszał inny terkoczący hałas. Zaskoczony tym Shrike zamigotał oczami i przechylił głowę na bok, nasłuchując. Ziemia pod ich stopami zaczęła drżeć.

Z mgły za Łowcą wyrosła ściana błota i wody, spieniona i powyginana na szczycie. Za nią pojawiło się miasteczko, bardzo małe, stare miasteczko, pędzące na ośmiu grubych kołach. Hester uskoczyła w bok, podczas gdy Shrike, widząc jej minę, odwrócił głowę, żeby sprawdzić, co się dzieje. Tom dał nura w błoto, osłaniając dziewczynę ramieniem. Londyński statek usiłował wzlecieć wyżej, lecz rozpedzone miasto zderzyło się z nim, strącając jego płonącą gondolę w błoto. Chwilę później usłyszeli krzyk Łowcy, gdy wielkie przednie koło wgniatało go w ziemię.

Tom i Hester, mocno się trzymając, przetoczyli się dalej. Miasteczko minęło ich z warkotem silników, migając szprychami kół, błyskając stałą pokładów, z których spoglądały w dół małe sylwetki ludzi. A potem tak nagle, jak się pojawiło, miasto zniknęło, pozostawiając po sobie swąd spalin i gorącego metalu.

Hester i Tom usiedli na ziemi. Płonące strzępy londyńskiego statku powietrznego wirowały w powietrzu. Miejsce, w którym stał Łowca, zapełniało się szybko czarnym błotem. Coś, co mogło być żelazną dłońią, wynurzyło się z ziemi, wzbijając obłoczek pary, która wkrótce rozmyła się w powietrzu.

– Myślisz, że on... nie żyje? – zapytał Tom drżącym głosem.
– Przejechało po nim miasto – powiedziała Hester. – Chyba nie wyszedł z tego cało.

Tom zastanawiał się, co Shrike miał na myśli, mówiąc o „miłości jego serca”. Dlaczego sprzedał swoją cenną kolekcję, aby polecieć za Hester do Londynu, skoro chciał ją tylko zabić? Teraz już się tego nie dowie.

– A ci biedni ludzie ze statku powietrznego... – wyszeptał.
– Zostali wysłani, żeby pomóc Shrike’owi nas zabić – odrzekła dziewczyna. – Więc przestań się nad nimi litować.

Przez moment milczeli, wpatrując się w mgłę.

– Zastanawiam się, przed czym uciekali – odezwał się Tom.

– Kto?

– No, to miasteczko – odparł. – Jechało na pełnym gazie... Coś musiało je gonić...

Hester spojrzała na Toma, nie rozumiejąc w pierwszej chwili, o czym on mówi.

– Ojej! – jęknęła.

W ich stronę pruć przez błoto drugie miasto. Było większe od poprzedniego, miało olbrzymie, grube jak walce opony. Na rozwartych szczękach ktoś namalował wyszczerzone w uśmiechu zęby i słowa:

Wielki Żarłok

Nie było czasu na ucieczkę. Hester chwyciła Toma za ramię. Rozdzierający huk silników zagłuszył jej głos i chłopak dopiero po chwili z ruchu warg zrozumiał, co mówiła.

– Możemy wskoczyć na pokład! Rób to, co ja!

Miasto przejechało nad nimi, wielkie koła przetoczyły się z obu stron, unosząc ich na fali spiętrzonego błota i omal nie rozbijając im głów o metalowe podwozie. Hester przykłękała jak surfer ślizgający się po wzburzonym morzu. Tom przykucnął obok, próbując utrzymać równowagę i z trwogą czekając na śmierć pod którymś z kół lub od uderzenia blaszanych beczek, podwieszonych u góry. Hester znowu do niego zawołała i

pokazała coś ręką. Sunęła nad nimi niczym monstrualny wąż gruba rura, umocowana wzdłuż pojazdu. W pomarańczowym blasku płomieni z kratki wentylacyjnych Tom ujrzał drabinę. Hester uczepliła się jednego ze szczebli i podciągnęła do góry. Tom spróbował zrobić to samo. Poczuł w dłoni zimny metal, mocne szarpnięcie omal nie wyrwało mu ręki ze stawu, ale w tej chwili Hester chwyciła go za pasek i wciągnęła na drabinę.

Minęło sporo czasu, nim przestali się trząść i mogli stanąć na nogi. Oboje wyglądali jak ulepione z błota figurki, mieli brunatnoszare ubrania i twarze, posklejane włosy. Niewiele brakowało, żeby zginęli, ale jednak żyją. Zaśmiali się radośnie. Tom nigdy dotąd nie słyszał śmiejącej się Hester.

– Udało się! – powiedziała. – Teraz już wszystko będzie w porządku! Chodźmy na górę, zobaczymy, z kim podróżujemy.

Miasteczko nie było duże, niewiele większe od zwykłej wioski na kółkach. Gdy Hester otwierała klapę wjazdu, Tom uznał, że przypomina ono trochę Crawley albo Purley Spokes, podmiejskie osiedla wybudowane przez Londyn w czasach jego świetności, kiedy było jeszcze tyle pożywienia, że duże miasta mogły sobie pozwolić na otaczanie się satelickimi miasteczkami. Jeżeli rzeczywiście tak było, to na pewno znajdą na górze kupiecki sterowiec, który będzie miał londyńską licencję.

Dobry nastrój psuła mu jednak niepokojąca myśl: rozważny burmistrz nie zapaściłby się w to pustkowie.

Dlaczego to miasteczko ścigało inne osiedle, zapuszczając się w głąb Rdzawych Bagien?

Hester otworzyła klapę. Zobaczyli kręte schodki wijące się wewnątrz studni, której rdzewiejące ściany parowały od ciepła silników. Weszli na górę i natknęli się na następną klapę. Otworzyli ją. Okazało się, że prowadzi na górny pokład. Zimny wiatr rozwiewał mgłę między metalowymi budynkami, płyty pokładu trzeszczały i drgały od pracy silników. Ulice były puste, ale Tom wiedział, że niektóre miasteczka mieszkają nie więcej niż parę setek mieszkańców. Być może wszyscy byli zajęci pracą w

maszynowni albo czekali w domach na wynik pościgu. Wcale mu się nie spodobało to, co zobaczył. Płyty pokładu były pordzewiałe, walące się domostwa oplatały grube rury, idące do maszynowni pod pokładem. Tam, gdzie Tom spodziewał się ujrzeć park i platformę obserwacyjną, znajdowały się stanowiska karabinów maszynowych i dział, osłonięte drewnianą palisadą.

Hester przytknęła palec do ust i poprowadziła Toma w stronę rufy, gdzie stał wysoki budynek, zapewne ratusz. Kiedy podeszli bliżej, zobaczyli tablicę z napisem:

Witamy w
TUNBRIDGE WHEELS
Liczba mieszkańców: 212 i wciąż rośnie!

Na dachu łopotała biała flaga z trupa czaszką i skrzyżowanymi piszczelami.

– Wielki Quirke’u! – jęknął Tom. – Pirackie miasteczko!

Wtem z zamglonych bocznych uliczek wyszli mężczyźni i kobiety w łachmanach. Wszyscy mieli strzelby i karabiny.

Gdy pirackie osiedle oddaliło się, nad Rdzawymi Bagnami znowu zaległa cisza, przerywana tylko od czasu do czasu odgłosami zwierząt buszujących wśród trzciny. Wtem w jednej ze świeżych kolein wzburzyło się i zakotłowało błoto, z którego wynurzył się podrygujący konwulsyjnie wrak Shrike’a.

Łowca został wciśnięty głęboko w grząską ziemię, zmiażdżony i powyginany. Jego lewe ramię wisiało na kilku drucikach, prawa noga nie chciała się poruszyć. Jedno z oczu było ciemne i ślepe, a obraz w drugim mglisty i niewyraźny, więc Shrike musiał cały czas potrząsać głową, żeby ustawić ostrość. Część wspomnień zniknęła, a inne wypływały na powierzchnię świadomości. Gdy wyczołgał się z głębokiej koleiny, przypomniały mu się dawne wojny, do udziału w których został zbudowany. Na wzgórzu numer dwadzieścia karabiny tesla grzmiały jak błyskawice, aż stanął w ogniu, a jego skóra zaczęła skwierczeć na stalowym szkielecie niczym smażone

jajko. Ale przeżył. Jest ostatnim żołnierzem z brygady Łazarza i zawsze udawało mu się przeżyć. Trzeba czegoś dużo więcej niż koła rozpędzonego miasteczka, żeby wykończyć Shrike'a.

Powoli przeczłogał się na pewniejszy grunt. Wąchał i przeszukiwał teren, aż nabrał pewności, że Hester uszła z życiem. Rozpierała go duma. Jego dziewczynka. Miłość jego serca! Niebawem ją odszuka i przestanie żyć w samotności.

Miasteczko pozostawiło po sobie głębokie koleiny. Łatwo je będzie śledzić. Nawet z drętwą nogą, z zepsutym okiem i zwarciami w przewodach. Łowca uniósł głowę i wydał z siebie łowiecki okrzyk.

16. ZBIORNIKI NA ODCHODY

Dzień po dniu Londyn jechał przez ziemie kontynentu, dawniej zwanego Europą, jakby mając nadzieję na jakiś wspaniały łup. Jednak strażnicy na wieżach obserwacyjnych od czasu upolowania Salthook dostrzegli tylko parę malutkich siedzib padliniarzy i Magnus Crome nie pozwolił zmienić kursu, aby je schwycić. Ludzie zaczęli się denerwować, półgłosem pytając siebie nawzajem, co, u licha, wyprawia lord burmistrz. Londyn nie został skonstruowany do dalekich podróży z taką prędkością. Mówiono, że zapasy jedzenia są już na wyczerpaniu, a żar buchający z silników jest tak wielki, że na posadzce poziomu szóstego można usmażyć jajecznicę.

W Trzewiach gorąco było obezwładniające. Kiedy Katherine wyszła z windy na Tartarus Row, poczuła się jak w piecu. Jeszcze nigdy nie zapuszczała się tak głęboko w Trzewia i przez chwilę stała przy wyjściu ze stacji, mrugając oczami, żeby przyzwyczaić się do hałasu i mroku. Wysoko, na pierwszym poziomie, słońce świeciło na Circle Park i przyjemny zefirek poruszał różanymi krzewami; tutaj, na dole, wszędzie biegali spoceni ludzie, trąbiły klaksony, po torach z łoskotem jeździły wagoniki z paliwem.

Przez chwilę chciała wrócić do domu. Wiedziała jednak, że ze względu na tatę musi zrobić to, po co tu zjechała. Nabrała do płuc powietrza i wyszła na ulicę.

Ta ulica nie miała nic wspólnego z Wysokim Londynem; przechodnie odpowiadali opryskliwie, kiedy pytała ich o drogę, a siedzący na chodnikach robotnicy gwizdali za nią i krzyczeli: „Hej, złotko!” i „Skąd wytrzasnęłaś ten kapelusik, kociaku?” Tęgi, gburowaty strażnik odepchnął ją na bok, prowadząc za sobą skutych łańcuchami więźniów. Z ołtarzy pod rurami z paliwem łapały szelmowsko oczami rzeźby Czarnego Piotrusia, garbatego boga maszynowni i kominów. Katherine dumnie uniosła głowę i mocniej ścisnęła smycz Psa, ciesząc się, że jest przy niej i w razie

czego może ją obronić.

Wiedziała, że nigdzie indziej nie dowie się prawdy. Ojciec odleciał na wyprawę, Tom prawdopodobnie zginął, a Magnus Crome nie był skłonny udzielać wyjaśnień. W Londynie był jednak jeszcze jeden człowiek, który mógł znać tajemnicę dziewczyny z blizną.

Trudno go było odszukać, ale na szczęście urzędnicy w archiwum biura Cechu Zbieraczy Żłomu, Palaczy i Obsługi Trzewi czuli się zobowiązani dopomóc córce Thaddeusa Valentine'a. Powiedzieli, że jeśli w pobliżu zsypu na śmieci przebywał tamtego wieczoru czeladnik inżynierów, to musiał nadzorować pracę więźniów. Jeszcze niewielka łapówka i Katherine wiedziała już, że ten czeladnik nazywa się Pod.

Teraz, prawie tydzień po wizycie u lorda burmistrza, szła na rozmowę z nim.

Więzienie w Głębokich Trzewiach składało się z kompleksu budynków, stojących wokół podstawy gigantycznego filaru, podpierającego dach. Teren więzienia był tak rozległy, że niektóre miasteczka miały mniejszą powierzchnię. Katherine, kierując się strzałkami, poszła do administracji, kulistego, metalowego budynku, obracającego się powoli na rdzewiejącym słupie, aby zarządcy mogli przez okna obserwować cele więzienne, spacerniaki i farmy wodorostów. W recepcji żarzyły się białe neonówki, oświetlające przestronne pomieszczenie z białego, lśniącego metalu. Kiedy Katherine stanęła w drzwiach, podbiegł do niej inżynier.

– Obowiązuje zakaz wprowadzania psów – oznajmił.

– To nie jest pies – odparła Katherine, uśmiechając się słodko, a inżynier odskoczył do tyłu, gdy Pies zaczął mu obwąchiwać gumowy kombinezon. Inżynier wyglądał na pedanta, miał wąskie, wydęte wargi i ślady egzemy na łysej głowie. Plakietka na jego piersi mówiła, że jest to Nimmo, zarządca w Trzewiach. Katherine uśmiechnęła się do niego i zanim zdołał wygłosić całą listę zastrzeżeń i zakazów, pokazała złotą przepustkę.

– Przybywam tu jako posłaniec mojego ojca, Wielkiego Mistrza Cechu Historyków. Muszę się zobaczyć z jednym z waszych czeladników, z chłopcem o nazwisku Pod.

Nimmo zamrugał nerwowo i wyjąkał:

– Ale...

– Wracam prosto z gabinetu Magnusa Crome’a – skłamała dziewczyna. – Proszę zadzwonić do jego sekretariatu, jeśli chce pan to sprawdzić...

– Nie, jestem pewien, że wszystko się zgadza... – wydusił z siebie Nimmo. Nikt spoza cechu nie prosił jeszcze nigdy o spotkanie z czeladnikiem i wcale mu się to nie podobało. Nie chciał jednak stawiać przeszkód kobiecie, która osobiście знаła lorda burmistrza. Poprosił Katherine, żeby łaskawie poczekała, i pośpiesznie wbiegł do odgradzonego szklanymi ścianami biura.

Katherine czekała, poklepując po łbie Psa i uśmiechając się uprzejmie do łysych, ubranych na biało przechodniów. Nimmo wrócił niebawem.

– Już wiem, gdzie jest czeladnik Pod – powiedział. – Został przeniesiony do sekcji sześćdziesiątej.

– Doskonale, panie Nimmo! – uradowała się Katherine. – Może go pan tutaj przysłać?

– To wykluczone – odparł oficjalnym tonem inżynier, któremu wcale nie podobało się, że ma spełniać rozkazy jakiejś tam córki historyka. Jeśli jednak chciała zobaczyć sekcję sześćdziesiątą, mógł ją tam zaprowadzić. – Proszę za mną – powiedział, prowadząc ją do windy. – Sekcja sześćdziesiąta znajduje się pod pokładem.

Pod pokładem znajdowała się londyńska kanalizacja. Katherine czytała o tym w szkole, więc była przygotowana na długą jazdę w dół. Nie spodziewała się jednak takiego smrodu. Gdy tylko winda stanęła i rozsunęły się drzwi, poczuła się, jakby wlażała do kanału z nieczystościami.

– Oto sekcja sześćdziesiąta, jeden z naszych najbardziej interesujących programów eksperymentalnych – oznajmił z dumą Nimmo, jakby nie zauważając obrzydliwej woni ekskrementów. – Oddelegowani tutaj skazańcy pomagają nam

wypracować naprawdę fascynujące sposoby powtórnego wykorzystania odpadów miejskich.

Katherine wyszła z windy, przyciskając do nosa chusteczkę. Znalazła się w wielkim, słabo oświetlonym pomieszczeniu. Naprzeciwko niej stały trzy zbiorniki, każdy większy od Domu Klio. Z labiryntów rur pod sufitem skapywała do zbiorników śmierdząca, żółtobrazowa gęsta ciecz, a ludzie w szarych więziennych strojach brodzili w niej zanurzeni po pas, zbierając z powierzchni siatkami na długich kijach szlamowatą substancję.

– Co oni robią? – zapytała zdumiona Katherine. – Co to jest?

– Ekskrementy, panno Valentine – odparł z dumą Nimmo. – Fekalia. Odchody. Produkty uboczne ludzkiego układu trawiennego. Nie ma w tym nic obrzydliwego, zapewniam panią. Wszyscy... korzystamy z toalet. Motto inżynierów brzmi: „Nie marnuj niczego, używaj wszystkiego”. Odpowiednio przerobione ludzkie odchody mogą stanowić pełnowartościowe paliwo do naszych silników. Poza tym pracujemy nad wytwarzaniem z nich smacznych i pożywnych batoników. Właśnie nimi karmimy naszych więźniów. Niestety, ciągle umierają, ale to tylko chwilowy efekt uboczny.

Katherine podeszła do najbliższego stojącego zbiornika. Oto Kraina Bez Słońca – pomyślała. Och, Klio! Jestem w krainie umarłych!

Jednak nawet Kraina Bez Słońca nie mogła być aż tak okropna jak to miejsce. Cuchnąca maź chlupotała i burzyła się niebezpiecznie, ilekroć Londyn podskakiwał na wybojach. Pod łukowatym sklepieniem brzęczały chmury much, które obsiadały twarze i ubrania robotników. Ich ogolone głowy błyszcząły w słabym pomarańczowym świetle, pozbawione wyrazu twarze wpatrywały się tępo w powierzchnię śmierdzącej brei, kiedy ściągali z niej kleistą substancję, którą następnie ładowali do cystern pchanych po torach przez innych więźniów. Czeladnicy inżynierów z ponurymi minami nadzorowali pracę, wymachując długimi czarnymi pałkami. Tylko Pies wyglądał na zadowolonego. Merdał wesoło ogonem, napinał smycz i od czasu do czasu spoglądał z wdzięcznością na swoją panią, która zaprowadziła go wreszcie gdzieś, gdzie unoszą się takie

interesujące zapachy.

Dziewczyna opanowała mdłości i zwróciła się do Nimma.

– Kim są ci biedni ludzie?

– Och, proszę się nimi nie przejmować – odparł zarządca. – To skazańcy. Kryminaliści. Zasłużyli na karę.

– A co takiego zrobili?

– Różne rzeczy. Drobne kradzieże. Unikanie podatków. Krytykowanie naszego lorda burmistrza. Biorąc pod uwagę ich nieczne czyny, są traktowani bardzo wyrozumiale i łagodnie. A teraz spróbujmy znaleźć czeladnika Poda...

Kiedy Nimmo mówił, Katherine przyglądała się najbliższemu zbiornikowi. Jeden z więźniów stanął w miejscu i wypuścił z rąk siatkę, chwytając się za skronie, jakby dostał zawrotów głowy. Zauważyła go także czeladniczka, podeszła do krawędzi basenu i zbliżyła do więźnia koniec pałki. Pojawiły się błękitne iskry, więzień zaczął podrygiwać, miotać się, krzyżeć, aż wreszcie zniknął pod powierzchnią. Inni skazańcy bali się podejść i pomóc mu.

– Proszę coś zrobić! – wydusiła przez ściśnięte gardło Katherine, zwracając się do Nimma, który zdawał się wcale nie zauważać tego, co się działo.

Inny czeladnik podbiegł do krawędzi zbiornika, krzyżąc do więźniów, aby pomogli towarzyszowi. Kilku z nich wyciągnęło nieszczęśnika, zaś czeladnik pochylił się i pomógł mu wydostać się z basenu, brudząc przy tym szlamem swój biały gumowy strój. Podobnie jak inni czeladnicy, miał na twarzy maseczkę z gazy, lecz Katherine była pewna, że go poznaje. Jakby na potwierdzenie usłyszała chrypliwy głos nadzorcy Nimma:

– Pod!

Podbiegli do niego. Czładnik Pod wyciągnął podtopionego skazańca na metalową platformę między zbiornikami i zaczął mu obmywać twarz wodą z pompy. Czładniczka, która poraziła prądem nieszczęsnego skazańca, patrzyła na tę scenę z wyraźną dezaprobatą.

– Znowu marnujesz wodę, Pod! – powiedziała, gdy Katherine i Nimmo podbiegli do zbiorników.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał Nimmo.

– Ten człowiek się ociągał – odparła czeladniczka. – Próbowałam zmobilizować go do wydajniejszej pracy.

– On ma gorączkę! – powiedział Pod, podnosząc umazaną kałem twarz. – Nic dziwnego, że nie mógł pracować.

Katherine przyklekła obok niego. Pod dopiero teraz ją zauważył i szeroko otworzył oczy ze zdziwienia. Udało mu się zmyć większość cuchnącej mazi z twarzy skazańca, Katherine przyłożyła dłoń do jego mokrego czoła. Natychmiast poczuła, że więzień ma gorączkę.

– Ten człowiek jest poważnie chory – potwierdziła, spoglądając na Nimma. – Jest cały rozpalony. Powinien iść do szpitala...

– Do szpitala? – zdziwił się Nimmo. – Nie mamy tu szpitala. To są więźniowie, panno Valentine. Kryminaliści. Nie przysługuje im prawo do opieki medycznej.

– Niedługo nada się do Wydziału K – zauważyła czeladniczka.

– Bądź cicho! – warknął Nimmo.

– Co to jest ten Wydział K? – zainteresowała się Katherine.

Nimmo nie chciał odpowiedzieć. Po policzkach Poda spływały łzy, chociaż mogły to być także krople potu. Katherine spojrzała znów na półprzytomnego więźnia i w nagłym impulsie zdjęła z głowy kapelusz, zmiała go i podłożyła choremu pod głowę.

– Ten człowiek jest za słaby, żeby pracować w waszych zbiornikach! – powiedziała z oburzeniem.

– To niewybaczalne! – zgodził się Nimmo. – Ciągłe podsyłają nam samych cherlaków. Gdyby Cech Kupców spróbował rozwiązać problem braku żywności, byłiby zdrowsi. A nawigatorzy mogliby wypatrzeć wreszcie jakąś porządną zdobycz... Myślę jednak, panno Valentine, że dość się już panienka naoglądała. Proszę więc zapytać czeladnika Poda o to, co ojciec panienki chciałby wiedzieć, a potem odprowadzę panienkę do windy.

Katherine popatrzyła znowu na Poda, który zdążył zdjąć maseczkę. Okazał się nieoczekiwanie przystojny, miał wielkie ciemne oczy i kształtne usta. Gapiała się na niego przez moment, czując się jak idiotka. Pracował w takich okropnych warunkach,

odważnie pomagał biednemu więźniowi, a ona chciała zawracać mu głowę czymś, co nagle wydało jej się zupełnie bez znaczenia.

– Panna Valentine, prawda? – zapytał nerwowo, gdy Pies przeciskał się obok, aby obwąchać rękę skazańca.

Katherine kiwnęła głową.

– Zauważyłam cię w Trzewiach tamtego wieczoru, kiedy pożarliśmy Salthook – powiedziała. – Przy zsykach. Pewnie widziałeś dziewczynę, która próbowała zabić mojego ojca. Możesz mi powiedzieć wszystko, co z tego zapamiętałeś?

Chłopak wpatrywał się w nią, zafascynowany jej długimi, lśniącymi włosami. Potem spojrzął na nadzorcę Nimma.

– Niczego nie widziałem – odparł. – Usłyszałem krzyki i pobiegłem tam, ale było tyle dymu i w ogóle... nikogo nie widziałem.

– Na pewno? – dopytywała się Katherine. – To bardzo ważne.

Czeladnik Pod pokręcił głową, unikając jej spojrzenia.

– Przykro mi...

Nagle chory więzień drgnął i wydał z siebie głośny jęk. Oboje spojrzeli na niego. Dopiero po chwili Katherine uświadomiła sobie, że umarł.

– Widzicie? – powiedziała z triumfem czeladniczka. – Mówiłam, że niedługo skończy w Wydziale K.

Nimmo trącił zwłoki końcem buta.

– Zabrać go – zakomenderował.

Katherine trzęsła się. Zbierało jej się na płacz. Gdyby tylko mogła pomóc tym biednym ludziom!

– Opowiem o wszystkim ojcu, kiedy wróci do domu – obiecała. – A kiedy się dowie, co się dzieje w tym okropnym miejscu...

– Przykro mi, panno Valentine – usłyszała znowu głos Poda, ale nie była pewna, czy było mu przykro dlatego, że nie potrafił jej pomóc, czy też dlatego, że dowiedziała się prawdy o życiu pod Londynem.

Nimmo zaczął się kręcić niecierpliwie.

– Panno Valentine, proszę natychmiast opuścić teren sekcji sześćdziesiątej. Nie powinna panienka w ogóle tu przychodzić. Ojciec panienki powinien być przystać oficjalnego pościańca

cechu, jeśli życzył sobie rozmowy z tym czeladnikiem. Czego zresztą chciał się od niego dowiedzieć?

– Już idę – powiedziała Katherine i zrobiła jedyną rzecz, jaką mogła jeszcze zrobić dla skazańca: uklękła i ostrożnie zamknęła mu oczy.

– Przykro mi – wyszeptał po raz ostatni czeladnik Pod, kiedy odchodziła.

17. PIRACKIE MIASTECZKO

Późną nocą tego samego dnia Tunbridge Wheels, zapuściwszy się głęboko w Rdzawe Bagna, dogoniło swoją ofiarę. Wyczerpane miasteczko zaryło się w rów z błotem, a piracka osada, nie próbując ani trochę przyhamować, uderzyła w jego burtę. Kawałki żelastwa zasypały pokład piratów, którzy zawrócili, aby połączyć zdobycz.

Tom i Hester przyglądali się z przerażeniem przez pręty klatki pod pokładem olbrzymim stalowym szczęką, które zabrały się do rozrywania miasteczka na strzępy. Piraci nie zadali sobie nawet trudu, by usunąć z niego ludzi, którzy przeżyli kraksę. Tych, którzy uciekli, ratując się przed zmiążdżeniem, łapali stojący obok piraci. Jeżeli rozbitkowie byli młodzi i zdrowi, zamykano ich w klatkach, podobnych do tej, w jakiej znaleźli się Tom i Hester. Innych zabijano, a ich zwłoki rzucano na kupę śmieci na końcu placu Trawiennego.

– O, wielki Quirke’u! – szepnął Tom. – To okropne! Łamię wszelkie prawa miejskiego darwinizmu...

– To są piraci – powiedziała Hester. – Czego się niby spodziewałeś? Jak najszybciej pożerają zdobycz, a schwytanych ludzi gonią do niewolniczej pracy w maszynowniach. Nie marnują jedzenia dla tych, którzy są za słabi. Zresztą to, co robią, wcale tak bardzo się nie różni od tego, co robi twój ukochany Londyn. Ci przynajmniej nie są zakłamanymi i nazywają się piratami.

Tom zauważył kątem oka purpurową szatę. Burmistrz pirackiego miasteczka zszedł do Trzewi, obejrząc najnowszy łup. Przechadzał się wzdłuż rzędu klatek w towarzystwie osobistej świty. Był to niski chudzielec o wąskich ramionach i przygarbionych plecach. Jego łysa głowa kolebała się na chudej szyi, wystającej z obszytego kocim futrem kołnierza. Swym wyglądem nie wzbudzał zaufania.

– Przypomina raczej wyliniałego sępa niż burmistrza! – szepnęła Tom. – Jak myślisz, co z nami zrobi?

Hester wzruszyła ramionami, spoglądając na nadchodzący orszak.

– Pewnie zamknie nas w maszynowni i...

Urwała w pół zdania, wbijając wzrok w burmistrza, jakby zobaczyła jakąś zjawę. Odepchnęła Toma na bok i przycisnęła twarz do krat.

– Peavey! – zawołała, próbując przekrzyczeć hałas pracujących maszyn. – Peavey!

– Znasz go? – zdziwił się Tom. – To twój przyjaciel? Jest w porządku?

– Nie mam żadnych przyjaciół – warknęła Hester – a ten facet wcale nie jest w porządku; to okrutny, bezwzględny bydlak. Widziałam, jak zabijał ludzi za to, że krzywo na niego spojrzeli. Miejmy nadzieję, że dzięki świeżej zdobyczy ma dobry humor. Peavey! Tutaj! To ja! Hester Shaw!

Peavey odwrócił się w stronę ich klatki. Nie wyglądało na to, żeby był w dobrym nastroju.

– Nazywa się Chrysler Peavey – wyjaśniła pośpiesznie Hester. – Parę razy odwiedzał Strole, kiedy mieszkałam u Shrike’a. Był wtedy burmistrzem innego miasteczka padliniarzy. Bóg jeden wie, jak awansował na herszta piratów...

Tom przyglądał się Chryslerowi Peaveyowi, który zbliżał się do klatki ze zgrają dryblasów za plecami. Jego naga czaszka błyszczała od ognia z pieców, a strużki potu żłobiły jasne ścieżki na umorusanej gębie. Siwe wąsiska sterczały mu pod nosem, szpakowate kępkę owłosienia pokrywały uszy, wyłaziły z dziurek nosa, a nad oczami miał krzaczaste, ruchliwe brwi. Zaśniedziały łańcuch burmistrza zwisał mu z szyi, a na jego ramieniu siedziała mizernie wyglądająca małpka.

– Co to za ludzie? – zapytał.

– Para miastostopowiczów, szefie... Wasza Jaśnieoświeconość... – oznajmiła należąca do obstawy kobieta z włosami ułożonymi na kształt rogów i polakierowanymi.

– Wskoczyli na pokład w samym środku pościgu, Wasza

Jaśnieoświeconość – dodał inny zbir, który był obecny przy ujęciu Toma i Hester. Pokazał Peaveyowi kurtkę podarowaną Tomowi przez pannę Fang. – Ściągnąłem to z jednego z nich...

Wyglądało na to, że Peavey już miał zamiar się odwrócić, lecz nagle rozpoznał Hester.

– A niech mnie gęś kopnie! – zaryczał. – Toż to dzieciak tego blaszaka!

– Dobrze wyglądasz, Peavey – powiedziała Hester, a Tom zauważył, że nawet nie próbowała ukryć twarzy, jakby w obawie, że piraci uznają to za objaw słabości.

– No, niech mnie! – powiedział Peavey, oglądając ją od stóp do głów. – To naprawdę ty! Dziewczynka Łowcy, wyrosnięta i jeszcze brzydsza! Gdzie się podziewa stary Shrike?

– Nie żyje – odparła Hester.

– Nie żyje? Co się stało? Zużycie metalu? – Wybuchnął głośnym śmiechem, a obstawa posłusznie zaczęła się śmiać razem z nim, nawet małpka piszczała i pobrzękiwała łańcuchem. – Zużycie metalu! Cha, cha! Kapujecie?

– A więc teraz dowodzisz Tunbridge Wheels? – zagaiła Hester, kiedy Peavey, wciąż chichocząc, ocierał rękawem łzy z policzków.

– Kiedy ostatnio słyszałam o tym miasteczku, było jeszcze praworzędne i schludne. Żerowało na północy, u podnóży lodowców.

Peavey, tłumiąc chichot, pochylił się w stronę klatki i mrugnął porozumiewawczo.

– Fajne, co nie? – powiedział. – To miasteczko parę lat temu pożarło moje stare osiedle. Nadjechało ni stąd, ni zowąd i cap! Ale ludziska na pokładzie to były mięczaki: od razu zrobiliśmy z nimi porządek. Zorganizowaliśmy bunt w Trzewiach i przejęliśmy pokład. Burmistrza i radę miejską posłaliśmy do maszynowni, zamieszkaliśmy w tych pięknych domach, a ja sam zająłem miejsce w ratuszu. Koniec z padliniarstwem! Oto jego Jaśnieoświeconość Chrysler Peavey, do usług! – zarechotał, kłaniając się niezdarnie.

Tom zadrżał na myśl o tym, co musiało się stać z dawnymi obywatelami Tunbridge Wheels, kiedy Peavey i jego zbiry

przejęły władzę, lecz Hester tylko pokiwała głową z podziwem.

– Gratuluję – powiedziała. – To dobre miasto. Szybkie, ładnie zbudowane. Jednak mimo wszystko ryzykujesz. Gdyby twoja ostatnia ofiara nie zatrzymała się, wjechałbyś prosto w bagna i zatonął jak kamień.

Peavey machnął lekceważąco ręką.

– Na Tunbridge Wheels woda i błoto nie robią wrażenia. W tych bagnach ukrywa się mnóstwo tłusciutkich miasteczek, a tam, gdzie właśnie jedziemy, czeka nas wielka wyzerka!

Hester pokiwała z uznaniem głową.

– To co, wypuścisz nas? – zapytała jak gdyby nigdy nic. – Na pewno przydam ci się na pokładzie.

– Cha, cha, cha! – zaśmiał się Peavey. – Niestety, masz pecha. Ostatnio było krucho ze zdobyczą. Wszystkie łupy idą dla moich ludzi, żeby nie zaczęli świrować. Nie byłiby zadowoleni, gdybym wprowadził na pokład jeszcze dwie gęby. Zwłaszcza taką szkaradną jak twoja. – Znowu wybuchnął gromkim śmiechem, rozglądając się na boki, żeby się upewnić, czy inni też się śmieją. Małpka wskoczyła mu na łysinę i zaczęła szczyrzyć zębki.

– Przydam ci się, Peavey! – powiedziała Hester, z rozpaczy zapominając o Tomie. – Jestem twarda. Twardsza od twoich najlepszych ludzi. Będę walczyć o miejsce na pokładzie, jeśli trzeba...

– Och, na pewno się przydasz – zgodził się Peavey. – Tyle że na dole. Pomożesz w maszynowni. – Odwrócił się i skinął na kobietę z rogami. – Zakuj ich w łańcuchy, Maggs, i zaprowadź do reszty niewolników.

Hester osunęła się na podłogę, zrozpaczona. Tom położył dłoń na jej ramieniu, ale strząsnęła ją z irytacją. Spojrzał na odchodzącego Peaveya, na zalany krwią pokład i na zbliżających się do klatki uzbrojonych piratów. Ku swemu zaskoczeniu poczuł złość zamiast strachu. Po tym wszystkim, przez co przeszli, mieli skończyć w niewoli! Nie panując już nad sobą, zerwał się na równe nogi, podbiegł do oblepionych brudem krat i zaczął je szarpać, wołając piskliwym głosem:

– Niiiee!

Peavey obrócił się na pięcie. Jego krzaczaste brwi podeszły w górę niczym dwie kosmate gąsienice.

– Nie! – wrzasnął znowu Tom. – Musisz jej pomóc! Jesteś zwykłym tchórzem, napadasz na małe miasteczka, które nie mogą się bronić, i mordujesz ludzi. Robisz z ludzi niewolników tylko dlatego, że boisz się własnej załogi!

Maggs i pozostali piraci unieśli broń i spojrzeli na Peaveya, czekając tylko na rozkaz, by nafaszerować śrutem pyskatego więźnia. Jednak burmistrz stał tylko i gapił się, a potem wolnym krokiem podszedł do klatki.

– Co powiedziałaś? – zapytał.

Tom cofnął się, na próżno starając się wykrztusić odpowiedź.

– Jesteś z Londynu? – zainteresował się Peavey. – Wszędzie poznałbym ten akcent! I do tego nie jesteś z Trzewi. Z którego poziomu spadłeś?

– Z dru... drugiego – wyjąkał Tom.

– Z drugiego poziomu? – Peavey spojrział na swoich kamratów. – Słyszeliście? To już prawie Wysoki Londyn! Koleś jest wysokolondyńskim dżentelmenem. Dlaczego chciałaś zamknąć tego pana razem z pospolitymi niewolnikami, Maggs?

– Sam powiedziałaś... – zaprotestowała Maggs.

– Nieważne, co powiedziałem – wrzasnął Peavey. – Wyciągnąć go natychmiast!

Kobieta z rogami zaczęła się mocować z kłódką, aż w końcu zamek puścił, a inni piraci złapali Toma za ręce i wywlekli z klatki. Peavey odepchnął ich na bok i zaczął mu otrzepywać ubranie, mamrocząc:

– Tak się nie traktuje dżentelmena! Spanner, oddawaj mu kurtkę, ale już!

– Co? – zdziwił się tamten. – Nie ma mowy!

Peavey wyciągnął pistolet i zastrzelił go. Ot, tak po prostu.

– Powiedziałem: oddaj temu dżentelmenowi kurtkę, ciemna maso! – wrzasnął, pochylając się nad martwym ciałem, a pozostali migiem ściągnęli z niego kurtkę i włożyli na Toma. Peavey przyklepał dziurę po kuli.

– Przepraszam za krew – powiedział uniesienie. – Te głąby nie

mają pojęcia o manierach. Niech mi wolno będzie przeprosić za to przykre nieporozumienie i powitać pana w moim skromnym mieście. To zaszczyt gościć wreszcie prawdziwego dżentelmena, milordzie. Mam nadzieję, że zechce pan przyjąć moje zaproszenie na popołudniową filiżankę herbaty w ratuszu...

Tom stał jak wryty. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że mimo wszystko nie zostanie rozstrzelany. Filiżanka herbaty była ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał. Jednak gdy piracki burmistrz zamierzał go już zaprowadzić na pokład, Tom przypomniał sobie o Hester, która wciąż siedziała w klatce.

– Nie mogę jej tutaj zostawić! – powiedział.

– Chodzi panu o Hester? – Peavey wyglądał na zdezorientowanego.

– Podróżujemy razem – wyjaśnił Tom. – To moja przyjaciółka...

– W Tunbridge Wheels będziesz miał na pęczki dziewczuch – zapewnił go Peavey. – Znacznie fajniejszych, z nosami jak należy. Na przykład moją uroczą córkę. Będzie jej nad wyraz miło zawrzeć znajomość z takim dżentelmenem...

– Nie mogę zostawić Hester – powtórzył Tom tak stanowczo, jak umiał. W odpowiedzi burmistrz tylko uklonił się nisko i skinął na swoich ludzi, żeby otworzyli klatkę.

Na początku Tom myślał, że Peaveya interesowało to samo co pannę Fang – dokąd jechał Londyn i co zwabiło go na Teren Polowań. Jednakże, chociaż piracki burmistrz zadawał mnóstwo pytań o to, jakie życie prowadził Tom w Londynie, wcale nie wydawał się zainteresowany manewrami miasta. Po prostu cieszył się, że ma na pokładzie „dżentelmena z Wysokiego Londynu”, jak się wyraził.

Oprowadził Toma i Hester po ratuszu i przedstawił im rajców miejskich, bandę ponuro wyglądających osiłków: Alfa Kinola, Grubego Leszcza, Szcherbatego Szczepana, Zeba Ćwoka i Iwana Szajbę. Potem nadszedł czas na popołudniową filiżankę herbaty w prywatnej rezydencji burmistrza Peaveya. Weszli do sali na piętrze ratusza, zagraconej zbójeckimi trofeami. Zasmarkane

dzieciaki Peaveya ciągle włożyły im pod nogi i becząły z byle powodu. Najstarsza córka burmistrza, Cortina, przyniosła herbatę w delikatnych porcelanowych filiżankach oraz kanapki z ogórkiem na szklanej tacy. Była to nierozgarnięta, wystraszona dziewczyna z dużymi, szklistymi błękitnymi oczyma. Kiedy jej ojciec zauważył, że nie odkroiła skórek od chleba, trzepnął ją otwartą dłonią w tył głowy.

– Pan Thomas jest z Londynu! – wrzasnął, rzucając Cortinie kanapki w twarz. – Wszystko ma być eleganckie.

A potem powiedział przepaszając do Toma:

– Co ja, biedny, mam robić? Próbowałem wychować ją jak damę i nic z tego nie wyszło. Jednak dobra z niej dziewczucha. Jak na nią patrzę, to czasem zaczynam żałować, że skręciłem kark jej świętej pamięci matuli... – Pociągnął nosem i otarł oczy wielką białą chustą z piracką czaszką. Roztrzęsiona Cortina wróciła z nowymi kanapkami.

– Rozchodzi mi się o to – zaczął tłumaczyć Peavey, z mlaskaniem przeżuwając kanapkę – że nie chcę być piratem całe życie.

– Nie? – spytał grzecznie Tom.

– Ano nie – potwierdził Peavey. – Widzisz, w dzieciństwie nie miałem takich możliwości jak ty. Do szkół nie chodziłem i zawsze wyglądałem jak pół zadka zza krzaka...

– Och, tego bym nie powiedział – bąknął uprzejmie Tom.

– Sam musiałem o siebie zadbać, zbierałem złom, grzebałem w śmieciach. Ale zawsze czułem, że będę wielki. Wiesz, raz widziałem Londyn. Z daleka. Gdzieś tam jechał. I pomyślałem sobie, że to najpiękniejsze miejsce na tej brudnej ziemi. Wszystkie te pokłady i białe domy na górze, co w słończku tak błyszcząły. A potem usłyszałem o tych bogatych ludziach, co to tam żyją, i pomyślałem sobie: też tak chcę. Zachciało mi się tych szykownych ubrań, tych teatrów i bankietów w ogrodach. Dlatego zostałem padliniarzem, a potem burmistrzem. Teraz kieruję większym miasteczkiem. Ale tak naprawdę chciałbym... – Pochylił się w stronę Toma. – Tak naprawdę chciałbym być szanowany.

– Tak, tak, oczywiście – zgodził się Tom, zerkając na Hester.

– Widzisz, tak sobie kombinuję – ciągnął Peavey. – Jak to polowanie pójdzie zgodnie z planem, Tunbridge Wheels bardzo się obłowi. Będziemy bogaci, naprawdę bogaci. Kocham to miasteczko, Tom. Chcę, żeby rosło i rozwijało się. Chcę mieć porządny górny pokład z parkami i eleganckimi willami. I windy, co to jeżdżą w górę i w dół. Chcę zrobić z Tunbridge Wheels metropolię, zostać porządnym lordem burmistrzem. Dlatego chcę, żebyś mi powiedział, jak takie miasto powinno wyglądać. I nauczył mnie manier. Kapujesz? Żebym mógł pogawędzić przy herbatce z tymi innymi lordami burmistrzami i żeby tamci nie śmiali się ze mnie za plecami, że jestem taki ciółek. Moi kamraci też żyją teraz jak świnie w chlewie. Chcę, żebyś zrobił z nich dżentelmenów. No i co ty na to?

Tom zamrugał oczami, przypominając sobie zakazane gęby piratów Peaveya i zastanawiając się, co by zrobili, gdyby zakazał im mlaskać przy jedzeniu. Nie wiedział, co powiedzieć, aż w końcu wyręczyła go Hester.

– Na szczęście zjawiliśmy się z Tomem na twoim pokładzie – powiedziała burmistrzowi. – Tom ma etykietę w małym palcu. To najlepiej wychowany człowiek, jakiego znam. Powie wam wszystko, co trzeba.

– Ale... – zaczął Tom i skrzywił się z bólu, bo Hester kopnęła go pod stołem w kostkę.

– No to szafa gra! – ucieszył się Chrysler Peavey, opluwając gości okruchami przeżuwanej kanapki. – Trzymaj się starego Chryslera, Tomie, a nie pożałujesz. Jak tylko połkniemy nasz wielki łup, możesz zacząć robotę. Nawet nie wiesz, co czeka na nas po drugiej stronie bagien...

Tom wyobraził sobie wielką mapę Terenu Polowań, szerokie Rdzawe Bagna, a za nim...

– Za bagnami? Ależ tam nic nie ma! Tylko morze Khazak!

– Już wam mówiłem, że Tunbridge Wheels do wszystkiego się nadaje. Może wyruszyć nawet w morze! Cha, cha, cha! Kapujecie? Cha, cha, cha! – zarechotał Peavey, klepnął Toma w plecy i zaczął siorbać herbatę, trzymając filiżankę między kciukiem a palcem wskazującym i odstawiając nieco mały palec.

18. BEVIS

Po kilku dniach Londyn znowu wypatrzył łup: grupę słowiańskich mieścinek na kółkach, chowających się pośród wapiennych skałek, które kiedyś były górami. Miasto jeździło tam i z powrotem, połykając je po kolei, podczas gdy pół Londynu wyległo na tarasy widokowe, patrząc na to i wiwatując. Miasto zostawiło za sobą równiny zachodniego Terenu Polowań i ludzie zapomnieli o niedawnych pretensjach. Co z tego, że robotnicy w maszynowniach marli od gorąca jak muchy? Stary, dobry Londyn! Stary, dobry Crome! Od lat nie świętowano tak udanych polowań!

Miasto goniło najpierw szybsze osiedla, a potem zawracało i ścigało wolniejsze. Minął prawie tydzień, nim pożarło ostatnią ofiarę, duże i niegdyś dumne miasto, któremu drapieżne miasteczka poobgryzały koła i które wlokło się teraz ostatkiem sił. Wieczorem po pożarciu go urządzono w Londynie huczne festyny we wszystkich publicznych parkach. Nastroje jeszcze się poprawiły, gdy daleko na północy zaobserwowano światła. Powstała plotka, że należą one do wielkiego, ale zniedołężniałego miasta; że właśnie tam został wysłany Valentine i jego „Winda Na Trzynaste Piętro”, aby przez radio pokierować Londyn do łupu wszech czasów. Do drugiej w nocy w niebo strzelały sztuczne ognie, a Chudleigh Pomeroy, pełniący pod nieobecność Valentine’a obowiązki głównego historyka, zdegradował Herberta Melliphanta do rangi czeladnika trzeciej kategorii, gdy odpalił on fajerwerk w głównej sali muzeum.

Jednak świt położył kres tej radości. Światła na północy należały do olbrzymiego miasta, tyle że wcale nie zniedołężniałego – pełną parą pędziło ono na południe i wyglądało na głodne. Cech Nawigatorów wkrótce zidentyfikował je jako Panzerstadt-Bayreuth, konglomerat czterech wielkich niemieckich miast. Należało uciec od niego jak najdalej i jak

najszybciej.

Londyn uruchomił silniki i pomknął na wschód, aż wreszcie potężny przeciwnik zniknął za widnokregiem. Jednak następnego ranka znowu się ukazał. Wyraźnie widać było jego górne pokłady, błyszczące w słońcu, gdyż znajdował się znacznie bliżej niż poprzednio.

Katherine Valentine nie cieszyła się z udanego polowania, nie czuła też strachu, który ogarnął londyńczyków.

Od powrotu z Głębokich Trzewi nie wychodziła ze swojego mieszkania, większość czasu spędzała w kąpieli, próbując zmyć brud i odór z sekcji sześćdziesiątej. Ledwo mogła cokolwiek przełknąć i kazała służącym wyrzucić wszystkie ubrania, jakie miała tamtego dnia na sobie. Przestała chodzić do szkoły. Jak mogła wrócić do koleżanek, ich głupawych rozmów o chłopakach i ciuchach, skoro widziała tak straszne rzeczy? Za oknem świeciło słońce, kwitły kwiaty, na drzewach zaczęły się pojawiać zielone listki, ale nie mogła cieszyć się pięknem Wysokiego Londynu jak dawniej. Ciągle myślała o tysiącach londyńczyków, pracujących i umierających w cierpieniu i poniżeniu jedynie po to, żeby bogaci wybrańcy losu, tacy jak ona, mogli żyć w luksusie.

Napisała o tym do prasy i do policji, ale potem podarła oba listy na strzępy. Jaki sens miałyby wysyłanie ich, skoro wszyscy wiedzieli, że Magnus Crome kontroluje zarówno policję, jak i dziennikarzy? Nawet najwyższy kapłan Klio został wybrany przez Crome'a. Będzie więc musiała poczekać na powrót taty, żeby spróbować poprawić sytuację w Głębokich Trzewiach – o ile oczywiście Londyn nie zostanie wcześniej pożarty.

Nie mogła się też dowiedzieć prawdy na temat dziewczyny z blizną. Czeladnik Pod podobno nic nie widział. Do kogo jeszcze można by się zwrócić?

Po trzech dniach ucieczki Londynu przed Panzerstadt-Bayreuth, gdy jadła śniadanie, przyniesiono jej list. Nie miała pojęcia, kto mógłby do niej napisać. Kilkakrotnie obejrzała kopertę ze wszystkich stron i widząc stempel poziomego szóstego, poczuła

dziwny strach.

Kiedy wreszcie rozdarła kopertę, wypadła z niej karteczka – zwykły londyński papier, który tyle razy poddano recyklingowi, że był chropawy i szary jak skóra nosorożca, którego widziała w muzeum. Na karteczce widniał znak wodny:

NIE MARNUJ NICZEGO – UŻYWAJ WSZYSTKIEGO.

Droga Panno Valentine!

Proszę mi pomóc. Muszę coś Panience powiedzieć. Będę czekał na Panienkę dzisiaj o jedenastej przed południem w jadłodajni U Pete'a w parku Belsize na pokładzie piątym.

*Z wyrazami szacunku
Przyjaciel*

Parę tygodni wcześniej Katherine byłaby podekscytowana, lecz teraz nie miała ochoty na tajemnicze spotkanie. Nie pora na to, gdy Londyn ucieka przed nieuchronnym pożarciem, a ludzie na dolnych piętrach cierpią katusze! Wyrzuciła liścik do kosza na makulaturę, odstawiła nietknięte śniadanie i znowu poszła się umyć.

Dręczyła ją jednak ciekawość. O godzinie dziewiątej powiedziała sobie:

– Nigdzie nie idę.

O dziewiątej trzydzieści oznajmiła Psu:

– To nie ma sensu, i tak nikt by na mnie nie czekał.

O dziesiątej mruknęła pod nosem:

– Jadłodajnia U Pete'a? Co to za okropne miejsce! Pewnie w ogóle nie istnieje.

Pół godziny później czekała na windę na stacji przy Centralnym Szybie.

Wysiadła na Low Holborn. Ujrzała skromne domki, charakterystyczne dla uliczek na krawędzi pokładu. W najgorszym ubraniu, jakie miała, ze spuszczoną głową szła

szybkim krokiem z Psem u nogi. Już nie rozpierała jej duma, kiedy ludzie gapili się na nią. Wyobrażała sobie, jak mówi do siebie: „To ta zadzierająca nosa Katherine Valentine z pokładu pierwszego. Ci z Wysokiego Londynu w ogóle nie wiedzą, co to jest prawdziwe życie”.

Park Belsize był prawie pusty, a powietrze gęste od czarnego dymu z londyńskich silników. Wszystkie trawniki i klomby dawno już zostały zmienione na półka uprawne i jedynymi ludźmi w parku byli pracownicy Plantacji i Ogrodów, którzy krążyli między rzędami główek kapusty i opryskiwali je pestycydami. Nieopodal stał podniszczony stożkowaty budynek z napisem U PETE'A, pod którym mniejszymi literami napisano JADŁODAJNIA I KAWIARNIA. Na zewnątrz, pod markizami, i w środku stały metalowe stoliki. Ludzie przy nich rozmawiali i palili papierosy w mrugającym, bladym świetle argonowej lampy. Siedzący samotnie przy stoliku obok drzwi chłopak wstał i pomachał do niej. Pies zamerdał ogonem. Katherine dopiero po chwili zorientowała się, że to czeladnik Pod.

– Jestem Bevis – powiedział, uśmiechając się nerwowo, kiedy Katherine siadała naprzeciwko niego. – Bevis Pod.

– Tak, pamiętam.

– Cieszę się, że panienka przyszła. Chciałem z panienką porozmawiać, ale lepiej, żeby mój cech nie wiedział o naszym spotkaniu. Bardzo nie lubią, kiedy rozmawiamy z obcymi. Dzisiaj mam wolne, bo inżynierowie przygotowują jakieś ważne zebranie. Zresztą oni i tak nie pojawiają się w takich miejscach jak to.

– Wcale mnie to nie dziwi – mruknęła Katherine, przyglądając się karcie dań. Widniało tam wielkie kolorowe zdjęcie czegoś o nazwie Happy Meal: kawał nieprawdopodobnie różowego mięsa wciśnięty między dwie pajdy chleba z wodorostów. Ponieważ nie wyglądało to apetycznie, zamówiła tylko napar z mięty. Podano jej plastikowy kubek, którego zawartość smakowała chemikaliami. – Czy wszystkie restauracje na poziomie piątym są takie?

– Och, nie – odparł Bevis Pod. – Ta jest znacznie lepsza od

innych. – Nie mógł oderwać wzroku od jej włosów. Całe życie spędził w ośrodkach inżynierów w Głębokich Trzewiach. Mówiono tam, że włosy są zbędne, że to bezużyteczna pozostałość po zamierzchłych czasach, kiedy ludzie mieszkali jeszcze na ziemi. Kiedy jednak zobaczył włosy Katherine, zaczął mieć wątpliwości...

– Napisałeś, że potrzebujesz mojej pomocy... – odezwała się Katherine.

– Tak – odparł Bevis. Obejrzał się przez ramię, jakby się upewniał, czy nikt ich nie śledzi. – Chodzi o to, o co panienka pytała. Nie mogłem tego powiedzieć przy Nimmie. I tak miałem kłopoty, bo próbowałem pomóc tamtemu biednemu człowiekowi...

Jego ciemne oczy znowu zaszkliły się łzami.

– To nie twoja wina, Bevis – powiedziała Katherine. – Ale powiedz, co wiesz o tej dziewczynie. Widziałeś ją?

Bevis pokiwał głową, wracając myślami do tamtego wieczoru, gdy Londyn pożarł Salthook.

– Widziałem, jak biegła. Gonił ją czeladnik historyków. Wołał, żeby mu pomóc. Zobaczyłem, jak się odwróciła, kiedy dobiegła do zsypu. Twarz miała taką...

– I co było dalej?

– Usłyszałem, że coś woła do tego historyka. Wymieniła nazwisko ojca panienki. Pokazała na swoją twarz i powiedziała „Hester Shaw”. A potem skoczyła.

– I pociągnęła za sobą biednego Toma.

– Nie. On tam dalej stał. Wyglądał jak skamieniały. Potem zawiąło dymem i straciłem go z oczu. Ponieważ pojawiła się policja, pomyślałem, że na nic się już nie przydam. Nie mogłem nikomu powiedzieć o tym, co widziałem, bo nie wolno mi opuszczać posterunku.

– Jednak mnie powiedziałaś – zauważyła Katherine.

– Tak, panno Valentine. – Czeladnik się zarumienił.

– Hester Shaw? – Katherine nigdy nie słyszała takiego nazwiska. W ogóle Bevis musiał coś pokręcić, bo jego opowieść nie zgadzała się z tym, co mówił tata.

Chłopak rozejrzał się nerwowo po sali, a potem ściszył głos do szeptu:

- Czy to prawda, co panienka mówiła tam na dole? Czy ojciec panienki zrobi coś, żeby pomóc więźniom?

- Oczywiście. Załatwi to, kiedy tylko mu powiem, co się dzieje – przyrzekła Katherine. – Jestem przekonana, że o tym nie wie. Ale nie musisz mi mówić „panienko”. Jestem Katherine. Kate.

- Dobrze, Kate. – Uśmiechnął się, lecz wciąż wyglądał na zdenerwowanego. – Nie jestem lojalny względem cechu – wyjaśnił. – Zawsze chciałem być inżynierem. Ale nigdy nie przypuszczałem, że skierują mnie do eksperymentalnego więzienia. Trzymanie ludzi w klatkach i zmuszanie ich do pracy w tych zbiornikach nie ma nic wspólnego z inżynierią. Próbuję im pomagać, ale niewiele mogę zrobić, a nadzorcy chcą, żeby zapracowali się na śmierć. Wtedy odsyłają ich do Wydziału K. Nawet po śmierci nie mają spokoju.

- Co to jest Wydział K? – spytała Katherine, przypominając sobie, jak Nimmo uciszył czeladniczkę, kiedy o tym wspomniała.

- Czy to część więzienia?

- Nie. Odsyłamy ich na górę do inżynierium, do doktor Twix.

- Po co jej zmarli? – zapytała drżącym głosem Katherine.

- Może to tylko plotka, ale podobno konstruuje Łowców. Zmartwychwstańców.

- Wielka Klio! – wykrzyknęła Katherine, przypominając sobie, czego się uczyła o Łowcach. Wiedziała, że ojciec wykopał kilka zardzewiałych szkieletów i że przekazał je inżynierom, ale powiedział, że interesuje ich tylko elektronika w mózgach tych stworów. Czyżby naprawdę zamierzali produkować nowych zmartwychwstańców? – Przecież to byli żołnierze, skonstruowani na potrzeby dawnych wojen...

- To idealna siła robocza – odparł Bevis. – Nie trzeba ich karmić ani ubierać. Nie potrzebują mieszkań, a jak nie ma nic do roboty, można ich po prostu wyłączyć i wrzucić do magazynu. Podobno w przyszłości każdy, kto umrze na dolnych pokładach, zostanie wskrzeszony i nie będziemy już potrzebować w Trzewiach żywych, może z wyjątkiem nadzorców.

– Ależ to okropne! – oburzyła się Katherine. – Londyn stanie się miastem umarłych!

Bevis Pod wzruszył ramionami.

– W Głębokich Trzewiach już teraz czuję się tak, jakbym przebywał wśród trupów. Crome chce, żebyśmy produkowali Łowców, i właśnie dlatego wysłałyśmy zwłoki do doktor Twix.

– Jestem pewna, że gdyby ludzie wiedzieli o tym potwornym planie... – Nagle przyszło jej coś do głowy. – Czy ten program nazywa się Meduza?

– Skąd wiesz o Meduzie? – Bevis pobladł jeszcze bardziej. – To tajemnica!

– Co to takiego? Jeżeli nie chodzi o zmartwychwstańców...

– To wielka tajemnica cechu – szepnęła Bevis. – Czeladnicy nie powinni nawet znać tej nazwy. Nadzorcy mówią, że wszystkie problemy w mieście znikną, kiedy uruchomimy Meduzę. Na przykład w tym tygodniu, kiedy zaczęło nas gonić to germańskie miasto, wszyscy wpadli w panikę, myśląc, że to koniec Londynu, ale starsi inżynierowie mówili do siebie: „Meduza to załatwi”. Właśnie dlatego dzisiaj wieczorem zwołano w inżynierium zebranie z udziałem Magnusa Crome’a.

Katherine zadrżała, myśląc o tajemniczych rzeczach, które działy się za czarnymi oknami inżynierium. Właśnie tam musiała pójść, jeśli chciała dowiedzieć się prawdy o tym, co dręczyło jej ojca. Meduza. To wszystko miało coś wspólnego z Meduzą.

Pochyliła się ku chłopakowi i szepnęła:

– Pójdiesz na to zebranie? Powiesz mi potem, o czym mówił Crome?

– O, nie! Tam mają wstęp tylko starsi inżynierowie...

– Nie mógłbyś się przebrać za starszego inżyniera? – nalegała Katherine. – Mam przeczucie, że dzieje się coś złego, a Meduza to klucz do tego wszystkiego.

– Niestety, nie. – Bevis pokręcił głową. – Nie mam zamiaru skończyć w laboratorium doktor Twix jako zmartwychwstaniec.

– To pomóż mnie się tam dostać – powiedziała Katherine, chwytając go za rękę. Bevis zeszywniał i cofnął dłoń, patrząc ze zdziwieniem na swoje palce. Katherine, nie dając za wygraną,

zajrzała mu głęboko w oczy.

– Ze względu na ojca muszę się dowiedzieć, co Crome zamierza uczynić – powiedziała. – Proszę cię, Bevis. Muszę się dostać do inżynierium!

19. MORZE KHAZAK

Kilka godzin później, gdy wieczorna mgła zasnuła Rdzawe Bagna, Tunbridge Wheels dojechało do brzegu morza. Zatrzymało się na chwilę, zwrócone w stronę skupiska wysp, których ciemne góry wyrastały ze srebrzystej wody. Długie klucze krzykliwych ptaków leciały znad morza w głąb lądu i gdy miasteczko wyłączyło silniki, dał się słyszeć łopot ich skrzydeł. Niewielkie fale biły miarowo o brzeg, a wschodni wiatr szumiał wśród traw. Poza tym panowała cisza i spokój: żadnych świateł ani dymu miast podróżujących po bagnach lub po morzu.

– Natsworthy! – krzyknął Chrysler Peavey, stojąc z lunetą przy oknie na mostku obserwacyjnym. – Gdzie się ten chłopak podziewa? Dajcie go tu! – Kiedy wprowadzono Hester i Toma, odwrócił się do nich z szerokim uśmiechem i powiedział: – Zerknij, Tom! Mówiłem, że was tu doprowadzę, no nie? Mówiłem, że bezpiecznie przejedziemy przez bagna? A teraz zobacz, dokąd jedziemy!

Tom przytknął oko do lunety. Na morzu dojrzał co najmniej kilkanaście wysepek, największa z nich górowała nad resztą niczym prehistoryczny potwór wyłaniający się z wody.

Podróż przez zdradliwe trzęsawiska zajęła Tunbridge Wheels ponad tydzień, lecz chociaż Chrysler Peavey traktował Toma jak honorowego gościa, nie uznał za stosowne wyjaśnić mu, co miał nadzieję znaleźć na wyspach. Pozostali piraci również tego nie wiedzieli, lecz cieszyli się z upolowanych po drodze miasteczek – półosiadłych pojazdów z pokrytymi mchem kołami i pięknie rzeźbionymi fasadami drewnianych domków na górnym pokładzie. Tunbridge Wheels połknęło je, wymordowano przy tym lub zniewolono ludność i wrzucono do pieca wspaniałe rzeźby.

Tom nie mógł tego znieść. Wychowano go w przekonaniu, że miejski darwinizm to piękny, szlachetny system, lecz w Tunbridge Wheels nie dostrzegał niczego pięknego ani szlachetnego. Wciąż był honorowym gościem w ratuszu, podobnie jak Hester, choć Peavey wyraźnie nie rozumiał jego przywiązania do szpetnej, milczącej i opryskliwej dziewczyny.

– Dlaczego nie zaprosisz na randkę mojej Cortiny? – wypalił któregoś wieczoru, siedząc obok Toma w jadalni. – Albo weź sobie jedną z dziewczuch z miasteczka, które ostatnio upolowaliśmy. Ładne są, a ponieważ nie rozumieją ani słowa po angielsku, to ci nie napyskują...

– Hester nie jest moją dziewczyną! – zaprotestował Tom, ale wcale nie miał ochoty umawiać się z córką burmistrza. Był zakochany w Katherine Valentine, o której w żaden sposób nie mógł zapomnieć: – Hester i ja wiele razem przeszliśmy, panie Peavey. Obiecałem, że pomogę jej wrócić do Londynu.

– To wszystko było przedtem – odparł burmistrz. – Chcę, żebyś został moim synem. Teraz jesteś mieszkańcem Tunbridge Wheels. A i ludzie może bardziej by cię szanowali, gdybyś miał ładniejszą dziewczuchę.

Tom spojrział na drugi koniec stołu i zobaczył ponuro bawiących się nożami piratów, gapiących się na niego. Wiedział, że ci ludzie nigdy nie będą go szanowali. Nienawidzili go za to, że był miejskim mięczakiem, a na dobitkę ulubieńcem Peaveya.

Gdy został potem sam z Hester, powiedział:

– Musimy stąd zwiewać. Piraci nas nie cierpią, zaczynają mieć dość Peaveya i tego całego gadania o manierach i etykietach. Nawet nie chcę myśleć, co by się z nami stało, gdyby wybuchł bunt.

– Poczekajmy i zobaczymy – mruknęła Hester. – Peavey to twardej. Na pewno uda mu się utrzymać kompanów w ryzach, jeśli doprowadzi ich do tego wielkiego łupu, który bez przerwy obiecuje. Ale Quirke jeden wie, co to za zdobycz.

– Dowiemy się jutro – powiedział Tom, któremu oczy się już kleiły do snu. – Jutro o tej porze będziemy już mieć za sobą te okropne bagna...

Następnego dnia, kiedy nawigator Peaveya rozkładał mapy na mostku obserwacyjnym na dachu ratusza, z dołu zaczęły dobiegać dziwne syki. Tom spojrzął na podwładnych Peaveya, którzy pochylali się nad mapami, lecz oprócz Hester chyba nikt niczego nie usłyszał. Dziewczyna zerknęła na Toma nerwowo i wzruszyła ramionami.

Nawigatorem był chudy okularnik, Ames. Przed buntem piratów pracował jako nauczyciel w szkole w Tunbridge Wheels. Teraz przyzwyczajał się do nowego, pirackiego życia: było znacznie ciekawsze, godziny pracy bardziej mu odpowiadały, a bandyci Peaveya zachowywali się lepiej niż większość jego dawnych uczniów. Wygladzając mapy kościstymi dłońmi, powiedział:

– Kiedyś był tu teren łowiecki wielu wodnych miasteczek, ale wytepiły się nawzajem i teraz antymobiliści zajęli wyspy takie jak ta...

Wielkie śródlądowe morze Khazak było usiane dziesiątkami wysepek, ale ta, którą pokazywał palcem Ames, była największa. Miała jakieś czterdzieści kilometrów długości. Według Toma nie było w niej nic interesującego. Również piraci mieli niewyraźne miny, lecz Peavey chichotał, mrugając i zacierając ręce.

– Czarna Wyspa – powiedział. – Nie ma na co patrzeć, prawda? Ale zapewniam, że obłowimy się tu dobrze! Za dwa dni Tunbridge Wheels zmieni się w porządne wielkie miasto.

– Ale jak? – zdziwił się Mungo, pirat, który najmniej ufał Peaveyowi i najbardziej nienawidził Toma. – Tam nic nie ma, Peavey. Tylko parę starych drzew i garstka bezwartościowych mszaków.

– Co to są mszaki? – szepnął Tom do Hester.

– Ludzie, którzy mieszkają w nieruchomych osadach – odparła półgłosem. – Jest takie stare przysłowie: miasto w ruchu nie obrasta mchem...

– Otóż oświadczam, piękne panie i szanowni panowie – zaczął Peavey – że na Czarnej Wyspie coś jest. Kilka dni temu, tego

samego dnia, kiedy wskoczyłeś na nasz pokład, Tom, zestrzeliliśmy statek powietrzny, lecący nad bagnami. Jego załoga powiedziała mi coś bardzo interesującego, nim poderżnąłem im gardziółka. Wygląda na to, że w Airhaven było niezłe zamieszanie; pożar, awaria silników, wyciek gazu. Miasto nie mogło się utrzymać w powietrzu i musiało wylądować na naprawę. I jak myślicie, gdzie wylądowało?

– Na Czarnej Wyspie? – zgał Tom.

– Zuch chłopak! Na Czarnej Wyspie znajduje się zajazd, gdzie statki uzupełniają paliwo w drodze na południe, na ziemię Ligi Antymobilistów. Właśnie tam wylądowało Airhaven. Wydaje im się, że są bezpieczni, bo dookoła mają morze i mszaków do pomocy. Ale nie broni ich to przed Tunbridge Wheels!

Piraci ożywili się, zaczęli pomrukiwać i pogwizdywać z zadowoleniem. Hester stała wpatrzona w majaczącą na horyzoncie wyspę. Tom z przerażeniem myślał o tym, że wspaniałe podniebne miasto ma zostać złupione i zniszczone, lecz z drugiej strony ciekawiło go, jak Peavey zamierzał się do niego dostać.

– Na stanowiska, bałwany! – zawołał piracki burmistrz. – Uruchomić silniki! Przygotować broń! Jutro o świcie będziemy bogaci!

Gdy piraci rozeszli się, Tom wyjrzał przez okno. Na zewnątrz zapadła już ciemność, ostatnie promienie słońca czerwieniły złowieszczco niebo nad bagnami. Jednak ulice Tunbridge Wheels były pełne światła, a zza burt zaczęły się wyłaniać pomarańczowe, rosnące z każdą chwilą kształty. Syk na dole pochodził z pompowanych poduszek, które zmieniły miasteczko w gigantyczny ponton.

– No to jazda! – krzyknął siedzący na obrotowym fotelu burmistrz, dając znak maszynowni. Potężne silniki obudziły się z warkotem do życia, z kominów buchnął dym i miasteczko ruszyło przez plażę do wody.

Na początku wszystko szło wyjątkowo dobrze. Tunbridge

Wheels bez kłopotów płynęło pod osłoną nocy w kierunku wysp. Morze było spokojne i puste. Tom otworzył boczne okienko na mostku i wystawił głowę, czując dziwne podniecenie i chłodny słony wiatr na twarzy. Na dawnym targowisku w pobliżu dziobu zebrali się piraci, przygotowujący haki abordażowe i drabiny. Ponieważ Airhaven było za duże, by zmieścić się w szczękach miasta, należało je najpierw zdobyć, a dopiero potem zabrać się do rozebrania go na części. Tomowi wcale się nie podobały plany piratów, zwłaszcza że w mieście mogli nadal przebywać zaprzyjaźnieni z nim lotnicy. Żył jednak w świecie, w którym jedno miasto pożerało drugie, a śmiały plan Peaveya godny był podziwu.

Wtem ni stąd, ni zowąd coś spadło z nieba na pokład i wybuchło pośrodku placu. Zrobiło się czarno od dymu, zbiegli się ludzie z wiadrami wody i gaśnicami.

– Sterowiec! Sterowiec! Sterowiec! – zaczął ktoś krzyczeć, a po chwili nastąpiła potężna eksplozja.

Peavey zaklął, podbiegając do rozbitego okna i wyglądając na zasnutę kłębam dymu ulice. Małpka podskakiwała mu nerwowo na ramieniu, piszcząc.

– Te cholerne mszaki są lepiej zorganizowane, niż przewidywałem – powiedział. – Włączyć reflektory!

Nad miasteczkiem pojawiły się dwa słupy światła. W punkcie, w którym się skrzyżowały, Tom zobaczył kulisty czerwony kształt. Działa miejskie uniosły lufy i wypuły w niebo grad pocisków.

– Pudło! – warknął Peavey, patrząc przez lunetę. – Powiniennem przewidzieć, że Airhaven wyśle statki zwiadowcze. I jeśli mnie wzrok nie myli, jest to balon tej wrednej Fang!

– „Jenny Haniver”! – wykrzyknął Tom.

– Nie ma się z czego cieszyć – burknął Peavey. – Ta baba to prawdziwa zaraza.

Tom nic nie wspomniał pirackiemu burmistrzowi o swoich przygodach na pokładzie Airhaven. Starając się ukryć radość na wieść, że panna Fang żyje, powiedział:

– Słyszałem o niej. Pilotuje statek handlowy...

– Handlowy? – Peavey splunął energicznie na pokład. – Myślisz,

że handlowiec wozi takie bomby? Fang jest jedną z najlepszych agentek Ligi Antymobilistów. Nie zawaha się zniszczyć każdego, kto porusza się na kółkach. To ona podłożyła bombę, która zatopiła Marsylię, to ona zadusiła biednego sułtana Palau Pinang. Zdzira ma na łapskach krew tysięcy niewinnych mieszczuchów! Ale my jej pokazemy. Przerobię ją na gulasz! Powieszę jej martwe ścierwo na wieży! Podwójna porcja łupów z Airhaven dla tego, kto zestrzeli ten czerwony statek!

Nikt jednak go nie zestrzelił; „Jenny Haniver” szybko znalazła się poza zasięgiem dział i zawróciła w kierunku Czarnej Wyspy, by ostrzec Airhaven o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Teraz Tom nie miałby nic przeciwko temu, żeby jej statek stanął w płomieniach. Więc to dlatego panna Fang uratowała go i była taka miła! Po prostu zależało jej na zdobyciu informacji dla Ligi. Jej przyjaciel Khora też dlatego tak się dobrze do niego odnosił. Dzięki Quirke’owi, Tom nie mógł jej powiedzieć nic ważnego!

Pokład Tunbridge Wheels płonął, lecz rakiety „Jenny Haniver” okazały się za małe, by wyrządzić poważne szkody, a teraz, kiedy nie mogła już działać z zaskoczenia, panna Fang zrezygnowała z następnego ataku. Miasteczko, otoczone łuną pożarów i kłębam dymu, płynęło dalej na wschód. Tom dostrzegł światła na Czarnej Wyspie, świetliste punkciki latarenek tańczące na brzegu. Bliżej, między wysepką a Tunbridge Wheels, rozbłyły światła.

– Łodzie! – krzyknął Mungo, spoglądając przez celownik karabinu.

Peavey podszedł do okna i jego płaszcz załopotał na wietrze.

– Kutry rybackie! – mruknął Peavey z zadowoleniem. – Pierwsze żarcie tej nocy. Połkniemy je jako przekąskę!

Kutry zaczęły się rozpierzchać na widok Tunbridge Wheels i szukać schronienia przy brzegu, lecz jeden, większy i powolniejszy od reszty, pozostał w tyle.

– Skasujemy go – warknął Peavey. Miasteczko z warkotem silników zmieniło kurs. Strome skały Czarnej Wyspy zasłaniały gwiazdy na wschodzie. A jeżeli na tych górach mają działa? – pomyślał Tom. Jeśli nawet rzeczywiście tam były, nikt z nich nie strzelał. Doganiali kuter. Tom widział wyraźnie spieniony ślad za

jego rufą.

Nagle pojawiły się inne fale, znacznie bliżej, przed samym dziobem miasta.

– Peavey! To pułapka! – krzyknęła Hester.

Było już jednak za późno. Lekki, mały kuter bez trudu przepłynął nad rafą, lecz wielkie, rozpędzone Tunbridge Wheels wpadło na ostre podwodne skały ze zgrzytem i trzaskiem. Tom stracił równowagę i uderzył plecami o stół z mapami. Silniki zgasty i zaległa martwa, przerażająca cisza. Po chwili zawyły syreny.

Tom podczołgał się z powrotem do okna. Światła na ulicach pogasty. Z otworów w pokładzie wytryskały białe gejzery wody, która zalała Trzewia. Małe figurki ludzi biegały w panice po pokładzie. Uciekający kuter zatrzymał się, a jego załoga wyległa na rufę, aby przyjrzeć się swemu zwycięstwu. Tonące miasteczko znajdowało się zaledwie sto metrów od stromego brzegu. Mocna łapa chwyciła Toma za ramię, ciągnąc go do wyjścia.

– Idziesz ze mną! – powiedział Chrysler Peavey, łapiąc karabin wiszący na ścianie. – Wy też, Ames, Mungo i Maggs!

Piraci otoczyli burmistrza ciasnym kordonem i zbiegli na dół. Hester pokuśtykała za nimi. Na dole słychać było krzyki, ludzie stojący po kolana w wodzie patrzyli na burmistrza pełnymi przerażenia oczyma.

– Opuścić miasto! – krzyknął Peavey. – Najpierw kobiety i burmistrz!

Wbiegli do jego prywatnych apartamentów, gdzie Cortina tuliła do siebie przestraszone rodzeństwo. Peavey nawet na nią nie spojrział, dopadł do skrzyni stojącej w rogu i mruczając coś pod nosem, zaczął otwierać szyfrowy zamek. Wieko skrzyni otworzyło się, Peavey wyciągnął z niej małe pomarańczowe zawiniątko, a potem wszyscy pobiegli na balkon. Morze już pieniło się pod ich stopami. Tom odwrócił się, chcąc pomóc Cortinie i dzieciom, lecz Peavey zupełnie o nich zapomniał. Rzucił na fale pakunek, który z sykiem rozwinął się i zamienił w niewielki okrągły ponton.

– Na ponton – warknął Peavey, łapiąc Toma za kołnierz.

– Ale...

– Na ponton! – Potężnym kopniakiem wyrzucił Toma za balkon. Mungo wskoczył jako następny, a za nim pozostali. Wskakiwali z takim pośpiechem, że na chwilę ponton zanurzył się pod wodę.

– Oooooo! – płakała Cortina, stojąc w oknie swego pokoju. Kiedy Tom wygrzebał się spod pana Ames, tonące miasteczko zostało już daleko w tyle. Rozejrzał się w poszukiwaniu Hester. Siedziała skulona obok. Małpka Peaveya piszczała ze strachu, podskakując na jego łysej głowie.

– Oooooo! – dobiegł ich odległy płacz, zagłuszony pluskiem wody, do której skakali zdesperowani ludzie. Wśród desek i strzępów pomarańczowej gumy miotali się tonący rozbitkowie. Gdy próbowali podплыnąć do pontonu uciekającego burmistrza, Maggs wstała i zaczęła strzelać z karabinu. Woda wokół pontonu poczerwieniała od krwi. Sterczący prawie pionowo nad wodą dziób miasteczka z nagłym trzaskiem i sykiem zaczął się zanurzać. Woda wzburzyła się i zabulgotała. Przez chwilę słychać było jeszcze krzyk, płacz, błagalne jęki o pomoc, strzały, gdy dryfujące deski zmieniały właścicieli.

Potem zaległa cisza. Ponton, niesiony prądem, powoli zmierzał w stronę brzegu.

20. CZARNA WYSPA

O świcie Shrike dotarł nad brzeg morza. Przypływ rozmywał głębokie koleiny, pozostawione w piasku. Na wschodzie, z domostw na brzegach Czarnej Wyspy, unosił się dym. Łowca wykrzywił martwą twarz w uśmiechu, czując dumę z Hester Shaw, która zostawiała za sobą takie zniszczenia.

Myśl o Hester doprowadziła go na drugi kraniec bagien. Tylko ona sprawiła, że mimo wsysającego się w uszkodzone nogi błota i wody, która często sięgała mu czubka głowy, ciągle szedł przed siebie. Ślady pozostawiane przez miasteczko łatwo było wytropić. Teraz też szedł po nich, stąpając po piasku i zanurzając się w falach. Słona woda biła w soczewki oczu, wżerała się pod pancerz. Krzyki mew i szum wiatru ucichły, gdy zszedł na dno morza. Powietrze czy woda – zmartwychwstańcowi nie sprawia to żadnej różnicy. Ryby wybałuszały na niego oczy i uciekały w kępy wodorostów. Kraby ustępowały mu z drogi, machając szczypcami. Brnął dalej, podążając za zapachami paliwa i smaru, które doprowadzą go do Tunbridge Wheels.

Kilka kilometrów od zatoczki, gdzie weszli na ląd, Chrysler Peavey zatrzymał się na szczycie stromej skały, żeby zaczekać na resztę. Dołączyli do niego najpierw Tom i Hester, potem Ames z mapą, a na końcu Maggs i Mungo, uginający się pod ciężarem karabinów. Patrząc za siebie, widzieli skały wrzynające się w morze oraz skupisko łodzi wokół miejsca, w którym zatoneło Tunbridge Wheels. Wyspiarze nie tracili czasu: od razu zabrali się do grabienia zdobyczy.

– Cholerne mszaki – burknął Peavey.

Tom się nie odzywał do burmistrza od wyjścia na brzeg. Teraz ze zdziwieniem spostrzegł łyżę w jego oczach.

– Tak mi przykro z powodu pańskiej rodziny, panie Peavey –

powiedział. – Próbowałem im pomóc, ale...

– Nie o nich myślałem – prychnął Peavey. – Żał mi mojego kochanego miasteczka! Popatrz na nie! Cholerne, zawszone mszaki...

Właśnie wtedy gdzieś od południowej strony usłyszeli huk strzelaniny.

Gęba Peaveya rozjaśniła się. Odwrócił się do pozostałych.

– Słyszycie? Nasi chłopcy musieli się dostać na brzeg! Razem załatwimy mszaki! Zaatakujemy i zdobędziemy Airhaven, zostawimy kilku niewolników, żeby naprawili, co trzeba, zabijemy resztę i odlecimy! Będziemy bogaci! Będziemy spadać z nieba na miasta, łupić, zabijać, nabijać sobie kabzy! Zbudujemy pierwsze powietrzne miasto piratów!

Ruszył raźnie przed siebie, wdrapując się ze skały na skałę z małą przycupniętą na zgarbionych plecach. Reszta poszła za nim. Maggs i Mungo zdawali się przybici utratą Tunbridge Wheels i nie wyglądali na przekonanych do nowego planu Peaveya. Wymieniali porozumiewawcze spojrzenia i szeptali między sobą. Ponieważ znajdowali się jednak na obcym terenie, nie odważyli się tak od razu wykończyć swego szefa.

Ames natomiast miał inne zmartwienie. Po raz pierwszy postawił stopę na gołej ziemi.

– To okropne! – utyskiwał. – Tak trudno chodzić! Co za obrzydliwa trawa! Mogą w niej być dzikie zwierzęta albo węże... Teraz rozumiem, dlaczego nasi przodkowie nie chcieli mieszkać na ziemi!

Tom czuł się podobnie. Nad niemal pionową ścianą skał Czarnej Wyspy świszczła i jęczał wiatr. Niektóre skałki miały tak przedziwne kształty, że od strony brzegu wyglądały jak wieże fortecy. Peavey poprowadził ich tam, nim się zorientował, że to tylko kamienie.

– Jak pięknie – westchnęła Hester, kuśtykając obok Toma. Uśmiechała się do siebie i pogwizdywała cichutko jakąś melodyjkę.

– Z czego się tak cieszysz? – zapytał.

– Przecież idziemy do Airhaven, prawda? – odparła półgłosem.

– Zaszyło się gdzieś tutaj, a Peavey i jego kompani nigdy go nie zdobędą. Za dużo tutaj mszaków, żeby mogło im się to udać. Piraci zostaną zabici, a my znajdziemy statek, który zabierze nas do Londynu. Może Anna Fang znowu nam pomoże?

– Nie słyszałaś, co mówił Peavey? To agentka Ligi.

– Też to podejrzewałam – przyznała Hester. – Wszystkie te pytania na temat Londynu i Valentine’a dawały wiele do myślenia.

– Powinnaś była mnie ostrzec! – oburzył się Tom. – Mogłem jej zdradzić jakąś ważną tajemnicę!

– A co mnie to obchodzi? – odparła Hester. – I odkąd to czeladnicy Cechu Historyków znają jakieś ważne tajemnice? Zresztą wydawało mi się, że wiesz, kim jest panna Fang.

– Nie wyglądała na szpiega.

– Tak jak wszyscy szpiegzy. Chyba nie myślałaś, że będzie się tym chwaliła? – Hester była w dziwnie wesołym nastroju. Może te skaliste zbocza przypominały jej rodzinne strony? Nagle zatrzymała się i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Biedny Tom. Dopiero uczysz się tego, czego dawno temu nauczył mnie Valentine. Nikomu nie można ufać.

– Tak – powiedział Tom.

– Oczywiście jestem prawie pewna, że tobie mogę ufać. Niewielu ludzi postąpiłoby tak jak ty, gdy w Tunbridge Wheels stanąłś w mojej obronie.

Tom uśmiechnął się do niej z taką czułością, że się zarumieniała. Peavey odwrócił się do nich i zawołał:

– No, gołąbki! Przestańcie gruchać i maszerujcie! Nie czas na zaloty!

Po południu chmury na niebie przerzedziły się i promienie słońca, prześwitując przez wodę, zatańczyły na górnym pokładzie Tunbridge Wheels. Shrike przemierzał ulice, rozglądając się na boki. Martwe ciała dryfowały w zatopionych pokojach. Małe rybki wpływały i wypływały z ust pirata. Włosy dziewczynki wirowały, unoszone prądem. Ciemne kile łodzi padliniarzy przesuwwały się

nad głową. Łowca czekał ukryty w mroku, gdy trzej nadzy chłopcy nurkowali obok niego, energicznie wymachując rękami i nogami i zostawiając za sobą smugę srebrnych bąbelków. Wypłynęli z powrotem na powierzchnię z karabinami, butelkami i skórzanym pasem.

Hester tu nie było. Shrike oddalił się od zatopionego miasteczka, brodząc w mule. Szczątki wraku i unoszone falami trupy wskazywały drogę do Czarnej Wyspy.

Był wieczór, kiedy wynurzył się z wody, owinięty zgniłozielonymi wodorostami, i postawił stopę na suchym lądzie. Woda wyciekała spod uszkodzonego pancerza, Shrike potrząsnął głową, żeby poprawić ostrość obrazu, rozejrzał się po plaży i sterczących nad nią ciemnych skałach. Dopiero po godzinie odnalazł porzucony ponton. Wysunął stalowe pazury i rozciął dno, uniemożliwiając jej ucieczkę. Hester będzie znowu jego. Kiedy umrze, przez załamujące się w wodzie słońce, przez lasy wodorostów, przez bagna i błoto Terenu Polowań ostrożnie zanieś jej ciało do Crome'a. We własnych objęciach zanieś ją do Londynu, jak ojciec nosi na rękach śpiące dziecko.

Padł na kolana i zaczął obwąchiwać teren w poszukiwaniu jej zapachu.

O zmroku wreszcie doszli na szczyt wzgórza. Mieli stąd widok na całą Czarną Wyspę.

Do tej pory Tom nie zdawał sobie sprawy, że to nieczynny wulkan. Strome, ciemne skały otaczały prawie okrągłą zieloną dolinę, tu i ówdzie poprzecinaną uprawnymi polami. Niedaleko miejsca, gdzie przycupnęli piraci, nad granatowym jeziorem, znajdowało się miasteczko. Obok kamiennych domków zbudowano hangar i lotnisko. Nieco dalej na setkach chudych nóżek stało Airhaven – bezbronne jak ptak z przetrąconym skrzydłem.

– Lotniczy zajazd! – zachichotał radośnie Peavey. Wyciągnął lunetę i przytknął ją do oka. – Patrzcie, jak pracują! Pompują balony gazem, chcą jak najszybciej odlecieć... – Rozejrzał się po krawędziach krateru. – Nie widzę reszty chłopaków. Och,

gdybyśmy mieli chociaż jedno działo! Ale i tak sobie poradzimy z tą bandą mieszcuchów i mszaków! No dobra, idziemy dalej...

Głos burmistrza brzmiał inaczej niż zwykle. Widać było, że się boi, ale nie może się do tego przyznać, żeby inni nie stracili do niego zaufania. Tomowi żal się zrobiło pirackiego burmistrza, który w gruncie rzeczy dobrze go traktował.

Zaczęli schodzić za Peaveyem do wnętrza krateru. Raz na skalnym grzbiecie w oddali zauważyli wyspiarski patrol, poszukujący rozbitek. Po chwili nad ich głowami przeleciał statek powietrzny. Peavey rozkazał wszystkim paść na ziemię, chowając jednocześnie małpkę pod płaszcz, aby przytłumić jej nerwowe wrzaski. Statek krążył nad kraterem, ale było już ciemno i pilot nie zauważył grupki ludzi, chowających się przed jego wzrokiem niczym myszy przed polującą sową.

Tom odsapnął z ulgą i wstał. Na dole widać było ludzi chodzących po miasteczku z lampami i pochodniami w rękach, światła w oknach domków. Jakże cudownie, ciepło i przytulnie byłoby teraz w domu! Airhaven jaśniało od elektrycznych lamp, a wiatr niósł strzępy rozmów, muzykę i śmiechy.

– Spóźniliśmy się! Odlatują! – syknął Mungo.

Nawet z daleka widać było, że balony są już prawie napełnione gazem. Po kilku minutach usłyszeli warkot silników. Powietrzne miasto uniosło się nad ziemię, składając nóżki.

– Nie! – wrzasnął Peavey, rzucając się biegiem w dół.

Potykaçąc się, zbiegał po zboczach, wołając:

– Wracajcie! Jesteście moim łupem! To dla was zatopiłem własne miasto!

Inni też zaczęli schodzić. Ziemia robiła się coraz bardziej miękka. W wodzie chlupoczącej pod nogami odbijał się księżyc i światła wznoszącego się miasta.

– Wracajcie! – wrzeszczał gdzieś z przodu Peavey. – Na ziemię!
– A potem: – Aaa! Na pomoc!

Pobiegli w kierunku krzyku i piskliwych jęków małpki. Zatrzymali się na brzegu głębokiego trzęsawiska. Peavey stał w nim już po pas. Małpka siedziała mu na głowie niczym żeglarz na maszcie tonącego okrętu, szczerząc zębki ze strachu.

– Pomóżcie mi! Jeszcze możemy ich złapać! Tylko testują silniki! Na pewno wylądują!

Piraci patrzyli na niego w milczeniu. Wiedzieli, że nie mają szans na zdobycie Airhaven, zwłaszcza że krzyki Peaveya musiały zdradzić wyspiarzom ich obecność.

– Trzeba mu pomóc! – powiedział Tom, ruszając naprzód, lecz Hester powstrzymała go.

– Za późno.

Peavey zanurzał się coraz głębiej, ciężki łańcuch burmistrza ciągnął go w dół. Zaczął kasłać i prychać, wypluwając z ust czarne błoto.

– No, ludzie! Jestem waszym burmistrem! Tyle dla was zrobiłem! – Wystraszonym wzrokiem odnalazł Toma. – Powiedz im coś, Tom! – zapłakał. – Powiedz im, że chciałem uczynić z Tunbridge Wheels wielkie miasto! Chciałem, żeby darzono mnie szacunkiem! Powiedz...

Pierwszy strzał Mungo sprzątnął małpkę z łysiny Peaveya. Drugi i trzeci trafił w serce burmistrza. Jego głowa opadła z chlupotem w błoto.

Piraci odwrócili się do Toma.

– Pewnie nie skończylibyśmy tak, gdyby nie ty, przybłądo – mruknął Mungo.

– Gdybyś nie nabił szefowi łba tymi manierami, ukłonikami i wielkimi miastami – przytaknęła Maggs.

– Do każdej potrawy inny widelczyk i zakaz gadania z pełną gębą! – prychnął Ames.

Tom zaczął się cofać. Ku jego zaskoczeniu Hester weszła między niego a piratów.

– To nie jego wina! – powiedziała.

– Ciebie też mamy dość – warknęła Mungo. – Nie potrzebujemy was. Jesteśmy piratami. Nie potrzebujemy lekcji o etykiecie i nie potrzebujemy kulawej dziewuchy z blizną na gębie. – Uniósł karabin, a Maggs zrobiła to samo. Nawet Ames wyszarpnął spod płaszcza rewolwer.

Wtem z mroku ozwał się skrzypliwy głos:

– Są moi.

21. W INŻYNIERIUM

Londyn pędził w stronę płaskowyżu, którego ziemia, przeorana kołami miast, pokryta była cienką warstwą śnieżnego puchu. Dwieście kilometrów za nim toczyło się Panzerstadt-Bayreuth – już nie groźna plamka na horyzoncie, lecz olbrzymia ciemna bryła, na szczycie której poprzez dym z fabryk i silników wyraźnie przebłyskiwały złocenia fasad okazałych budowli. Londyńczycy stłoczyli się na tarasach obserwacyjnych, patrząc w ciszy, jak dystans między nimi a niemieckim kolosem ciągle maleje. Tego popołudnia lord burmistrz ogłosił, że nie ma powodu do paniki, a Cech Inżynierów wyprowadzi miasto z kryzysu – lecz na dolnych pokładach już wybuchały bunty i zamieszki, a do Trzewi wysłano specjalne oddziały wołóżerców, którzy mieli przywrócić porządek.

– Stary Crome nie wie, o czym gada – mruknął jeden z mężczyzn na stacji wind przy placu Quirke’a. – Nigdy nie podejrzewałem, że coś takiego powiem, ale to dureń. Po jaką cholere pognął nas na wschód z takim pośpiechem? Od razu mówiłem, że pożre nas jakiś kolos. Szkoda, że nie ma Valentine’a. On by wiedział, co zrobić.

– Zamknij się, Bert – syknął jego towarzysz – idą inżynierowie.

Obaj mężczyźni skłonili się unizenie ubranym na biało postaciom w zielonych goglach i kapturach, nasuniętych głęboko na czoła. Jedna z nich, młoda kobieta, pokazała złotą przepustkę. Kiedy razem z towarzyszem weszła do windy, Bert szepnął do kompana:

– To zebranie w inżynierium musi być bardzo ważne. Od rana białe tałatajstwo wyłazi ze swoich kwater i jedzie na górę. Wyobraź sobie: zebranie cechu w takiej chwili!

Po wejściu do windy Katherine usiadła obok Bevisa Poda, pocąc

się ze strachu w pożyczonym od niego kombinezonie. Zerknęła ukradkiem na swoje odbicie w szybie, upewniając się, czy czerwone kółka, które tak starannie wymalowali sobie na czołach, nie zaczęły się rozmazywać. Uważała, że oboje wyglądają idiotycznie w goglach i kapturach, lecz Bevis zapewnił ją, że wielu inżynierów ubierało się w ten sposób, a trzeci pasażer windy, korpulentny nawigator, nawet na nich nie spojrział, gdy winda wznosiła się na górny pokład.

Katherine od samego rana nerwowo wyczekiwała Bevisa, który miał jej przynieść przebranie. Przez ten czas przejrzała indeksy wszystkich książek ojca w poszukiwaniu nazwiska Hester Shaw, ale niczego nie znalazła. Katalog zbiorów Muzeum Londyńskiego zawierał jedynie krótką wzmiankę o Pandorze Shaw, lecz okazała się ona padliniarką z Zewnątrz, która dostarczyła cechowi historyków kilka skamielin i fragmentów starej technologii. Umarła siedem lat temu. Następnie Katherine próbowała się czegoś dowiedzieć o Meduzie, lecz znalazła jedynie informację, że był to jakiś potwór ze starożytnej opowieści. Wątpiła, by Crome i inżynierowie wierzyli w potwory.

Nikt nie zwrócił na nich uwagi, gdy z Bevisem szli ulicą w stronę wejścia do inżynierium, na którego schodach tłoczyli się już inni inżynierowie. Katherine dołączyła do nich, ściskając w dłoni złotą przepustkę i nie oddalając się od Bevisa w obawie, że zgubi go w tłumie identycznych, na biało ubranych mężczyzn i kobiet. Strażnik przy wejściu wpuszczał wszystkich do środka, nawet nie sprawdzając przepustek. Ostatni raz spojrziała na słońce świecące nad kopułą katedry Świętego Pawła i przeszła przez próg.

Wnętrze okazało się przestronniejsze i widniejsze, niż przypuszczała. Wysoko pod sufitem wisiały setki kulistych argonowych lamp, które wyglądały jak planety w przestrzeni kosmicznej. Rozejrzała się w poszukiwaniu schodów, lecz Bevis dotknął ukradkiem jej ramienia i szepnął:

– Pojedziemy kolejką. Zobacz...

Inżynierowie wsiadali do małych wagoników na pojedynczej szynie. Katherine i Bevis dołączyli do nich, słuchając

prowadzonych półgłosem rozmów. Ukryte za szybkami gogli oczy Bevisa były okrągłe ze strachu. W wagoniku ciągle przybywało ludzi i ostatecznie Katherine musiała usiąść daleko od Bevisa, między obcymi inżynierami z Wydziału Chemii Gospodarczej.

– A wy skąd jesteście, koleżanko? – zapytał siedzący obok mężczyzna.

– Eee... – Katherine spojrzała z paniką na Bevisa, ale chłopak siedział za daleko, żeby podszeptać jej odpowiedź. – Z Wydziału K – wyjąkała.

– Od starej doktor Twix. Słyszałem, że osiągniecie wspaniałe rezultaty z nowymi modelami!

– Och, tak, jak najbardziej – odparła.

Wagonik ruszył i sąsiad Katherine odwrócił głowę, spoglądając w okno. Dziewczyna myślała, że jazda kolejką będzie podobna do podróży windą. Okazało się jednak, że wagonik mknął po spiralnym torze znacznie szybciej, aż zaczęła odczuwać mdłości. Inni inżynierowie nie zwracali na nią żadnej uwagi.

– Jak sądzisz, o czym lord burmistrz będzie dzisiaj mówił? – zapytał jeden z nich.

– Najpewniej o Meduzie – odparł drugi. – Słyszałem, że przygotowują ją do testu.

– Miejmy nadzieję, że będzie działać – westchnęła kobieta siedząca naprzeciwko Katherine. – W końcu to Valentine znalazł tę maszynę, ale jest tylko historykiem, a tym nigdy nie można ufać.

– Valentine to człowiek lorda burmistrza – powiedział ktoś inny. – Będzie wierny jak pies, dopóki ten dobrze mu płaci, a on może udawać, że ta jego córka z zagranicy jest wysokolondyńską damą.

Wznosili się coraz wyżej, mijając biura, laboratoria i warsztaty, w których niczym pszczoły w gigantycznym ulu uwijali się pracownicy inżynierowie. Wagonik zatrzymał się na piątym piętrze i Katherine wysiadła, wciąż czerwona ze złości po tym, co usłyszała. Znowu dołączyła do Bevisa i wspólnie ruszyli chłodnymi białymi korytarzami, przechodząc co jakiś czas przez

zastłony z przezroczystej plastikowej folii. Wreszcie usłyszeli gdzieś przed sobą dźwięki licznych, nakładających się na siebie głosów, a po minięciu paru zakrętów znaleźli się w olbrzymiej sali. Bevis poprowadził Katherine do miejsca w pobliżu jednego z wyjść. Dziewczyna rozejrzała się niepewnie dookoła, szukając wzrokiem nadzorca Nimma, lecz na szczęście nie dostrzegła go w tłumie. Cała sala bieliła się od ludzi, którzy wciąż napływali do środka.

– Patrz! – szepnął Bevis, szturchając ją. – To doktor Twix, ta, o której ci opowiadałem! – Pokazał jej przysadzistą, tęgą kobietę, która właśnie siadała w pierwszym rzędzie, cały czas trajkocząc coś do sąsiadów. – Są tu wszyscy najważniejsi ludzie cechu: Twix, Chubb, Garstang... a tam siedzi doktor Vambrace, szef ochrony!

Katherine zaczęła się naprawdę bać. Gdyby złapano ją przy wejściu, mogłaby się tłumaczyć, że chciała im zrobić głupi dowcip, lecz teraz była w samym sercu inżynierium i przeczuwała, że za chwilę wydarzy się coś wyjątkowo ważnego. Wmawiała sobie, że nawet gdyby ją złapano, nic złego nie stanie się córce Thaddeusa Valentine'a. Wolała jednak nie myśleć, co stałoby się z Bevisem.

Wreszcie zamknięto drzwi i przyciemniono światła. W sali zaległa pełna oczekiwania cisza, którą po chwili przerwało szuranie pięciuset par nóg wstających z krzeseł inżynierów.

Katherine i Bevis usiłowali między głowami innych dojrzeć to, co działo się na scenie. Przy metalowej mównicy stanął Magnus Crome. Jego zimne spojrzenie omiotło salę. Przez chwilę Katherine miała wrażenie, że patrzy prosto na nią, lecz przypomniała sobie, że w kapturze, goglach i z postawionym wysoko kołnierzem była nie do poznania.

– Możecie usiąść – powiedział Crome i odczekał, aż wszyscy się usadowili. – To dzień chwały dla naszego cechu, przyjaciele.

Po sali przeszedł dreszcz emocji, nawet Katherine go poczuła. Crome uciszył słuchaczy gestem ręki.

Rzutnik slajdów pod sufitem obudził się do życia i na ekranie za lordem burmistrzem wyświetlił się wielki schemat techniczny jakiegoś skomplikowanego urządzenia.

– Oto Meduza – oświadczył Crome, a setki słuchaczy powtórzyły szepem jak echo: „Meduza!”

– Jak wiedzą już niektórzy spośród was – ciągnął – Meduza to eksperymentalna broń z czasów wojny sześćdziesięciminutowej. Wiedzieliśmy o jej istnieniu już od jakiegoś czasu – właściwie od momentu, kiedy Valentine znalazł jej dokumentację podczas swej wyprawy do Ameryki dwadzieścia lat temu.

Na ekranie pojawił się obraz pożółkłego papieru, pokrytego wyblakłymi rysunkami i kanciastymi literkami.

Tata nigdy mi o tym nie mówił! – pomyślała Katherine.

– Oczywiście te fragmentaryczne dane nie wystarczyłyby nam do rekonstrukcji Meduzy – ciągnął Crome. – Jednakże przed siedmiu laty, znów dzięki Valentine’owi, otrzymaliśmy wspianałe urządzenie elektroniczne, wykopane z dawno zapomnianych ruin amerykańskiej bazy wojskowej. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w nasze ręce trafił zapewne najlepiej zachowany starożytny komputer. Co więcej, komputer ten okazał się mózgiem Meduzy, sztuczną inteligencją, która niegdyś zasilala i obsługiwała tę wspianałą broń. Dzięki staraniom doktora Splaya oraz jego towarzyszy z Wydziału B udało nam się odtworzyć całe urządzenie. Koleżanki i koledzy inżynierowie, czasy, gdy Londyn ukrywał się przed innymi wygłodniałymi miastami, dobiegają końca! Mając do dyspozycji Meduzę, będziemy mogli każdego agresora bez trudu zamienić w popiół!

Zebrani zaczęli klaskać i wiwatować. Bevis Pod szturchnął Katherine, żeby dołączyła do reszty, lecz ręce odmówiły jej posłuszeństwa, jakby przymarzły do metalowych poręczy krzesła. Była tak zszokowana, że kręciło jej się w głowie. Przypomniała sobie wszystko, co słyszała o wojnie sześćdziesięciminutowej, i o tym, jak działa starożytnych, miotające ogniste gromy, spaliły wszystkie nieruchome miasta, zatruwając niebo i ziemię. Ojciec nigdy nie pomógłby inżynierom w zrekonstruowaniu takiej okropnej maszyny!

– Nie będziemy musieli również uganiać się za takimi marnymi ochłapami jak Salthook – ciągnął dalej Crome. – W przyszłym

tygodniu Londyn znajdzie się w zasięgu wielkiego muru Batmunkh Gompa. Od tysiąca lat Liga Antymobilistów ukrywała się za nim, opóźniając bieg historii. Meduza zniszczy mur jednym wystrzałem. Ziemie, które znajdują się poza nim: wielkie statyczne miasta, pola uprawne, sady, wszelkie bogactwa naturalne, staną się terenem łowieckim Londynu.

Oklaski zagłuszyły głos Crome'a. Tymczasem ściana za plecami lorda burmistrza rozsunęła się na boki, ukazując okno z widokiem na katedrę i wieżyczki ratusza.

– Ale najpierw – krzyknął – mamy do załatwienia sprawę niecierpiącą zwłoki. Chociaż miałem nadzieję, że uda nam się utrzymać w tajemnicy posiadanie Meduzy aż do momentu, gdy zbliżymy się do wielkiego muru, stanęliśmy przed koniecznością wcześniejszego zademonstrowania jej siły. Doktor Splay i jego zespół przygotowują w tej chwili próbę naszej nowej broni.

Podeksytowani inżynierowie zaczęli rozmawiać głośno między sobą. Kilka osób, przypuszczalnie związanych z pracami nad Meduzą, pośpieszyło do drzwi. Katherine wstała i zaczęła się przeciskać do wyjścia. Chwilę później znalazła się w antyseptycznym korytarzu, zastanawiając się, co teraz zrobić.

– Kate! – Bevis Pod pojawił się za jej plecami. – Dokąd idziesz? Wzbudziłaś zainteresowanie ochrony, patrzyli na nas...

– Musimy się stąd wydostać – jęknęła Katherine. – Gdzie tu jest wyjście?

– Nie mam pojęcia. Jeszcze nigdy tu nie byłem. Chyba musimy odszukać kolejkę... – Odepchnął Katherine, kiedy próbowała wziąć go za rękę. – Nie! Ktoś może nas zobaczyć. Inżynierowie nie powinni się dotykać...

Pobiegli w głąb korytarza.

– Crome kłamał! – wysapała w biegu Katherine. – Mój ojciec nie był w Ameryce siedem lat temu. Poleciał tylko na wyspy Oceanu Zachodniego. I nigdy mi nie mówił, że znalazł coś ważnego. Nigdy nie mówił, że znalazł Meduzę. Nie mógł się zaangażować w poszukiwanie starej broni...

– Ale dlaczego lord burmistrz miałby kłamać? – spytał Bevis, który w skrytości cieszył się, że jego cech znalazł rozwiązanie

kolejnej wielkiej zagadki starożytnych. – Zresztą Crome wcale nie powiedział, że twój tata poleciał do Ameryki, żeby ją zdobyć. Może kupić ją od jakiegoś padliniarza. Zastanawiam się, co Crome miał na myśli, mówiąc o demonstracji siły...

Dobiegli do końca korytarza, a nigdzie nie było widać kolejki. Stanęli przed trojgiem drzwi. Dwoje z nich było zamknięte na klucz, trzecie prowadziły na wąski balkonik z widokiem na plac Paternoster.

– Co teraz? – zapytała Katherine ściszym głosem, w którym dźwięczał strach.

– Nie wiem – odparł Bevis.

Wyszła na balkon, żeby złapać oddech. Na niebie świecił księżyc, przysłonięty cienkimi chmurami, i padał chłodny deszczyk. Ściągnęła gogle i uniosła głowę, pozwalając, by deszcz zwilżał jej twarz. Cieszyła się, że uciekła od zaduchu i smrodu chemikaliów. Myślała o tacie. Czyżby rzeczywiście znalazł Meduzę? Crome nie miał powodu, żeby kłamać. Biedny tatuś! Teraz przelatywał gdzieś nad śnieżnymi szczytami Shan Guo. Gdyby tylko mogła w jakiś sposób ostrzec go, co zamierzali zrobić z jego znaleziskiem ci pozbawieni wyobraźni inżynierowie...

Na oświetlonym księżycem placu rozległo się dudnienie i mechaniczny zgrzyt. Spojrzała w dół na mokre płyty pokładu, lecz nie dostrzegła niczego niezwykłego. Zwróciła głowę w stronę katedry Świętego Pawła i otworzyła szeroko usta ze zdumienia.

– Bevis, patrz!

Kopuła starożytnej katedry otwierała się powoli niczym rozchylający płatki olbrzymi pąk kwiatu.

22. SHRIKE

Czy Łowca dopiero wtedy nadszedł, czy też stał nieruchomo na kamienistym zboczu niczym głaz, obserwując całą scenę? Wystąpił do przodu, a każdy jego krok na murawie chrzęścił złowrogo.

– Są moi.

Piraci obrócili się w jego stronę i zaczęli strzelać. Z karabinu maszynowego Maggs posypał się na metalowego człowieka grad kul, flinta Mungo robiła czarne dziury w jego pancerzu, pociski z rewolweru Amesa odbijały się od piersi Łowcy niczym pestki. Shrike stał pod gradem kul, słaniając się lekko na nogach. Potem powoli, niczym człowiek idący pod wiatr, ruszył do przodu. Pociski odbijały się od pancerza, iskrząc, dziurawiły i rozrywały na strzępy płaszcz. Z dziur od kul ze strzelby Munga wyciekało coś, co mogło być krwią lub olejem. Shrike rozpostarł ramiona, wysunął stalowe pazury. Potem złapał Maggs, która zarzęziła i upadła z łoskotem na ziemię. Ames odrzucił pistolet i zaczął uciekać, lecz Shrike doskoczył do niego i piracki nawigator otworzył pełne krwi usta, ze zdziwieniem patrząc na ostrza, które przebiły go na wylot.

Mungo skończyła się amunicja. Odrzucił broń i dobył miecza, lecz gdy tylko się zamachnął, Shrike chwycił go za włosy, odchylił głowę do tyłu i jednym cięciem rozplątał szyję.

– Tom! – zawołała Hester. – Uciekaj!

Shrike odwrócił się i rzucił na Toma. Tom zaczął uciekać. Wiedział, że to nie ma sensu, że powinien zostać z Hester, lecz nie mógł zapanować nad swymi nogami. Wtem ziemia rozstała się pod jego stopami; Tom wpadł w zimne błoto, potoczył się i zatrzymał na głazie kilka centymetrów od brzegu tego samego trzęsawiska, które pochłonięto Chryslera Peaveya.

Spojrzał za siebie. Łowca stał między zakrwawionymi ciałami. Na niebie unosiło się Airhaven, wypróbowujące silniki, jego

zimne światła połyskiwały na osrebrzonej księżycem metalowej czaszce zmartwychwstańca.

Hester stała z twarzą zwróconą do Łowcy, jakby wcale się go nie bała. Próbuje mnie uratować! Gra na zwłokę, żebym mógł uciec! – pomyślał Tom. Ale nie mogę pozwolić, żeby ją zabił, nie mogę!

Zaczął czołgać się pod górę.

– Hester Shaw – odezwał się Shrike dziwnym, jakby źle nagrany, trzeszczącym głosem. Z pancerza na piersiach buchała z sykiem para, czarna ciecz z bulgotem lała się z kącików martwych ust.

– Zabijesz mnie? – zapytała Hester.

Shrike kiwnął głową.

– Na jakiś czas.

– Jak to?

Pozbawione warg usta rozszerzyły się w uśmiechu.

– Ty i ja jesteśmy tacy sami. Wiedziałem to od chwili, kiedy znalazłem cię na brzegu morza. Samotność po twoim odejściu...

– Musiałam odejść, Shrike – wyszeptała. – Nie byłam okazem z twojej kolekcji.

– Byłaś mi bardzo droga.

Tom pomyślał, że coś z nim jest nie tak. Łowcy mieli być pozbawieni uczuć. Dobrze pamiętał, czego uczyli go o zmartwychwstańcach w szkole. Czy to wodorosty wiszą na jego głowie? Może mózg mu skorodował? Przez dziury po kulach widać, że w środku coś w nim iskrzy...

– Hester – zachrząścił Shrike, padając z łoskotem na kolana, aby jego głowa znalazła się na tym samym poziomie co twarz dziewczyny. – Crome złożył mi obietnicę. Jego słudzy poznali tajniki mojej konstrukcji.

Tomowi aż ciarki przeszły po plecach.

– Zabiorę twoje ciało do Londynu – ciągnął Shrike. – Crome wskrzesi cię ponownie jako żelazną kobietę. Twoje ciało zastąpi stal, twoje nerwy zamienią na kable, twoje myśli w impulsy elektryczne. Będziesz piękna! Będziesz moją towarzyszką do końca świata.

– Shrike – odparła Hester. – Crome mnie nie wskrzesi...

– Dlaczego nie? W twoim nowym ciele nikt cię nie rozpozna. Nie będziesz miała wspomnień ani uczuć. Nie będziesz dla niego zagrożeniem. Razem zgładzimy Valentine'a.

Hester wybuchła śmiechem – dziwnym, nienaturalnym, szalonym śmiechem, którego dźwięk sprawił, że Tomowi zjeżyły się włosy na głowie. Podkraść się do zwłok Mungo. Dłoń pirata wciąż ścisnęła miecz. Tom sięgnął po niego. Spojrzawszy w górę, zobaczył, że Hester zbliżyła się do Łowcy. Odgięła do tyłu głowę, odsłaniając szyję i przygotowując się na cios.

– Dobrze – powiedziała – ale pozwolisz żyć Tomowi.

– Tom musi umrzeć – odparł Shrike. – To część umowy z Crome'em. Nie będziesz go pamiętać, kiedy obudzisz się w nowym ciele.

– Och, Shrike, proszę cię! Powiedz Crome'owi, że uciekł albo utonął, albo zginął gdzieś na szlaku i nie mogłeś go przynieść. Proszę.

Tom zacisnął mocno palce na rękojeści miecza. Teraz, gdy nadszedł moment próby, był tak przerażony, że ledwo oddychał. Jak ma zaatakować Łowcę? Przecież jest historykiem, a nie wojownikiem. Nie mógł jednak opuścić Hester, która gotowa była poświęcić dla niego swoje życie. Podkraść się na tyle blisko, że widział strach w jej oczach i połyskujące złowrogo pazury Shrike'a przy jej szyi.

– Dobrze – powiedział Łowca, delikatnie muskając jej policzek ostrzami pazurów. – Chłopak może żyć. – Cofnął rękę, przygotowując się do ciosu. Hester zamknęła oczy.

– Shrike! – krzyknął Tom, zrywając się z ziemi i nacierając z mieczem na zmartwychwstańca. Oczy poraziło mu zielone światło, Shrike wbił w niego wzrok i z chrzęstem ruszył mu na spotkanie. Żelazne ramię powaliło go na ziemię. Poczul kłujący ból w piersiach i przez chwilę myślał, że został rozplątany na pół. Jednak Łowca uderzył go przedramieniem, a nie pazurami. Tom upadł i potoczył się po ziemi, wstrzymując oddech. Sparaliżowany strachem czekał na śmierć.

Jednak Shrike leżał na ziemi, a Hester pochylała się nad nim.

Tom widział, jak gaśnie szklane oko Łowcy. Coś wybuchło w jego wnętrzościach i w powietrze wzbił się czarny dym. Rękojeść miecza sterczała z jednej z dziur w pancerzu, otoczona aureolą błękitnych iskier.

– Och, Shrike! – płakała Hester.

Łowca schował pazury, żeby mogła wziąć go za rękę. Niespodziewane wspomnienia rozbłyskiwały w jego zamierającym mózgu, nagle przypomniał sobie, kim był, zanim zakuto go w pancerz i zmieniono w maszynę do mordowania. Chciał powiedzieć o tym Hester i uniósł swoją wielką żelazną głowę, lecz nie zdołał wykrztusić ani słowa. W ostatnim przebłytku świadomości zdał sobie sprawę, że poprzednia śmierć była tak samo trudna i bolesna.

Olbrzymie stalowe cielsko zamarło, dym rozwiął się na wietrze. W dolinie rozległo się trąbienie rogów. Tom zobaczył jeźdźców galopujących z zajazdu. Trzymali w rękach pochodnie i dzidy, nie wyglądali na przyjaźnie nastawionych. Spróbował się podnieść, lecz ból w klatce piersiowej był tak dojmujący, że omal nie zemdał.

Hester usłyszała jego jęk i krzyknęła:

– Dlaczego to zrobiłeś?!

Tom nie byłby bardziej zaskoczony, gdyby go spoliczkowała.

– Chciał cię zabić! – odparł zaskoczony Tom.

– Chciał tylko, żebym się stała taka jak on! – jęknęła, przytulając się do Shrike'a. – Nie słyszałeś? Chciał mnie zmienić w to, czym zawsze chciałam być: bez żadnych wspomnień, bez żadnych uczuć. Wyobrażasz sobie minę Valentine'a, gdybym przyszła go zabić? Dlaczego ciągle się wtrącasz?

– Zmieniłby cię w potwora!

– Już jestem potworem!

– Nie, nie jesteś! – zawołał Tom, podnosząc się na klęczki. – Jesteś moją przyjaciółką!

– Nienawidzę cię! Nienawidzę!

– Zależy mi na tobie, czy ci się to podoba, czy nie! – odparł Tom.

– Myślisz, że tylko ty straciłaś rodziców? Jestem tak samo nieszczęśliwy i samotny jak ty, ale nie mam zamiaru nikogo

mordować i nie chcę się zmienić w zmartwychwstańca!
Niepotrzebnie rozczulasz się nad sobą...

Słowa jego przerwał niespodziewany wybuch. Nagle zobaczył zajazd, jeźdźców i Airhaven w jasnym jak słońce blasku światła. Zobaczył blednące gwiazdy i zastygłą z rozwartymi ustami twarz Hester; zobaczył własny cień na zroszonej krwią trawie.

Ponad szczytem wulkanu atramentowe niebo wypełniło się nieziemskim blaskiem, jak gdyby gdzieś na północy w środku nocy wstało nagle słońce.

23. MEDUZA

Katherine patrzyła jak zahipnotyzowana na rozszczepiającą się kopułę Świętego Pawła. Trójkątne blachy na dachu kościoła rozchylały się niczym płatki olbrzymiego kwiatu. Z wewnątrz powoli wznosiła się na długiej łodydze orchidea z zimnego, białego metalu. Głuchy pomruk i zgrzyt mechanicznych urządzeń zabrzmiał echem po placu Paternoster, zatrzęsł gmachem inżynierium.

– Meduza! – wyszeptał stojący za jej plecami Bevis Pod. – Tak naprawdę wcale nie remontowali katedry! Wybudowali w Świętym Pawle Meduzę!

– Towarzysze?

Odwrócili się i zobaczyli stojącego przed nimi inżyniera.

– Co tu robicie? – zapytał podejrzliwie. – Wstęp do tego sektora mają tylko członkowie zespołu L...

Przerwał w pół zdania, wpatrując się w Katherine. Bevis też patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma. Przez chwilę nie wiedziała, co się dzieje. Potem zrozumiała. Deszcz! Zapomniała o sfalszowanym znaku cechu, który Bevis namalował na jej czole. Teraz farba ściekała jej czerwonymi strużkami po twarzy.

– Co to znaczy? – zdumiał się inżynier.

– Kate, uciekaj! – zawołał Bevis, odpychając inżyniera. Katherine rzuciła się do ucieczki, słysząc za plecami wściekły krzyk. Bevis dogonił ją, chwycił za rękę i pociągnął w lewo pustym, krętym korytarzem, aż znaleźli się przy schodach. Zaczęli po nich zbiegać, słysząc za sobą krzyki. Po chwili włączył się alarm. Znaleźli się na parterze, gdzieś na tyłach inżynierium. Przy przeszklonych drzwiach na zewnątrz stali dwaj strażnicy.

– W środku jest intruz! – krzyknął do nich Bevis, pokazując za siebie. – Na drugim piętrze! Chyba ma broń!

Strażnicy już byli zaniepokojeni dźwiękiem alarmu. Wymienili spojrzenia, potem jeden z nich ruszył w stronę schodów,

wyciągając z kabury gazowy pistolet.

Bevis i Katherine wykorzystali okazję i pobiegli do wyjścia.

– Towarzyszka jest ranna – wyjaśnił Bevis, pokazując umazaną na czerwono twarz Katherine. – Zabieram ją do szpitala!

Strażnik otworzył drzwi i oboje wybiegli, ginąc mu z oczu w mroku.

Pobiegli co sił w stronę katedry Świętego Pawła. Kiedy dopadli jej murów, zatrzymali się i zaczęli nasłuchiwać. Katherine słyszała dudniącą maszynę i głośnie walenie własnego serca. Męski głos wykrzykiwał gdzieś rozkazy, słyhać było tupot biegnących ludzi.

– Wołożercy! – jęknęła. – Wylegitymują nas! Zdejmą mi kaptur! Och, Bevis, nie powinnam cię prosić, żebyś mnie tam zabrał! Uciekaj! Zostaw mnie!

Bevis popatrzył na nią i pokręcił głową. Zdradził własny cech i zaryzykował wszystko, żeby jej pomóc. Nie zamierzał jej teraz porzucać.

Och, Klio, pomóż! – błagała w duchu Katherine. I wtedy coś sprawiło, że spojrzała na plac Paternoster. Na schodach ratusza z zadartą głową stał stary Chudleigh Pomeroy, trzymając pod pachą stertę teczek i kopert. Jeszcze nigdy w życiu nie ucieszyła się tak na czyjś widok. Podbiegła do niego, ciągnąc za rękę zdeorientowanego Bevisa.

– Panie Pomeroy! – zawołała.

Grubiutki historyk spojrzał na nich obojętnie, a potem otworzył ze zdumienia usta, gdy Katherine ściągnęła gumowy kaptur i zobaczył jej twarz oraz pozlepiane potem włosy.

– Panna Valentine! Co tu się, na Quirke'a, wyprawia? Niechże panienka popatrzy, co ci przekłęci inżynierowie zrobili z katedrą Świętego Pawła!

Katherine zadarła głowę. Metalowa orchidea była już rozwinięta i rzucała na plac czarny cień. Teraz przypominało to raczej łeb kobry. Było osłonięte metalowym kapturem, ziało ogniem i ustawiało się właśnie w stronę Panzerstadt-Bayreuth.

– Meduza! – powiedziała.

– Co? – zdziwił się Chudleigh Pomeroy.

Rozległ się jęk syreny policyjnego pojazdu.

– Gonią nas! – jęknęła błagalnie, zwracając się do grubsiutkiego historyka. – Jeśli złapią Bevisa, boję się pomyśleć, co z nim zrobią...

Na szczęście historyk o nic nie pytał, złapał jedną ręką Katherine, a drugą Bevisa Poda i czym prędzej poprowadził ich w stronę garażu, gdzie czekał jego zaparkowany pojazd. Kiedy szofer pomagał im wsiadać, obok przebiegł oddział woźniców, lecz żaden z nich nie zwrócił uwagi na Pomeroya i jego towarzyszy. Historyk ukrył płaszcz i kaptur Katherine za tylnym siedzeniem, a potem nakazał Bevisowi przykucnąć na podłodze pojazdu. Potem sam wcisnął się na tylne siedzenie obok Katherine.

– Pozwólcie, że ja będę z nimi rozmawiał – powiedział, kiedy pojazd ruszał z miejsca.

Przed stacją wind na górnym pokładzie stał tłum ludzi, patrzących ze zdumieniem na urządzenie, które wysunęło się ze sklepienia katedry. Woźnicy zatrzymali pojazd, a młody inżynier zajął do środka. Pomeroy odsunął okienko i zapytał:

– O co chodzi, towarzyszu?

– Mieliśmy włamanie w inżynierium. Antymobilistyczni terroryści...

– Chyba nas o to nie podejrzewacie – roześmiał się Pomeroy. – Całe popołudnie pracowałem w swoim gabinecie w ratuszu, a panna Valentine łaskawie pomagała mi porządkować papiery...

– Mimo wszystko muszę przeszukać pański pojazd.

– Coś takiego! – wybuchnął Pomeroy. – Czy wyglądamy na terrorystów? Czy nie macie do roboty nic lepszego w ostatnią noc Londynu, kiedy goni za nami wielkie miasto? Poskarżę się Radzie! To oburzające!

Inżynier wyglądał na stropionego. W końcu pokiwał głową i kazał przepuścić wóz Pomeroya do windy dla zmotoryzowanych. Kiedy drzwi wagonika zatrzasnęły się, Pomeroy odetchnął z ulgą.

– Ci przekłęci inżynierowie. Bez urazy, czeladniku Pod...

– Nic nie szkodzi – odezwał się z dołu Bevis.

– Dziękuję! – wyszeptała Katherine. – Och, dziękuję, że nas pan

uratował!

– Nie ma o czym mówić – roześmiał się Pomeroy. – Zawsze korzystam z okazji, żeby rozwścieżyć Crome’a i jego ludzi. Ta katedra ma tysiące lat, to nasz największy zabytek, a oni zmienili ją w coś takiego, nie pytając nikogo o zdanie... – Spojrzał na Katherine w poszukiwaniu potwierdzenia i zrozumiał, że dziewczyna wcale go nie słucha.

– Ale co takiego panienka zrobiła, że tak się wściekli? – zapytał łagodnie. – Jeśli wplątaliście się w kłopoty, a jest coś, co taki stary dziwak jak ja może zrobić...

Katherine poczuła, jak łzy spływają jej po policzkach.

– Może nas pan zawieźć do domu? – szepnęła.

– Oczywiście.

W niezręcznym milczeniu pojechali ulicami pierwszego poziomu aż pod Dom Klio. Pomeroy wysiadł z wozu, żeby odprowadzić Katherine do drzwi rezydencji. Dziewczyna pożegnała się czule z Bevisem i poszła za nim.

– Mógłby pan zabrać czeladnika Poda na stację wind? – zapytała. – Musi wrócić do Trzewi.

Pomeroy pokręcił głową.

– Widziała panienka, jak zdenerwowani są inżynierowie. Pewnie pozamykali na głucho wszystkie fabryki i internaty, żeby zrobić kontrolę. Być może już wiedzą, że go nie ma.

– To znaczy, że Bevis nie może tam wrócić? – Katherine dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo zaszkoziła biednemu Podowi. – Już nigdy?

Pomeroy pokiwał smutno głową.

– W takim razie wezmę go do Domu Klio.

– Czeladnik Pod to nie to samo, co bezpański kotek, panienko.

– Kiedy wróci tata, wszystko mu wytłumaczę. A on powie lordowi burmistrzowi, że Bevis nie miał z tym nic wspólnego...

– Możliwe – przyznał Pomeroy. – Ojciec panienki ma bardzo dobre układy z Cechem Inżynierów. Niektórzy uważają, że zbyt dobre. Nie wydaje mi się jednak, by Dom Klio był odpowiednią kryjówką dla przyjaciela panienki. Zabiorę go do muzeum. Jest tam mnóstwo miejsca, a inżynierowie nie będą mogli go tam

szukać bez naszej zgody.

– Naprawdę zrobiłby to pan? – zapytała Katherine, obawiając się, że wciąga w kłopoty następnego człowieka. Jednak chodziło tylko o kilka dni, nim tata wróci. Potem wszystko się ułoży. – Och, dziękuję! – powiedziała radośnie, stając na palcach i całując Pomeroya w policzek. – Dziękuję!

Pomeroy zaczerwienił się, spojrzał na nią i zaczął coś mówić. Chociaż jego wargi poruszały się, Katherine nie słyszała ani słowa. Dzwoniło jej w uszach. Po chwili zdała sobie sprawę, że ten narastający hałas dobiega do niej gdzieś z góry.

– Zobacz! – krzyknął Pomeroy, wskazując katedrę.

Ze strachu zapomniała o katedrze Świętego Pawła. Teraz, patrząc na górny pokład, zobaczyła wężopodobny łeb Meduzy, rozbłyskujący czerwonym światłem. Kiedy dotknęła bladej dłoni Pomeroya, między czubkami ich palców przeskoczyły iskry.

– Panie Pomeroy! – krzyknęła. – Co się dzieje?

– Wielki Quirke’u! – zawołał historyk. – Co ci głupcy zbudowali?

Widmowe kule światła odrywały się od rozżarzonej maszyny i szybowały nad Circle Parkiem niczym ogniste balony. Na iglicach ratusza tańczyły błękitne iskry. Piskliwy dźwięk robił się coraz głośniejszy, coraz wyższy i wyższy. Nawet zatykając palcami uszy, Katherine nie mogła go znieść. Potem nagle z łba kobry wystrzelił ognisty strumień energii i wijąc się, popłynął na północ, aż dosięgnął górnych pokładów Panzerstadt-Bayreuth. Noc rozpękała się aż po krańce nieba. Przez sekundę Katherine zobaczyła, jak pokład odległego miasta staje w ogniu. Oślepiające białe światło wzbilo się w niebo, po chwili zrobiło się czerwone – słup ognia płonącego w kompletnej ciszy. Potem nadeszła fala dźwiękowa – niski, przeciągły grzmot, jakby gdzieś we wnętrzu ziemi zatrzasnęły się z hukiem jakieś wielkie wrota.

Nagle zrobiło się ciemno, nad Circle Park powróciła noc. Było zupełnie cicho. Katherine słyszała tylko szalony skowyt Psa, zamkniętego w domu.

– Dobry Quirke’u! – wyszeptał Pomeroy. – Wszyscy ci biedni ludzie...

– Nie! – usłyszała swój głos Katherine. – Nie!

Pobiegła przez ogród, nie mogąc oderwać wzroku od wielkiej łuny, unoszącej się nad niemieckim miastem. Z Circle Parku i wszystkich balkonów obserwacyjnych rozległy się krzyki. W pierwszej chwili myślała, że to okrzyki przerażenia – ale nie, londyńczycy wiwatowali.



24. AGENTKA LIGI

Dziwne światło na północy rozpląnęło się, a przeciągły grzmot ucichł, tylko echo w kraterze starego wulkanu powtarzało go wciąż od nowa. Poskromiwszy spłoszone konie, mieszkańcy Czarnej Wypsy przygalopowali nad brzeg trzęsawiska z pochodniami furkoczącymi na wietrze.

Tom podniósł ręce i krzyknął:

– Nie jesteście piratami! Jesteśmy podróżnikami! Z Londynu!

Jednak jeźdźcy nie zamierzali go słuchać – nawet ci nieliczni, którzy mówili po angielsku. Przez cały dzień tropili niedobitków z zatopionego miasteczka, widzieli, co piraci Peaveya zrobili z wioskami rybackimi na zachodnim wybrzeżu. Podjeżdżając coraz bliżej, krzyczeli coś do siebie w jakimś niezrozumiałym języku, unosząc łuki. Szaropióra strzała wbiła się w ziemię tuż przy nogach Toma.

– Jesteśmy przyjaciółmi! – zawołał, cofając się o krok.

Dowódca dobył miecza, lecz inny jeździec zajechał mu drogę, krzycząc coś w wyspiarskim języku, a potem po angielsku.

– Nie zabijaj ich!

Była to Anna Fang. Zatrzymała konia, zeskoczyła z siodła i podbiegła do Toma i Hester. Jej płaszcz łopotał w świetle pochodni jak czerwona flaga. Na plecach miała długi miecz, a na jej piersi Tom zobaczył brązowy znaczek w kształcie złamanego koła – symbol Ligi Antymobilistów.

– Tom! Hester!

Przytuliła ich po kolei.

– Myślałam, że nie żyjecie! Wysłałam Lindstroma i Yasminę, żeby was odszukali. Znaleźli wasz balon na tych okropnych bagnach i powiedzieli, że musieliście zginąć. Sama nie mogłam polecieć, bo „Jenny” została uszkodzona i miałam dużo roboty w Airhaven... Ale pomodliliśmy się za was, złożyliśmy ofiary bogom.

Tom nie odzywał się. Ból w klatce piersiowej był tak dojmujący, że ledwo oddychał. Poza tym znaczek na płaszczu panny Fang przekonał go, że Peavey mówił prawdę: była agentką Ligi. Jej uroczy uśmiech już nie wzbudzał w nim zaufania.

Panna Fang krzyknęła coś przez ramię do czekających jeźdźców. Paru z nich zeskoczyło z wierzchowców i podprowadziło je do Toma i Hester, przyglądając się ze zdumieniem martwemu Shrike'owi.

– Nie będzie mnie jakiś czas – wyjaśniła Anna Fang. – Muszę polecieć na północ i zobaczyć, co tak rozświetliło niebo. Wyspiarze zaopiekują się wami. Umiesz jeździć konno?

Tom nigdy dotąd nie widział konia, jednak czuł się tak oszołomiony ostatnimi przeżyciami, że nie protestował, kiedy posadzono go w siodle. Obejrzał się w poszukiwaniu Hester i zobaczył, że patrzy na niego z wyrzutem, siedząc skulona na drugim koniku. Wkrótce stracił ją z oczu. Wszyscy mieszkańcy miasteczka wylegli na ulice, żeby popatrzeć na północne niebo. W powietrzu unosił się kurz wzbijany przez śmigła wiszącego nad miastem Airhaven.

Zaprowadzono go do małego kamiennego domku, gdzie mężczyzna w czarnej szacie i wielkim białym turbanie obejrzał jego pierś.

– Złamane! – oznajmił radosnym głosem. – Jestem Ibrahim Nazghul, lekarz. Masz złamane cztery żebra!

Tom pokiwał głową. Wciąż był oszołomiony, a ból w klatce nie ustępował, lecz dotarło do niego, że żyje, i ucieszył się, że antymobiliści nie są takimi dzikusami, za jakich powszechnie ich uważano. Doktor Nazghul zabandażował mu klatkę piersiową, a jego żona przyniosła miskę baraniego gulaszu. W kątach pokoju paliły się lampy, a w drzwiach stały dzieci, gapiąc się ciekawie na Toma szeroko otwartymi ciemnymi oczyma.

– Jesteś bohaterem! – powiedział lekarz. – Pokonałeś żelaznego dżina, który by nas wszystkich wymordował.

Tomowi kleiły się oczy. Prawie zapomniał o tym, co rozegrało się na brzegu bagniska. Szczegóły walki zacierały się w jego pamięci, jakby to był sen. Zabiłem Shrike'a – pomyślał. Choć

był wytworem techniki, ale mimo wszystko miał własne plany, nadzieje, marzenia, a ja położyłem temu wszystkiemu kres. Czuł się nie jak bohater, lecz jak morderca. Poczucie winy i wstydu nie opuszczało go, gdy zapadał w sen nad miską gulaszu.

Obudził się w innym pokoju. Leżał w miękkim łóżku, niebo za oknem było błękinobiałe, od białej wapnem ściany odbijały się złote promienie słońca.

– Jak się czujesz, pogromco żelaznego dzina? – usłyszał głos panny Fang. Stała nad nim i przyglądała mu się z łagodnym uśmiechem anioła ze starożytnego obrazu.

– Wszystko mnie boli – poskarżył się Tom.

– Wytrzymasz podróż? „Jenny Haniver” już czeka. Chciałabym wylecieć przed zachodem słońca. Kiedy znajdziemy się w powietrzu, poczęstuję cię ząbą zapiekaną w cieście. Sama zrobiłam ten przysmak.

– Gdzie jest Hester? – zapytał sennie.

– Ona też z nami leci.

Tom usiadł na łóżku, krzywiąc się z bólu. Nagle przypomniał sobie, co się stało.

– Nigdzie z tobą nie polecę – powiedział.

Panna Fang roześmiała się, jakby myśląc, że Tom żartuje. Po chwili jednak spojrzała na niego zaniepokojona.

– Tom? Czy zrobiłam coś, co cię uraziło?

– Pracujesz dla Ligi! – odparł ze złością. – Jesteś szpiegiem, tak samo jak Valentine! Jesteś tak samo zła jak on. Pomogłaś nam tylko dlatego, że chciałaś, bym zdradził ci plany Londynu!

Z jej twarzy zniknął uśmiech.

– Tom – powiedziała łagodnie. – Pomogłam ci, bo cię lubię. A gdyby twoja rodzina umarła w niewoli na pokładzie ruchomego miasta, pewnie też wstąpiłbyś do Ligi i walczył przeciwko miejskiemu darwinizmowi, prawda?

Odgarnęła mu czule kosmyk włosów z czoła, jak kiedyś mama, która siadała przy jego łóżku, gdy był chory. Jednak znaczek Ligi wciąż kłuł go w oczy, a rana po zdradzie Valentine’a wciąż była świeża: nie zamierzał dać się drugi raz zwieść uśmiechami i pozorną dobrocią.

- Zatopiłaś Marsylię...

- Gdybym tego nie zrobiła, zaatakowałyby Sto Wysp, zabiłyby albo zniewoliła znacznie więcej ludzi, niż utonęło po wybuchu mojej małej bombki.

- I udusiłaś jakiegoś sułtana...

- Sułtana Palau Pinang? - Uśmiechnęła się. - Nie udusiłam go! Po prostu skręciłam mu kark. Sułtan pozwalał tankować na swojej wyspie miastom amfibiom, więc trzeba się go było pozbyć.

Tom nie widział w tym nic śmiesznego. Przypomniał sobie ludzi Wreylanda, leżących na płycie lotniska w Stayns, i zapewnienia panny Fang, że tylko stracili przytomność.

- Może nie jestem lepsza od Valentine'a - ciągnęła dalej - ale jest między nami różnica. Valentine chciał cię zabić, a ja próbuję ci pomóc. To co? Polecisz ze mną?

- Dokąd? - zapytał Tom podejrzliwie.

- Do Shan Guo - odrzekła. - Mogę się założyć, że to, co rozświetliło wczorajszej nocy niebo, miało jakiś związek z urządzeniem, które Valentine zabrał matce Hester. Poza tym dowiedziałam się, że Londyn jedzie prosto na wielki mur.

Tom był zdumiony. Czyżby lord burmistrz rzeczywiście znalazł sposób na sforsowanie muru? Jeśli tak, była to najlepsza wiadomość od lat. Shan Guo stanowiło centrum Ligi Antymobilistów i nie odwiedzał go żaden szanujący się londyńczyk.

- Nie zrobię nic, co mogłoby zaszkodzić Londynowi - powiedział Tom. - Tam jest nadal mój dom.

- Oczywiście - odparła. - Jeśli jednak mur rzeczywiście ma zostać zaatakowany, to chyba zgodzisz się ze mną, że mieszkańcom Shan Guo należy dać choćby szansę ucieczki. Poza tym chcę, żeby Hester poleciała ze mną i opowiedziała tam swoją historię. A Hester poleci tylko razem z tobą.

Tom roześmiał się i natychmiast poczuł kłujący ból w piersi.

- Nie wierzę - powiedział. - Hester mnie nienawidzi!

- W życiu nie słyszałam podobnej bzdury - zachichotała panna Fang. - Ona cię bardzo lubi. Przez pół nocy opowiadała mi, jaki byłeś dla niej dobry, jak dzielnie się spisywałeś i jak zabiłeś tego

mechanicznego człowieka.

– Serio? – Tom zarumienił się. Poczł się z siebie dumny. Nie sądził, że kiedykolwiek przyzwyczai się do huśtawki nastrojów Hester Shaw. Mimo to ta brzydka dziewczyna była mu najbliższą osobą, jedynym przyjacielem w tym wielkim, niezrozumiałym świecie. Wciąż pamiętał, jak błagała Shrike’a o pozostawienie go przy życiu. Tom uznał, że musi iść razem z nią. Nawet jeśli leciała do tej dzikiej krainy barbarzyńców z Ligi Antymobilistów, do Shan Guo.

– Dobrze – powiedział. – Lecę z wami.

25. HISTORYCY

Padał deszcz. Ulewa zmywała z pokładów Londynu warstwę śniegu, zamieniała ziemię pod gąsienicami w błotnistą breję, lecz nie była w stanie ugasić ognia na szczątkach Panzerstadt-Bayreuth, który wciąż płonął na północnym zachodzie.

Magnus Crome stał na dachu inżynierium i patrzył na wzbijające się w niebo smoliste kłęby dymu. Czeladniczka trzymała mu nad głową parasol. Za nią stało sześć wysokich, nieruchomych postaci w czarnych gumowych strojach. Terrorysty, którzy włamali się wczorajszej nocy do głównej kwatery cechu, wciąż nie zostali ujęci, dlatego wzmocniono ochronę: od tej pory lord burmistrz nie ruszył się nigdzie bez swojej nowej eskorty, pierwszej partii wyprodukowanych przez doktor Twix zmartwychwstańców.

Na dachu wylądował należący do cechu statek zwiadowczy. Wyłonił się z niego doktor Vambrace, szef ochrony. Postawny inżynier sprężystym krokiem podszedł do oczekującego go lorda burmistrza. Jego biały gumowy płaszcz powiewał na silnym wietrze.

– No i co, doktorze? – zapytał z widocznym zainteresowaniem Crome. – Co widzieliście? Udało się wam wylądować?

Vambrace pokręcił głową.

– Cały wrak stoi w płomieniach. Ale krążyliśmy nad nim tak nisko, jak się dało, i zrobiliśmy sporo zdjęć. Górne pokłady stopiły się i zawałyły na dolne, wygląda na to, że eksplodowały zbiorniki z paliwem, gdy tylko liźnął je pierwszy promień naszej energii.

Crome pokiwał głową.

– Czy ktoś przeżył?

– Kilka osób uwięzionych między pokładami dawało znaki życia. Ale poza tym... – Oczy szefa ochrony za grubymi szklami okularów przypominały meduzy uwięzione w akwarium. Jego

dział od dawna zajmował się poszukiwaniem nowych, lepszych sposobów zabijania ludzi i doktor Vambrace był zafascynowany widokiem zwęglonych szczątków, które zobaczył na ulicach i placach Panzerstadt-Bayreuth, ludzi przemienionych spojrzeniem Meduzy w czarne posągi.

– Zamierza pan poczekać, lordzie burmistrzu, aż ogień się wypali? Może to potrwać kilka dni – powiedział.

– Ależ skąd! Natychmiast jedziemy w stronę wielkiego muru.

– Ludziom się to nie spodoba – ostrzegł go Vambrace. – Odniesiono zwycięstwo, więc teraz będą się domagać łupów. Metal i części zamienne z Panzerstadt-Bayreuth...

– Nie zaprowadziłem Londynu tak daleko po złom i części – przerwał mu Crome. Stał przy barierce na krawędzi dachu i wpatrywał się we wschodni horyzont. – Musimy jechać dalej. Za parę dni znajdziemy się koło wielkiego muru. Ogłosiłem święto i urządę bankiet w ratuszu, żeby uświetnić to wielkie wydarzenie. Pomyśl tylko, Vambrace! Zupełnie nowy teren łowiecki!

– Ale Liga już wie, że się zbliżamy. Spróbują nas powstrzymać.

Crome spojrział na niego zimnymi jak lód oczami.

– Valentine dostał odpowiednie rozkazy. Na pewno poradzi sobie z Ligą.

Tak więc Londyn pojechał dalej na wschód, zostawiając za sobą zasnuwane czarnym dymem niebo. Katherine szła zaśmieconymi po nocnej zabawie ulicami miasta, zmierzając do stacji wind. Poniszczone papierowe lampiony toczyły się po pokładzie smagane wiatrem, ludzie w czerwonych uniformach Brygady Utylizacji Odpadów zbierali porzucone krepinowe czapeczki i mokre transparenty z rozmytymi napisami:

KOCHAMY MAGNUSA CROME'A!
NIECH ŻYJE LONDYN!

Pies uganiał się za kawałkiem papierowego łańcucha, lecz po

chwili Katherine przywołała go surowym głosem do nogi. Nie był to czas na zabawę.

Przynajmniej w muzeum nie było żadnych transparentów i odświętnych dekoracji. Cech Historyków nigdy nie śpieszył się z wyrażeniem radości z powodu nowych wynalazków inżynierów. Meduza nie stanowiła pod tym względem wyjątku. W łagodnie oświetlonych salach muzealnych panowała cisza, najlepiej wyrażająca żałobę po śmierci całego miasta. Hałas dochodzący z ulicy był przytłumiony, jakby gwar terażniejszości oddzielała od sal muzeum ciężka kurtyna czasu. Cisza i spokój pomogły Katherine zebrać myśli i kiedy doszła do gabinetu Chudleigha Pomeroya, wiedziała już, co ma powiedzieć.

Nie opowiadała jeszcze panu Pomeroyowi o tym, czego dowiedziała się w inżynierium, lecz stary historyk dostrzegł, jaka była poruszona, kiedy odprowadził ją do Domu Klio. Nie wyglądał na zaskoczonego, gdy ujrzał ją razem z Psem w drzwiach gabinetu.

– Panie Pomeroy – wyszeptała – muszę z panem porozmawiać. Czy Bevis tu jest? Czy wszystko u niego w porządku?

– Oczywiście. Wejść, proszę!

Bevis Pod czekał na nią w gabinecie, ubrany w pożyczoną szatę historyka. W żółtym świetle muzealnych lamp jego naga czaszka wydawała się krucha jak skorupka jajka. Katherine chciała podbiec do niego i przeprosić za kłopoty, w jakie go wpakowała, lecz w niewielkim gabinecie Pomeroya było jeszcze kilku innych historyków. Wszyscy patrzyli na nią z wyrzutem. Katherine nagle przestraszyła się, że Pomeroy ją zdradził.

– Nie martw się – powiedział łagodnie Pomeroy. – Skoro pan Pod ma być gościem muzeum, uznałem, że należy go przedstawić reszcie kolegów. Nikt z nas nie jest poplecznikiem lorda burmistrza. Postanowiliśmy, że czeladnik Pod może tu zostać tak długo, jak to konieczne.

Historycy zrobili jej miejsce obok Bevisa.

– Jak ci się żyje? – zapytała, czując ulgę na widok jego niepewnego uśmiechu.

– Nie najgorzej – szepnął. – Dziwnie jest tutaj. Wszędzie drewno

i stare sprzęty. Ale historycy są bardzo mili...

Katherine rozejrzała się po pokoju. Wielu z obecnych znała już z widzenia: doktora Arkengartha, doktora Karunę, profesora Pewtertide'a, młodą pannę Potts, Normana Nancarrowa z Druków i Obrazów oraz pannę Plym, która wycierała nos błękitną chusteczką.

- Rozmawialiśmy o zniszczeniu Panzerstadt-Bayreuth - powiedział Pomeroy, wręczając jej kubek gorącego kakao. - Cóż to za okropna machina ta Meduza!

- Reszta londyńczyków uważa, że jest cudowna - stwierdziła z goryczą Katherine. - Słyszałam, jak się śmiali i wiwatowali na cześć Crome'a przez pół nocy. Rozumiem, że cieszą się, że nie zostaliśmy pożarci, ale... Nie sądzę jednak, żeby unicestwienie wielkiego miasta było powodem do radości.

- To katastrofa! - podchwycił stary doktor Arkengarth, wymachując kościstymi rękami. - Żebyście widzieli, co drgania tej piekielnej maszyny wyczyniały z moją kolekcją ceramiki!

- Daj spokój z tą twoją ceramiką, Arkengarth! - zbeształ go Pomeroy. - Popatrz na Panzerstadt-Bayreuth. Spalone do samego podwozia!

- Oto, do czego prowadzi obsesja inżynierów na punkcie starej technologii! - oburzył się profesor Pewtertide. - Tyle wieków historii, z których możemy czerpać wiedzę, a oni interesują się wyłącznie kilkoma starożytnymi maszynami!

- I co takiego starożytni osiągnęli, mając tę technikę? - zapiszczał Arkengarth. - Doprowadzili świat do ruiny i wysadzili się w powietrze!

Pozostali pokiwali posępnie głowami.

- W Panzerstadt-Bayreuth mieli wielkie muzeum - zauważył doktor Karuna.

- Z tego, co wiem, były tam wspaniałe zbiory obrazów - powiedział Nancarrow.

- Unikatowe egzemplarze mebli z trzydziestego stulecia - zawtórowała bliska płaczu panna Plym.

- Musisz wybaczyć biednej Moirze, Katherine - szepnął Pomeroy, gdy panna Plym załapała się rzęsiстыми łzami. - Dzisiaj

rano dowiedziała się, że Crome rozkazał porąbać naszą kolekcję mebli i wrzucić ją do pieców. Podobno brakuje paliwa. Wszystko przez tę szaloną podróż na wschód.

W tym momencie Katherine nie zależało ani na ceramice, ani na meblach. Cieszyła się jednak, że nie wszyscy popierają poczynania lorda burmistrza. Wzięła głęboki oddech i zaczęła opowiadać, czego dowiedziała się z Bevisem w inżynierium o Meduzie i następnym etapie wielkiego planu Magnusa Crome'a.

– Ależ to okropne! – jęknęli wszyscy, kiedy dobrnęła do końca.

– Shan Guo to wielka, starożytna kultura, niezależnie od tego, czy należy do Ligi, czy nie. Nie można zniszczyć Batmunkh Gompa...

– Te świątynie!

– Ceramika!

– Młynki modlitewne!

– Malowany jedwab!

– Meble!

– Są tam też ludzie! – przypomniała im gniewnie Katherine. – Musimy coś zrobić!

– Tak, tak! – zgodzili się chórem, a potem spojrzeli na nią potulnie. Po dwudziestu latach rządów Crome'a nie mieli pojęcia, jak przeciwstawić się Cechowi Inżynierów.

– Ale co możemy zrobić? – zapytał w końcu Pomeroy.

– Powiedzieć ludziom prawdę. Pełni pan obowiązki głównego historyka. Trzeba zwołać zebranie Rady Miejskiej! Przekonać ich, że to, co robią, jest złe!

Pomeroy pokręcił posępnie głową.

– Nie posłuchają, panno Valentine. Słyszała panienka wiwatujące tłumy.

– Ale ci ludzie cieszyli się dlatego, że Panzerstadt-Bayreuth miało nas pożreć! Kiedy dowiedzą się, że Crome chce wykorzystać tę broń przeciwko innym miastom...

– Będą wiwatować jeszcze głośniejsze – westchnął Pomeroy.

– Zresztą Crome wprowadził do Rady swoich ludzi – zauważył doktor Karuna. – Wszyscy starzy wielcy mistrzowie cechów odeszli: nie żyją, przeszli na emeryturę albo zostali aresztowani.

Nawet nasi czeladnicy są zachwyceni starą technologią, podobnie jak inżynierowie, zwłaszcza od czasu, gdy Crome posadził na stołku głównego historyka swojego człowieka, Valentine'a... Och, nie zamierzałem panienki urazić, panno Valentine...

– Mój ojciec nie jest człowiekiem Crome'a – oburzyła się Katherine. – Jestem tego pewna! Gdyby tata wiedział, co Crome zamierza uczynić, na pewno by zaprotestował. Pewnie właśnie dlatego wysłano go na tę idiotyczną misję zwiadowczą. Kiedy wróci, spróbuje powstrzymać lorda burmistrza. Przecież to właśnie on znalazł Meduzę. Będzie wstrząśnięty, że spowodowało to śmierć tysięcy ludzi!

Mówiła z takim przekonaniem, że niektórzy historycy zaczęli jej wierzyć, nawet tacy jak doktor Karuna, którym wstrzymano awans, kiedy Valentine objął urząd głównego historyka. Zaś Bevis Pod patrzył na nią błyszczącymi oczyma, ogarnięty uczuciem, którego nie potrafił nawet nazwać. Nie uczono go tego w laboratoriach.

– Miejmy nadzieję, że jest tak, jak panienka mówi – odezwał się w końcu Pomeroy. – Bo tylko on może przeciwstawić się Crome'owi. Trzeba zaczekać na jego powrót.

– Ale...

– Tymczasem będziemy ukrywać pana Poda w muzeum. Pomoże doktorowi Nancarrowowi w inwentaryzacji zbiorów sztuki. Jeżeli zjawią się inżynierowie, znajdziemy mu jakąś bezpieczną kryjówkę.

26. BATMUNKH GOMPA

Świat się zmienia. Dla Toma nie była to oczywiście żadna nowość. Czeladnika Cechu Historyków uczono już na samym wstępie, że świat ulega ciągłej ewolucji. Teraz jednak zmiany były niemal namacalne, widoczne gołym okiem. Wyglądając przez okno kabiny „Jenny Haniver”, zobaczył rozległe ziemie wschodniego Terenu Polowań, z których w pośpiechu uciekały miasta i miasteczka. Były zbyt przerażone, aby polować na siebie nawzajem.

- Meduza - usłyszał szept panny Fang, wpatrującej się w zasnuty dymem horyzont.

- Co to jest Meduza? - zapytała Hester. - Pani coś o tym wie, prawda? Dlaczego zginęli moi rodzice?

- Niestety, nie wiem - odparła panna Fang. - Chociaż bardzo bym chciała. Słyszałam o niej tylko raz. Sześć lat temu jeden z agentów Ligi zdołał przeniknąć do Londynu, podszywając się pod pilota licencjonowanego statku. Usłyszał coś, co go zaintrygowało, ale nigdy nie dowiedzieliśmy się, co to było. Przekazał tylko krótką wiadomość: „Uważajcie na Meduzę”. Inżynierowie złapali go i zabili.

- Skąd pani wie? - zapytał podejrzliwie Tom.

- Przesłali nam jego głowę - odparła panna Fang.

Tego wieczoru „Jenny Haniver” wylądowała na jednym z uciekających miast, na porządnym czteropokładowcu o nazwie Peripatetiapolis, który pędził na południe, by zaszyć się w górach za morzem Khazak. Na lotnisku usłyszeli kolejne wieści o Panzerstadt-Bayreuth.

- Widziałem, co się stało! - powiedział jeden z lotników. - Byłem ponad sto kilometrów od miasta, ale widziałem. Snop ognia wystrzelił z górnego pokładu Londynu. Zabijał wszystko, co spotkał na drodze!

- Londyn wykopał coś z czasów wojny

sześćdziesięciminutowej – usłyszeli od pewnego archeologa. – Stare Imperium Amerykańskie pod koniec swego istnienia zupełnie oszalało. Słyszałem legendy, mówiące o potwornej broni: o wiązkach energii kwantowej, które czerpały moc z innych wymiarów wszechświata...

– Teraz, kiedy Magnus Crome może spopielić każde miasto, kto ośmieli mu się sprzeciwić? – zapytywał zdjęty panicznym strachem peripatetiapolijski kupiec. – To koniec naszej cywilizacji! Kolejny raz.

Z całego tego zamieszania wynikła jednak jedna dobra rzecz: mieszkańcy Peripatetiaopolis chętnie przyjmowali od Toma londyńskie pieniądze. Chłopak kupił więc czerwoną jedwabną chustę, aby podarować ją Hester w zamian za tę, którą utraciła owej pamiętnej nocy na pokładzie Londynu.

– To dla mnie? – zapytała z niedowierzaniem, kiedy wręczał jej prezent. Nie pamiętała, by ktokolwiek przedtem coś jej podarował. Nie rozmawiała z Tomem od chwili, gdy opuścili Czarną Wyspę, wstydząc się tego, co powiedziała po śmierci Shrike’a. – Dziękuję. I chyba powinnam ci podziękować za uratowanie życia. Chociaż nie mam pojęcia, dlaczego ci na mnie zależy.

– Wiedziałem, że tak naprawdę nie chciałaś skończyć jako zmartwychwstaniec – ucieszył się Tom.

– Nieprawda – odparła. – Wtedy wszystko byłoby łatwiejsze. Ale dobrze zrobiłeś.

Spojrzała na chustę.

– Postaram się być miłsza – obiecała. – Nikt dotąd nie traktował mnie tak jak ty. Próbuje więc być miła i uśmiechać się, ale potem widzę w wodzie albo w oknie swoje odbicie i zaczynam nienawidzić wszystkiego na świecie. Przepraszam.

– Nie przejmuj się – odparł Tom, czując się trochę niezręcznie. – Wiem o tym. Rozumiem cię.

Wziął chustę i obwiązał wokół jej szyi, lecz Hester nasunęła ją na twarz, aby ukryć usta i nos. Poczul dziwny smutek: przyzwyczaił się do jej twarzy, będzie mu brakowało jej krzywego uśmiechu.

Wylecieli przed świtem, szybując nad stromymi wzgórzami, przypominającymi z góry pognieciony papier pakowy. Im dalej lecieli, tym wyższe były góry i wkrótce Tom zdał sobie sprawę, że opuścili Teren Polowań. Po południu „Jenny Haniver” przelatywała już nad krainą niedostępną dla większości podróżujących miast. Tom widział pod sobą gęste iglaste lasy, tu i ówdzie polany, na których przycupnęły wioski rolników, raz nawet spostrzegł na szczycie góry miasteczko, z którego promieniście rozchodziły się drogi – prawdziwe drogi, po których jeździły wozy. Patrzył na nie, aż znikły za horyzontem. Słyszał o drogach na lekcjach historii, lecz nigdy dotąd żadnej nie widział.

Następnego dnia Anna Fang podała pasażerom czerwonawą pastę.

– To sproszkowane liście betelu – wyjaśniła – zmieszane z pewnymi ziołami Neo-Majów. Pomagają w czasie lotu na dużych wysokościach. Tylko nie żujcie ich zbyt często, bo zęby zrobią się wam takie czerwone, jak moje.

Pasta miała cierpki smak, ale dzięki niej Tom pozbył się mdłości i zawrotów głowy, które nasilały się w miarę, jak statek wznosił się coraz wyżej, a także złagodziła ból złamanych żeber.

Teraz maleńki cień „Jenny” przesuwał się po ośnieżonych szczytach, a z przodu wyrosły jeszcze większe góry. Ich wierzchołki sterczały ponad chmurami niczym wyspy pośród spienionych wód oceanu. Tom wysilił wzrok, wpatrując się w południowy horyzont w nadziei, że uda mu się dojrzeć Czomolungmę, Mount Everest starożytnych, lecz w wysokich Himalajach zbierała się burza, zasnuwając góry chmurami.

Trzy dni lecieli przez czarno-biały świat śniegu, lodowców i nagich skał. Od czasu do czasu Tom i Hester siadali za sterami, podczas gdy Anna Fang drzemała w fotelu drugiego pilota, bojąc się ich zostawić samych. Wzlatywali coraz wyżej, aż w końcu minęli Zhan Shan, nową najwyższą górę na Ziemi, której okryty śniegiem szczyt wznosił się wysoko ponad chmury w nieskończone zimne niebo. Potem góry stopniowo zaczęły się robić coraz niższe, a w dolinach pojawiła się soczysta, zielona

trawa, po której wędrowały wielkie stada dzikich zwierząt, pierzchających na dźwięk silników powietrznego statku. Znajdowali się teraz nad Rajskimi Górami, które dalej na północ i wschód przechodziły w step, tajgę i błyszczące w słońcu bagniska.

– To Shan Guo, kraina koni – powiedziała Anna Fang. – Chciałam się tu zaszyć, kiedy skończę pracę dla Ligi i przejdę na emeryturę. Jednak zdaje się, że teraz wszyscy skończymy w Trzewiach Londynu, nasza forteca zostanie unicestwiona przez Meduzę, osady pożarte, zielone wzgórza rozkopane w poszukiwaniu bogactw naturalnych, a konie wyginą wraz z innymi zwierzętami.

Tom nie widział w tym nic złego. Przecież to naturalne, że ruchome miasta zajmą kiedyś cały glob. Ponieważ jednak polubił pannę Fang, mimo że była agentką Ligi, próbował ją pocieszyć.

– Bez względu na to, jaką siłę ma Meduza, miną stulecia, nim Londyn zdoła się przebić przez te wielkie góry.

– Wcale nie będzie musiał – odparła. – Zobacz.

Tom spojrział tam, gdzie wskazywała palcem, i zobaczył przesmyk między górami, szeroki wąwóz, przez który z łatwością przejechałoby duże miasto – tylko że przez całą jego szerokość ciągnął się olbrzymi, masywny mur.

Był tak czarny, że wyglądał jak ściana nocy. Wybudowano go z olbrzymich bloków skały wulkanicznej i ostonięto rdzewiejącymi pokładami miast, które ośmieliły się zaatakować fortecę antymobilistów i zostały zniszczone rakietami z wyrzutni ustawionych wzdłuż muru. Na jego ośnieżonym szczycie powiewała dumnie wielka flaga ze złamanym kołem, skrzyły się w słońcu ogromne działa i stalowe hełmy żołnierzy Ligi.

– Żeby tylko wielki mur był tak mocny, na jaki wygląda – westchnęła panna Fang, skierowując „Jenny Haniver” w jego stronę.

Na spotkanie wyleciała im maszyna niewiele większa od motolotni i panna Fang pozdrowiła przez radio jej pilota. Stateczek okrążył „Jenny”, a potem zawrócił w stronę wielkiego muru, wskazując nowo przybyłym drogę. Tom przypatrywał się twarzom wojowników, stojących z zadartymi głowami. Byli

wśród nich Murzyni, skośnoocy Azjaci, biali – wszystkie egzotyczne rasy z krańców świata, gdzie barbarzyńskie ludy, mieszkające w nieruchomych osadach i miastach, wciąż broniły się przed miejskim darwinizmem. Wkrótce zaczęły podchodzić do lądowania po drugiej stronie muru. Oczom Toma ukazało się wykute w skale miasto z licznymi balkonami, tarasami i wyciętymi w czarnym kamieniu oknami. Między poszczególnymi poziomami latały kolorowe balony i lotnie.

– Batmunkh Gompa – oznajmiła panna Fang. – Miasto Wiecznej Mocy. Choć oczywiście ludzie, którzy je tak nazywają, nie słyszeli o Meduzie.

Miasto było naprawdę piękne. Tom, którego uczono, że wszystkie nieruchome osady są brudne, omszałe i brzydkie, przytknął nos do szyby i przypatrywał mu się szeroko otwartymi oczyma. Hester również stanęła przy oknie obok niego, zakrywając twarz nową jedwabną chustą.

– Och! Jakie śliczne! – zawołała. – Zupełnie jak skalne urwiska na Wyspie Dębów, gdzie wiły gniazda morskie ptaki! Patrz! Patrz! – U podnóża wielkiego muru lśniła lazurowa tafla jeziora, po którym pływały małe kolorowe żaglówki. – Tom, pójdziemy popływać, nauczę cię...

„Jenny Haniver” wylądowała na górnym tarasie, między innymi statkami handlowymi. Panna Fang zaprowadziła Toma i Hester do balonu, który zaniósł ich jeszcze wyżej, aż do wrót pałacu gubernatora. Starożytny klasztor, od którego pochodziła nazwa Batmunkh Gompa, stanowiący teraz siedzibę władz lokalnych, został wyciosany w stromym, niemal poziomym zboczu góry, przylegającej do wielkiego muru. Jego pobielone ściany i duże okna robiły imponujące wrażenie. Inne balony lądowały na tarasie pod ogrodami pałacowymi, a w chyboczącym się koszu jednego z nich Tom zauważył kapitana Khorę.

Spotkali się na lądowisku. Dziarski lotnik wyskoczył ze swojego balonu i podbiegł uściskać pannę Fang i powitać jej przyjaciół. Khora przyleciał tu z Airhaven dzień po ataku Shrike’a, a teraz szczerze się zdziwił i ucieszył, widząc Toma i Hester żywych.

– Gubernator i jego sztab czekają na twój raport, Feng Hua –

oznajmił, zwracając się do panny Fang. – Krążą bardzo ponure opowieści na temat Londynu...

Dobrze było spotkać znajomą twarz w tym dziwnym, obcym miejscu. Bez wahania podążyli za Khorą, który poprowadził ich długimi schodami do pałacu. Tom przypomniał sobie, że widział na lotnisku sterowiec Achebe 2100.

– Czy to twój statek z tą boczną przybudówką? – zapytał.

Kapitan roześmiał się.

– Ten stary wrak? Ależ nie! Mój „Mokele Mbembe” to statek bojowy. Północna Flota Powietrzna sprzymierzeńców Ligi ma swoje bazy tam, na górze. – Zatrzymał się i wskazał lśniące w słońcu brązowe wrota na szczycie wielkiego muru. – W Wysokim Gnieździe.

– Któregoś dnia zaprowadzimy cię tam – obiecała panna Fang, gdy przechodzili między mnichami wojownikami, strzegącymi wejścia. – Powietrzne niszczyciele Ligi to prawdziwe cuda przestworzy! Jednak najpierw gubernator Khan musi wysłuchać opowieści Hester.

Gubernator Ermene Khan okazał się łagodnym staruszkiem o pociągłej, smutnej twarzy ascetycznego mnicha. Przyjął ich w swoich prywatnych pokojach i poczęstował herbatą oraz miodowymi ciasteczkami. Siedzieli w przestronnej komnacie, której okrągłe okna wychodziły na jezioro Bathmunkh Nor i otaczające je zielono-złote szachownice pól. Od tysiąca lat rodzina gubernatora dokładała starań, by odpowiednio wzmocnić wielki mur, i Khan wydawał się oszołomiony wiadomością, że nagle wszystkie działa i rakiety stały się bezużyteczne.

– Żadne miasto nie potrafi sforsować Batmunkh Gompa – powtarzał ciągle, gdy komnata zapełniała się oficerami, którzy przyszli wysłuchać raportu panny Fang. – Moja droga Feng Hua, zniszczymy Londyn, gdy tylko znajdzie się w zasięgu naszych dział!

– Właśnie próbuję wytłumaczyć – wykrzyknęła niecierpliwie –

że Londyn nie musi podjeżdżać blisko! Crome zatrzyma miasto setki kilometrów stąd i obróci w popiół wasz wspaniały mur! Przecież słyszeliście wszyscy, co powiedziała Hester. Uważam, że maszyna, którą Valentine ukradł jej matce, to fragment jakiejś starożytnej broni. A to, co się stało z Panzerstadt-Bayreuth, dowodzi, że Cechowi Inżynierów udało się ją zrekonstruować.

– Tak, tak – odezwał się oficer artylerii. – Słyszeliśmy. Czy jednak rzeczywiście można uwierzyć, że Crome’owi udało się naprawić maszynę, która leżała głęboko w ziemi od czasów wojny sześćdziesięciminutowej? Może Panzerstadt-Bayreuth uległo zniszczeniu przez przypadek.

– Właśnie! – podchwycił z nadzieją gubernator Khan. – Pewnie katastrofę spowodował meteoryt albo wyciek paliwa... – Pogładził swoją długą brodę. – Może miasto Crome’a w ogóle nie jedzie w naszą stronę... Może ma na oku jakiś inny łup?

Jednak jego oficerowie byli bardziej skłonni uwierzyć pannie Fang.

– Londyn zmierza tutaj, bez dwóch zdań – powiedziała lotniczka z Kerali, niewiele starsza od Toma. – Przedwczoraj poleciałam na zwiad na zachód. To barbarzyńskie miasto było już niecałe tysiąc kilometrów stąd i pędziło prosto na nas. Obawiam się, że jutro wieczorem znajdziemy się w zasięgu Meduzy.

– Mieliśmy także doniesienia, że w górach zauważono czarny sterowiec – wtrącił się kapitan Khora. – Statki, które zostały wysłane na spotkanie z nim, nie powróciły. Idę o zakład, że to „Winda Na Trzynaste Piętro” Valentine’a. Pewnie wysłali go do nas na przeszpigi.

Valentine! Na myśl o tym, że główny historyk dotarł do samego serca Shan Guo, Tom poczuł dziwną mieszankę dumy i strachu. Tom zerknął na Hester, ale ona wpatrywała się tylko niewidzącym wzrokiem w okno, jakby obawiała się, że „Winda Na Trzynaste Piętro” przeleci za chwilę obok.

– Żadne miasto nie potrafi sforsować Batmunkh Gompa – powtórzył bez przekonania gubernator Khan, składając hołd własnym przodkom.

– Panie gubernatorze, trzeba postawić w stan gotowości flotę

powietrzną – nalegała panna Fang. – Trzeba zbombardować Londyn, nim znajdziemy się w zasięgu Meduzy. To jedyne rozwiązanie, które może nam zapewnić zwycięstwo.

– Nie! – krzyknął Tom, zrywając się na równe nogi, aż krzesło upadło z trzaskiem na podłogę. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. – Powiedziała pani, że przylecieliśmy ostrzec ludzi przed niebezpieczeństwem! Nie możecie zaatakować Londynu! Bo zginą ludzie! Niewinni ludzie! – Myślał o Katherine, wyobrażał sobie bomby Ligi spadające na Dom Klio i muzeum. – Obiecała pani! – jęknął słabym głosem.

– Feng Hua nie składa obietnic dzikusom – warknęła dziewczyna z Kerali, lecz panna Fang uciszyła ją.

– Zbombardujemy tylko Trzewia i gąsienice, Tom – zapewniła. – I miejsce, gdzie ulokowano Meduzę – górny pokład. Nie chcemy krzywdzić niewinnych ludzi, ale nie możemy postąpić inaczej, skoro barbarzyńskie miasto ruszyło przeciwko nam.

– Londyn nie jest barbarzyńskim miastem! – krzyknął Tom. – To wy jesteście dzikusami! Dlaczego Londyn nie miałby pożreć Batmunkh Gompa, jeżeli tego potrzebuje? Jeśli wam się to nie podoba, powinniście byli już dawno założyć swoim miastom koła i żyć jak cywilizowani ludzie!

Paru oficerów Ligi zawołało, żeby zamilkł, a dziewczyna z Kerali chwyciła za miecz, lecz pannie Fang udało się ich uspokoić kilkoma słowami. Następnie z wyrozumiałym uśmiechem zwróciła się do Toma.

– Może powinienes nas opuścić, Thomasie – powiedziała. – Później cię znajdziemy.

Z oczu Toma polały się łzy. Żal mu było tych ludzi. Doskonale wiedział, że nie są dzikusami, i tak naprawdę nie wierzył w to, co powiedział. Nie mógł jednak w milczeniu przysłuchiwać się, jak planują atak na jego dom.

Spojrzał na Hester w nadziei, że stanie po jego stronie, lecz ona była zatopiona we własnych myślach, jej palce przebiegały nerwowo po bliznach ukrytych pod chustą. Miała poczucie winy, że podczas lotu była taka szczęśliwa w towarzystwie Toma. Nie powinna pozwalać sobie na to, gdy Valentine wciąż jeszcze żyje.

Kiedy zorientowała się, że Tom na nią patrzy, oznajmiła:

– Jeśli o mnie chodzi, mogą wybić londyńczyków do nogi. Ale Valentine’a zabiję sama.

Tom odwrócił się od niej i poszedł do wyjścia. Gdy zamykał za sobą drzwi, usłyszał syk dziewczyny z Kerali: „Barbarzyńca!”

Samotnie powlókł się na taras, gdzie czekały balony taksówki, i usiadł na kamiennej ławce. Czuł się zdradzony i oszukany. W dole widział dachy i tarasy Batmunkh Gompa, rozciągające się aż do zbocza góry po przeciwległej stronie. Nagle złapał się na tym, że próbuje sobie wyobrazić, jak by się żyło w takim miejscu, jak by to było budzić się co rano i za każdym razem widzieć za oknem ten sam krajobraz. Czyżby ludzie z Batmunkh Gompa nie odczuwali potrzeby ruchu, zmiany? Jak mogą zasnąć, nie słysząc pomruku silników, kołyszącego do snu? Czy kochali to miejsce? I nagle zrobiło mu się żal na myśl, że to tętniące życiem, kolorowe miasto może się wkrótce zamienić w kupę gruzu pod gąsienicami Londynu.

Zaprzagnął zobaczyć więcej. Podszedł do najbliższej taksówki. Udało mu się wytłumaczyć pilotowi, że jest gościem panny Fang i chce zwiedzić miasto. Pojechał w dół, mijając kolejne piętra, aż zatrzymał się na czymś w rodzaju głównego placu, z którego rozchodziły się schody wiodące w górę na Wysokie Gniazdo i w dół do sklepików oraz straganów.

Wiadomości o Meduzie szybko obiegały Batmunkh Gompa – wiele domów i sklepów zamknięto już na cztery spusty, a ich właściciele zaczęli uciekać na południe. Dolne poziomy wciąż jednak były pełne ludzi i gdy słońce zaczęło zachodzić za wielkim murem, Tom przechadzał się po zatłoczonych bazarach i wspinał się na drabiny, łączące poszczególne piętra. Na rogach ulic stały budki wróżbitów i kapliczki poświęcone bogom niebios, obsypane popiołem z kadzidełek. Na głównym placu występowali groźnie wyglądający ujugurscy akrobaci. Wszędzie było pełno lotników oraz żołnierzy Ligi: jasnowłosych olbrzymów ze Spitsbergenu, czarnych jak smoła wojowników z Gór Księżycowych, krępych Indian oraz żółtoskórych ludzi z dżungli Laosu i Annamu.

Tom starał się nie myśleć o tym, że niektórzy z tych młodych żołnierzy wkrótce będą bombardować jego ukochany Londyn. Czasami słyszał, jak ktoś wymienia jego imię i pokazuje go palcem. Opowieści o jego zwycięstwie nad Shrikim lotem błyskawicy dotarły do Batmunkh Gompa. Czuł się tak, jakby mówiono o jakimś innym Thomasie, o kimś odważnym i silnym, kto nie przeżywał żadnych wątpliwości.

Zastanawiał się właśnie, czy nie wrócić do pałacu gubernatora i nie odnaleźć Hester, gdy zobaczył wspinającą się po schodach wysoką, barczystą postać. Mężczyzna miał na sobie starą czerwoną szatę z kapturem skrywającym twarz, w rękę trzymał kostur, a przez ramię miał przerzucony plecak. Tom widział już na ulicach Batmunkh Gompa dziesiątki takich wędrownych mnichów. Na lotnisku Anna Fang ucałowała stopy jednego z nich i dała mu sześć brązowych monet, aby pobłogosławił „Jenny Haniver”. Jednak ten człowiek wyglądał inaczej, miał w sobie coś, co od razu rzuciło się Tomowi w oczy i wzbudziło jego podejrzenia.

Postanowił pójść za nim. Nie spuszczał z oczu czerwonej szaty, idąc przez pachnący egzotycznymi ziołami targ, szedł za nią wąską ulicą Wyplataczy, gdzie na palikach u drzwi sklepików wisały setki koszy, które huśtały się, gdy zawadzał o nie głową. Było coś niezwykłego w ruchach tego mężczyzny, w tym, jak trzymał kij opaloną, mocną dłońią.

Nagle pod latarnią na głównym placu zatrzymała mnicha jakaś dziewczyna i poprosiła go o błogosławieństwo. Tom zobaczył brodatą twarz pod kapturem. Znał ten orli nos i te szarobłękitne oczy; wiedział, że amulet zawieszony między czarnymi brwiami ma dobrze mu znany znak londyńskiego Cechu Historyków.

Valentine!

27. WSPOMNIENIA DOKTORA ARKENGARTHA

W tych dniach, gdy Londyn z rykiem silników pędził w stronę gór, Katherine spędzała większość czasu w muzeum. Przesiadując w spokojnych salach, nie słyszała warkotu pił, ścinających ostatnie drzewa w Circle Parku, które miały zostać wrzucone do pieców w maszynowni. Nie słyszała okrzyków wiwatujących tłumów, zbierających się każdego dnia przed wielkimi publicznymi ekranami, które stopniowo ujawniały szczegóły wielkiego planu Magnusa Crome'a. Zapominała nawet o pracownikach ochrony Cechu Inżynierów, których wszędzie było teraz pełno – nie tylko zwyczajnych osiłków w białych strojach, lecz również nowych, zakapturzonych, pokrytych czarnymi płaszczami, którzy przechadzali się sztywnym krokiem po ulicach, przyglądając się wszystkiemu świecącymi zielonymi ślepiami.

Gdyby jednak była ze sobą szczerą, Katherine musiałaby przyznać, że nie przychodzi do muzeum tylko ze względu na panujący w nim spokój. Był tu Bevis. Miał posłanie na posadzce w sali z ekspozycją historycznych pojazdów. Coraz bardziej potrzebowała towarzystwa tego chłopca. Lubiła łagodny głos Bevisa i nieśmiały uśmiech, jakby w Trzewiach nie miał okazji przyzwyczaić się do niego. Lubiła, jak na nią patrzył, zwłaszcza na jej włosy. Któregoś dnia powiedział: „W naszym cechu usuwają włosy chemicznie wszystkim przyjętym w poczet czeladników, tak że już nigdy nie odrastają”.

Katherine polubiła jego bladą, gładką łysinę. Pasowała do niego. Czy tak właśnie ludzie się zakochują? Nie od pierwszego wejrzenia i bez pamięci, jak to opisują w książkach, lecz z wolna, stopniowo, aż wreszcie budzą się pewnego dnia i nagle zdają sobie sprawę, że są zakochani po uszy w kimś takim jak czeladnik Cechu Inżynierów?

Żałowała, że nie było przy niej taty i nie mogła go o to zapytać.

Po południu Bevis przebierał się w płaszcz historyka, chował łysinę pod czapkę i szedł pomagać doktorowi Nancarrowowi, który zajmował się katalogowaniem olbrzymich zbiorów malarstwa i fotografował każdy obraz w obawie, że lord burmistrz rozkaże spalić także i tę kolekcję. W tym czasie Katherine chodziła z Psem po muzeum i wyszukiwała eksponaty wykopane przez ojca. Pralki automatyczne, części komputera, zardzewiała klatka piersiowa Łowcy – wszystko z plakietkami, na których widniał napis:

ZNALEZISKO PANA T. VALENTINE'A, ARCHEOLOGA.

Wyobrażała sobie, jak delikatnie wyjmuje je z ziemi, oczyszcza i pakuje, aby je wysłać do Londynu. To samo musiał zrobić z komputerem Meduzy. Modliła się do Klio, która na pewno musiała przebywać w tych salach: „Londyn go potrzebuje! Ja go potrzebuję! Proszę, sprowadź go zdrowego do domu! Jak najprędzej...”

Ale to Pies, a nie Klio zaprowadził ją tamtego popołudnia do działu historii naturalnej. Wilk wypatrzył z końca korytarza wypchane zwierzęta, pobiegł do nich, a potem zatrzymał się i wbił w nie wzrok, odsłaniając kły i warcząc. Stary doktor Arkengarth, który właśnie przechodził przez salę, cofnął się trwożliwie.

– Proszę się nie bać, panie doktorze! Nie jest groźny! – uspokoiła go Kate i przyklękła przy Psie, spoglądając na wiszące pod sufitem rekiny i delfiny, a także na wieloryba, który został zdjęty z lin i ustawiony pod ścianą.

– Robi wrażenie, prawda? – ucieszył się Arkengarth i od razu zaczął wykład. – Płetwal błękitny. Wyginął w pierwszej połowie XIX wieku. A może nawet pod koniec XX: źródła nie są pod tym względem jednoznaczne. Nawet nie wiedzielibyśmy, jak wyglądał, gdyby pani Shaw nie odkryła tego skamieniałego szkieletu...

Katherine myślała o czymś innym, lecz na dźwięk nazwiska „Shaw” rozejrzała się po sali. Gablotka, którą wskazywał

Arkengarth, zawierała drucianą konstrukcję, podtrzymującą brązowawe kości, a pod spodem widniała tabliczka:

SZKIELET PŁETWAŁA BŁĘKITNEGO.
ZNALEZISKO P. SHAW, NIEZALEŻNEGO ARCHEOLOGA.

Pandora Shaw. Katherine przypomniała sobie, co wyczytała w muzealnym katalogu. Nie Hester. Oczywiście, że nie. Przerewując doktorowi Arkengarthowi wykład, zapytała:

– Znał ją pan?

– Panią Shaw? Tak, tak – pokiwał głową staruszek. – Wspaniała osoba. Była archeologiem. I przyjaciółką twojego ojca. Oczywiście wtedy nazywała się jeszcze Rea...

– Pandora Rea? – Katherine знаła to nazwisko. – Była asystentką taty podczas jego ekspedycji do Ameryki! Widziałam jej zdjęcie w jego książce!

– Zgadza się – potwierdził Arkengarth, niezadowolony, że mu przerwała. – Jak mówiłem, była archeologiem. Specjalizowała się w starej technologii, ale przywoziła nam też inne rzeczy. Takie, jak te kości wieloryba. Później wyszła za męża i zamieszkała na jakiejś wysepce na Oceanie Zachodnim. Biedna dziewczyna. Co za tragedia! Potworne, po prostu potworne...

– Umarła? – dopytywała się Katherine.

– Została zamordowana! – Arkengarth uniósł brwi dla większego efektu. – Sześć albo siedem lat temu. Usłyszeliśmy o tym od innego archeologa. Zabito ją w jej własnym domu, razem z mężem. Aż ciarki przechodzą, kiedy sobie człowiek o tym pomyśli. Dobrze się czujesz, moja droga? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha!

Katherine wcale nie czuła się dobrze. Nagle wszystkie fragmenty układanki zaczęły do siebie pasować. Pandora Shaw została zamordowana siedem lat temu, akurat wtedy, kiedy tata znalazł tę maszynę... Pandora była z nim w Ameryce, kiedy wykopał plany Meduzy. A teraz dziewczyna o tym samym nazwisku chce zabić tatę...

– Czy miała dziecko? – zapytała przez ściśnięte gardło.

– Chyba tak. – Staruszek zamyślił się. – Tak, pamiętam, że pani Shaw pokazywała mi kiedyś zdjęcie. Przywiozła wtedy ceramikę do mojego działu. Bogato zdobioną wazę z okresu elektrycznego imperium, najlepszy eksponat w naszej kolekcji...

– Jak miało na imię?!

Niecierpliwy krzyk Katherine odbił się echem w sali. Doktor Arkengarth spojrzął na nią ze zdziwieniem.

– Panno Valentine, jak mógłbym pamiętać imię jakiegoś bachora? To było piętnaście lub szesnaście lat temu, a ja nigdy nie przepadałem za dziećmi. Siusiąją, kupkają, a poza tym zupełnie nie mają szacunku dla ceramiki. Ale wydaje mi się, że ta dziewczynka miała na imię Hattie, Holly albo...

– Hester! – wykrzyknęła ze łzami w oczach Katherine i wybiegła z sali. Biegła z Psem przy boku, choć wiedziała, że i tak nie może uciec przed prawdą. A więc to w taki sposób tata zdobył Meduzę! Dlatego nigdy jej o tym nie mówił! Wreszcie zrozumiała, dlaczego biedna Hester Shaw chciała go zabić.

28. INTRUZ

Dłoń Valentine'a kreśliła skomplikowane znaki w powietrzu nad spuszczoną głową dziewczyny. Jej twarz była spokojna i uśmiechnięta. Nie wiedziała, że błogosławi ją największy wróg Ligi.

Tom przyglądał się tej scenie zza kapliczki bogów niebios. Wszystko zaczęło się układać w całość. Kapitan Khora powiedział, że w górach widziano „Winę Na Trzynaste Piętro”. Zapewne wysadziła Valentine'a na wzgórzach niedaleko miasta – resztę drogi pokonał on pieszo, wkradając się do Batmunkh Gompa jak złodziej. Ale po co? Jaką tajną misję miał do spełnienia?

Tom nie wiedział, co o tym myśleć. Bał się przebywać tak blisko człowieka, który próbował go zamordować, ale z drugiej strony bardzo podziwiał śmiałość Valentine'a. Ile odwagi potrzeba, żeby zakraść się do fortecy Ligi, największego wroga Londynu! O podobnych przygodach Valentine pisał w książkach, które Tom czytał po kilka razy z zapartym tchem, do późnej nocy siedząc pod kołdrą z latarką.

Valentine zakończył rytuał i poszedł dalej. Na chwilę Tom zgubił go w tłumie, potem jednak znów spostrzegł czerwony płaszcz mnicha, wspinającego się po szerokich schodach. Poszedł za nim, zachowując bezpieczną odległość. Mijał żebraków, strażników, sprzedawców gorących dań. Nikt z nich nie podejrzewał, że człowiek w czerwonej szacie nie jest świątobliwym mnichem. Valentine szedł z pochyloną głową i wspinał się po schodach tak szybko, że Tom nie czuł się zagrożony, podążając dwadzieścia, trzydzieści kroków za nim. Wciąż jednak nie wiedział, co powinien zrobić. Czy powinien odszukać Hester i powiadomić ją, że morderca jej rodziców jest w mieście? Valentine musi mieć jakąś bardzo ważną misję do spełnienia. Może zbiera informacje, dzięki którym inżynierowie

dowiedzą się, gdzie strzelać? Wydając go Hester, Tom zdradziłby rodzinne miasto...

Wspinał się na schody, zapominając o bólu w piersiach. Tarasy Batmunkh Gompa oświetlone były lampami i pochodniami, balony powietrznych taksówek żarzyły się wewnętrznym światłem, kiedy zlatywały na niższe piętra lub wzbijały się wyżej niczym dziwne morskie stwory, pływające wokół rafy koralowej. Tom zaczął zdawać sobie sprawę z tego, że wcale nie chce, żeby Valentine'owi się powiodło. Londyn nie był wcale lepszy od Tunbridge Wheels. Nie można pozwolić, żeby to piękne, starożytne miasto zniknęło z powierzchni ziemi!

– To Valentine! – zawołał, zrywając się do biegu i próbując ostrzec przechodniów przed niebezpieczeństwem. Oni jednak przypatrywali mu się, nie rozumiejąc, co mówi. Kiedy w końcu dobiegł do mężczyzny w czerwonym płaszczu i ściągnął mu z głowy kaptur, zobaczył okrągłą twarz mnicha, mrugającego ze zdziwienia oczami.

Tom rozejrzał się nerwowo dookoła i zorientował się, co się stało. Valentine wszedł na inne schody, a on śledził nie ten czerwony płaszcz. Czym prędzej zbiegł z powrotem na plac. Valentine był ledwie widoczny – mała czerwona plamka, wspinająca się między latarniami ku... lądowisku wielkich podniebnych niszczycieli.

– Valentine! – krzyknął znowu Tom, pokazując go palcem przechodniom, ale nikt nie mówił tu po angielsku. Niektórzy uznali go za wariata, inni myśleli, że ostrzega ich przed Meduzą, która ma za chwilę wystrzelić. Na placu zapanowała panika, rozbrzmiały gongi bijące na alarm.

Najpierw przyszło mu do głowy, żeby znaleźć Hester, ale nie miał pojęcia, gdzie jej szukać. Potem podbiegł do jednego z balonów, wsiadł do kosza i zawołał:

– Za tym mnichem!

Lecz taksówkarz tylko się uśmiechnął i pokręcił głową, dając do zrozumienia, że nie wie, o co chodzi.

– Feng Hua! – krzyknął Tom, przypominając sobie przydomek Anny Fang. Taksówkarz uśmiechnął się jeszcze szerzej, pokiwał

głową i odciążył balon, który ruszył w górę. Trzeba odnaleźć pannę Fang. Ona będzie wiedziała, co zrobić. Tom przypomniał sobie, jak powierzyła mu stery „Jenny Haniver”, gdy lecieli przez góry, i zrobiło mu się głupio, że pokłócił się z nią u gubernatora.

Zamiast koło pałacu, balon wylądował na tarasie, gdzie była przycumowana „Jenny Haniver”. Taksówkarz wskazał na pobliską gospodę.

– Feng Hua! – powiedział. – Feng Hua!

Tom pomyślał, że taksówkarz zawiózł go przed gospodę, która nazywała się tak samo, jak panna Fang, lecz w tej właśnie chwili na jednym z balkonów zobaczył jej czerwony płaszcz. Wetknął taksówkarzowi do ręki wszystkie pieniądze, jakie miał, krzycząc: „Reszty nie trzeba!”, wyskoczył z balonu i pognął do gospody, zostawiając zdezorientowanego taksówkarza, który tępych wzrokiem wpatrywał się w obce monety z wizerunkiem Quirke’a i Crome’a.

Panna Fang siedziała na balkonie z kapitanem Khorą i zadziorną lotniczką z Kerali, która tak się wściekła na Toma. Pili herbatę, pogrążeni w rozmowie. Kiedy Tom wbiegł na balkon, podnieśli się z krzesel.

– Gdzie Hester?! – krzyknął, dysząc ciężko.

– Na pokładzie „Jenny Haniver”. Znów ma przyływ złego humoru – wyjaśniła panna Fang. – Dlaczego pytasz?

– Jest tutaj Valentine! Przebrany za mnicha!

Muzycy w gospodzie przestali grać. W oddali słychać było gongi, bijące na alarm.

– Valentine, tutaj? – prychnęła dziewczyna z Kerali. – Kłamiesz! Myślisz, barbarzyńco, że uda ci się nas nastraszyć?!

– Przestań, Sathyo! – Panna Fang chwyciła Toma za ramię. – Jest sam?

Tom czym prędzej zrelacjonował jej, co widział. Panna Fang zmarszczyła brwi i zagwizdała przez zęby.

– Chce zniszczyć naszą flotę!

– Jeden człowiek nie może zniszczyć całej floty! – zaprotestował Khora, uśmiechając się na myśl o tak niedorzecznym pomysłe.

– Nie znasz Valentine’a! – powiedziała panna Fang. Wstała od

stołu, podniecona myślą o starciu z najgroźniejszym agentem Londynu. – Sathyo, zawiadom strażę, powiedz im, że Wysokie Gniazdo jest w niebezpieczeństwie – rozkazała. A potem zwróciła się do Toma: – Dziękuję, że nas ostrzegłeś. – Doskonale wiedziała, jak trudną decyzję musiał podjąć.

– Trzeba zawiadomić Hester! – powiedział Tom.

– W żadnym wypadku! – odparła. – Zabiłaby Valentine’a albo sama dałaby się zabić. Musimy go dostać żywego, trzeba go przesłuchać. Zaczekaj tutaj, aż będzie po wszystkim.

Uśmiechnęła się do niego jeszcze raz i wybiegła razem z Khorą z ogarniętej paniką gospody. Była zdecydowana, odważna i bardzo piękna. Tom zrozumiał, dlaczego darzono ją tutaj takim szacunkiem.

Po chwili znów pomyślał o Hester. Co będzie, kiedy się dowie, że widział Valentine’a i ukrył to przed nią?

– Wielki Quirke’u! – wykrzyknął. – Idę do niej!

Sathya bez słowa gapiła się na niego. Już nie była taka pewna siebie, wyglądała na przestraszoną i zagubioną.

– Słyszałaś, co powiedziała panna Fang! – krzyknął do niej Tom.
– Powiadom strażę!

Zbiegł z powrotem na taras i pognał w stronę miejsca, gdzie stała „Jenny Haniver”.

– Hester! – krzyknął.

Hester wyszła do niego, zasłaniając chustą twarz. Opowiedział jej wszystko. Wysłuchiwała go w milczeniu, z zimnym blaskiem w oczach. A potem pobiegła tak szybko, że nie mógł jej dogonić na długich, niekończących się schodach.

Gdy Tom i Hester zbliżali się do szczytu wielkiego muru, powietrze stało się rzadsze i mroźne, ich twarze muskały płatki śniegu. Zobaczyli przed sobą oświetloną latarniami dużą platformę, skąd startował tankowiec, który pozbył się właśnie zapasu paliwa. Nagle z tunelu w murze buchnął skłębiony strumień ognia, potem następny i następny, jakby w Wysokim Gnieździe mieszkały smoki. Liźnięty płomieniem balon tankowca eksplodował z hukiem, gondola runęła w dół, a wkrótce wokół niej rozkwitły białe czasze spadochronów. Hester zatrzymała się

na moment, spojrzła na Toma jasnymi od ognia oczami.

– Zrobił to! Spóźniliśmy się! Wysadził całą flotę!

Pobiegli dalej. Przy każdym oddechu Tom czuł ból w piersiach, mroźne powietrze drażniło mu gardło, a pod nogami chrzęścił śnieg. Brązowa brama była otwarta na oścież, ze środka wylewał się tłum ludzi osłaniających twarze od ognia i dymu. Niektórzy wynosili rannych towarzyszy. Przy wejściu Tom dostrzegł Khorę, którego opatrywali dwaj pracownicy z obsługi naziemnej.

Kiedy Tom i Hester podbiegli do niego, podniósł wzrok.

– Valentine! – zacharczał. – Oszukał ochronę, mówiąc, że chce pobłogosławić statki. Podkładał ładunki, kiedy wbiegliśmy z Anną do hangaru. Och, Tom, nie przypuszczaliśmy, że ktoś może uczynić coś takiego! Nie byliśmy przygotowani! Cała nasza flota... Mój „Mokele Mbembe”... – Zakastał, plując krwią. Miecz Valentine’a przebił mu płuco.

– A panna Fang? – zapytał Tom.

Khora pokręcił tylko głową. Nic o niej nie wiedział. Hester wbiegła do stojącego w płomieniach hangaru, nie zważając na okrzyki ludzi, którzy próbowali ją powstrzymać. Tom podążył za nią.

Poczuł się tak, jakby wszedł do rozgrzanego pieca. W tej dużej jaskini połączonej z mniejszymi grotami trzymano wojenne statki Ligi. Valentine podłożył pod nie bomby fosforowe. W białym ogniu pożaru widać było teraz czarne szkielety sterowców.

– Hester! – krzyknął Tom, ale jego głos utonął w huku płomieni. Zauważył ją kilka metrów przed sobą: biegła wąskim korytarzem, prowadzącym w głąb groty. Nie pójdę za nią, nie ma mowy! – pomyślał. Jeżeli Hester chce się upiec, to jej sprawa... Kiedy jednak zawrócił do wyjścia, w gondolach płonących statków zaczęła wybuchać amunicja. Wszędzie latały ze świstem rakiety, odbijając się z hukiem o kamienne ściany. Wbiegł do najbliższego tunelu, modląc się w duchu do wszystkich bogów, jakich znał.

Poczuł na twarzy powiew świeżego powietrza. A więc tunel prowadzi na drugą stronę muru, do jednego ze stanowisk

strzelniczych.

– Hester! – zawołał.

Odpowiedziało mu tylko echo. Za plecami wciąż czuł żar ognia i słyszał stłumione huczenie pożaru. Pobiegł dalej. Zatrzymał się w miejscu, gdzie korytarz rozwidłał się. W półmroku zauważył jakąś leżącą postać. Młody lotnik rozplątany mieczem Valentine'a. Tom odetchnął z ulgą, że to nie Hester ani panna Fang.

Przyjrzał się obu tunelom. Którym pójść?

– Hester?! – zawołał rozgorączkowany.

„Hester, Hester” – odpowiedziało echo. Zabłąkany pocisk z hangaru świsnął mu nad uchem i uderzył w ścianę tuż nad jego głową. Tom instynktownie uskoczył na bok i pobiegł korytarzem po prawej stronie.

Usłyszał inne dźwięki, ostrzejsze i wyraźniejsze od przytłumionych odgłosów pożaru – dzwonienie metalu o metal. Zbiegł po wąskich, śliskich schodkach i zobaczył przed sobą światło. Znalazł się na szerokim tarasie z wymierzoną na zachód wyrzutnią raketową, stojącą w tańczących na wietrze płomieniach, które oświetlały zakrwawione ciała artylerzystów, leżące na śniegu, i dwie walczące na miecze postaci. Valentine i panna Fang bili się zaciekle, zadając i odparowując ciosy, tańcząc po całym tarasie.

Tom przykucnął w mroku u wejścia, z przejściem obserwując pojedynek. Valentine okazał się wspaniałym szermierzem. Zdarł z siebie mniszą szatę, odsłaniając śnieżnobiałą koszulę, czarne spodnie i wysokie buty. Zręcznie unikał ciosów, błyskawicznie przechodząc do kontrataku. Spotkał jednak godną siebie przeciwniczkę. Oburącz trzymając miecz, panna Fang natarła na Valentine'a z impetem, wyprzedzając każdy jego cios, aż w końcu wytrąciła mu broń z ręki. Valentine schylił się, żeby ją podnieść, lecz klinga jej miecza dosięgła już jego gardła i strużka krwi spłynęła na biały kołnierz.

– Brawo! – wykrzyknął i uśmiechnął się tak samo jak wtedy w Trzewiach do Toma: uprzejmie, z lekkim rozbawieniem. – Brawo, Feng Hua!

– Milcz! – warknęła. – To nie zabawa...

Valentine roześmiał się.

– Przeciwnie, mój kwiatuszku. To najlepsza zabawa na świecie, a moja drużyna wygrywa. Widziałaś, jak pali się wasza podniebna flota? Powinniście lepiej pilnować hangaru. Spoczęliście na laurach, dumni z tego, że Liga przetrwała tysiąc lat. Ale świat się zmienia...

Gra na zwłokę – pomyślał Tom. Ale dlaczego? Nie miał broni ani szans na ucieczkę... Co zamierzał osiągnąć naśmiewaniem się z panny Fang? W pierwszej chwili Tom chciał do nich podbiec, zabrać miecz i stanąć u boku panny Fang, lecz w Valentine było coś strasznego i niebezpiecznego nawet wtedy, kiedy klęczał bezbronny na śniegu. Tom nastawił uszu, mając nadzieję, że usłyszy tupot żołnierzy biegnących tunelem na pomoc. Słyszał jednak tylko odległe bicie gongów i huk pożaru po drugiej stronie muru.

– Powinnaś zmienić front i zacząć pracować dla Londynu, moja droga – powiedział Valentine. – Jutro o tej porze z wielkiego muru zostanie tylko kupa gruzu. Będziesz potrzebowała nowego pracodawcy. Wasza Liga jest skończona...

Z góry padł na śnieg jasny snop światła. Reflektor powietrznego statku. Panna Fang cofnęła się oślepiąca, Valentine skoczył do przodu, chwycił miecz i przeszył ostrzem jej gardło. Przez chwilę ślaniai się oboje jak pijani tancerze. Byli tak blisko, że Tom wyraźnie widział klingę miecza sterczącą z zakrwawionej szyi Anny Fang.

– Hester Shaw cię znajdzie. Znajdzie i... – wyszeptała, dławiąc się krwią.

Valentine wyciągnął miecz, a panna Fang osunęła się na śnieg. Londyński szpieg odwrócił się i podbiegł do krawędzi tarasu. Z blasku światła wyłonił się ciemny kształt „Windy Na Trzynaste Piętro”.

29. POWRÓT DO DOMU

Czarny sterowiec, niesiony podmuchami wiatru, bezgłośnie przyleciał na miejsce spotkania, gdy obrońcy Batmunkh Gompa byli zajęci gaszeniem pożaru w hangarze. Teraz silniki obudziły się do życia, wprawiając w ruch płatki śniegu, zagłuszając krzyk przerażenia, jaki wyrwał się z ust Toma.

Valentine zwinnie wdrapał się na wyrzutnię raketową i skoczył w przepaść. Przez chwilę leciał w powietrzu z rozpostartymi ramionami niczym ptak, aż złapał drabinkę linową, którą rzucili mu Pewsey i Gench, po czym wdrapał się do gondoli.

Tom wybiegł na taras i nagle znalazł się w ciemności. Reflektor zgasł tak samo niespodziewanie, jak się zapalił. Jedna z rakiet wystrzelona z ziemi trafiła w gondolę, rozległ się brzęk rozbijanego szkła, lecz czarny statek już oddalał się od muru. Toma, klęczącego nad panną Fang, uderzył potężny podmuch wiatru od wielkich śmigieł.

– To niesprawiedliwe! – płakał, potrząsając nią, jakby miał nadzieję, że się obudzi. – Poczekaj, aż oślepiło cię światło! Pokonałaś go!

Panna Fang nie odpowiadała, patrzyła przed siebie z niemym zdziwieniem martwych oczu.

Tom usiadł koło niej na czerwonym śniegu, próbując zebrać myśli. Teraz trzeba opuścić Batmunkh Gompa. I to szybko, zanim nadjedzie Londyn. Jednak na samą myśl, że znowu musi uciekać, ogarnęło go zniechęcenie. Miał już dość błąkania się po całym świecie i dostosowywania się do planów innych ludzi. Nagle poczuł niepohamowaną nienawiść do Valentine'a, który leciał teraz do domu, gdzie czekało go powitanie godne największego bohatera. To wszystko jego wina! To on zrujnował mu życie, to on oszpecił Hester i zabił jej rodziców! To on dał Cechowi Inżynierów Meduzę. Hester miała rację – powinien pozwolić jej zabić Valentine'a.

Usłyszał hałas na drugim końcu tarasu. Podniósł wzrok i zobaczył coś, co przypominało wielkiego pająka, który spadł z sufitu. Była to Hester. Pobiegła złym korytarzem i znalazła się na platformie dziesięć metrów wyżej. Schodząc po murze, spadła z dwóch metrów na taras. Spojrzała na leżącą bez życia pannę Fang, potem odwróciła się i podeszła do krawędzi platformy, wpatrując się w mrok z tańczącymi na wietrze płatkami śniegu.

– To ja powinnam być na jej miejscu – powiedziała. – Przynajmniej dopilnowałabym, żeby zabrać go ze sobą.

Tom patrzył na nią. Czuł dławiący żal i bezsilną wściekłość. Wiedział teraz, jak musiała się czuć Hester od tego dnia, kiedy Valentine zamordował jej rodziców.

Sięgnął pod kołnierz płaszcza Anny, odnalazł kluczyk na rzemyku i zerwał go z jej szyi. Potem wstał, podszedł do Hester i objął ją ramieniem. Była tak sztywna, że miał wrażenie, że obejmuje posąg. Nad ich głowami wciąż strzelały działa w próżnej nadziei, że trafią „Windę Na Trzynaste Piętro”. Tom pochylił się do ucha Hester i krzyknął:

– Wracajmy do domu!

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Zwariowałaś?

– Nie rozumiesz? Ktoś musi go ukarać! Miałaś rację, nie powinienem być cię wtedy powstrzymywać, chociaż policja na pewno by cię złapała i zabiła i nigdy byśmy się nie poznali. Chcę ci teraz pomóc zemścić się na nim. Lecimy do Londynu!

– Rzeczywiście zwariowałaś – powiedziała Hester.

W tunelu natknęli się na biegnących żołnierzy: przerażonych, osmalonych. Usłyszeli za plecami ich krzyki, kiedy znaleźli zwłoki na tarasie.

Nocne niebo nad Batmunkh Gomba było pełne dymu i strzępów balonów. W Wysokim Gnieździe wciąż jeszcze szalał pożar, gdy na drodze w wąwozie pojawili się uciekinierzy. Płynęli w głąb gór niczym woda wylewająca się przez zniszczoną tamę. Bez floty powietrznej wielki mur był zgubiony. Mieszkańcy miasta czym prędzej ładowali wozy i balony, objuczali konie i osły, i uciekali przed nadciągającym Londynem.

Na lotnisku sterowce już wzbijały się w zasnutym dymem niebo i odlatywały na południe. Sathya usiłowała zmobilizować ogarniętych paniką żołnierzy. „Zostańcie! Brońcie muru! Południowa flota przyleci nam na pomoc! Musimy wytrzymać tylko tydzień!” – krzyczała. Wszyscy jednak wiedzieli, że wtedy już nie będzie Batmunkh Gompa, a Londyn wedrze się na terytorium Ligi. „Zostańcie i brońcie muru!” – błagała, lecz statki wciąż podrywały się w górę.

„Jenny Haniver” stała przycumowana, ciemna i cicha. Kluczem zdjętym z szyi Anny Fang Tom otworzył przednie drzwiczki. Po chwili znalazł się już w kabinie pilota, wpatrując się w deskę rozdzielczą. Jak dużo było tam wskaźników, przycisków i dźwigniek!

– Jesteś pewien, że potrafisz sobie poradzić? – zapytała Hester.

– Jasne – odparł.

Wcisnął po kolei kilka guzików. Włączyły się światła, zabuczał ekspres do kawy, otworzyły się drzwiczki, które przed chwilą zamknął. Wcisnął kolejny guzik. Podwieszony pod sufitem ponton oberwał się i walnął go w głowę.

– Na pewno? – zapytała z niedowierzaniem Hester, pomagając mu wstać.

Tom pokiwał głową.

– W dzieciństwie budowałem modele sterowców, więc orientuję się, jak działają. Poza tym panna Fang pokazała mi wszystko, kiedy lecieliśmy przez góry... Szkoda tylko, że te napisy nie są po angielsku.

Zastanowił się przez chwilę, a potem pociągnął jedną z dźwigni. Tym razem silniki obudziły się do życia. Ludzie spoglądali z lękiem na ruszający sterowiec; słyszeli już o śmierci Feng Hua i sądzili, że to jej niespokojny duch dostał się na pokład „Jenny Haniver”. Tylko Sathya zauważyła Toma i Hester za sterami i podbiegła w tę stronę.

Obawiając się, że będzie próbowała ich zatrzymać, Tom sięgnął do następnej dźwigni i ustawił śmigła w pozycji startowej. Roześmiał się radośnie, widząc, jak statek reaguje na ruchy jego ręki, słysząc znajomy zgrzyt i syk wentylów nad głową oraz

trzask otwierających się uchwytów cumujących. Ludzie machali rękami i krzyczeli, a Sathya wyciągnęła pistolet, lecz w ostatnim momencie kapitan Khora, podtrzymywany przez dwóch sanitariuszy, podszedł do niej i łagodnie zabrał jej broń. Popatrzył na Toma i uniósł rękę, życząc mu szczęścia. Statek uniósł się niepewnie w niebo, wzbił się nad dym z Wysokiego Gniazda. Tom spojrział ostatni raz na Batmunkh Gompa, przeleciał ponad wielkim murem i skierował „Jenny Haniver” na zachód.

Wracił do domu.

30. POWRÓT BOHATERA

Chmury, z których padał śnieg w Batmunkh Gompa, pognały na zachód, powodując w Londynie rześisty deszcz. Kiedy „Winda Na Trzynaste Piętro” przyleciała następnego dnia do miasta, wciąż lało jak z cebra. W Circle Parku było pusto, jeśli nie liczyć kilku robotników z Przetwarzania Odpadów, którzy ścinali ostatnie drzewa, ale Cech Inżynierów został poinformowany o powrocie Valentine’a i gdy wielki czarny statek zbliżył się do lądowania, inżynierowie wybiegli na pomost – w gumowych płaszczach, z latarkami i lśniącymi od deszczu łysymi głowami.

Katherine przyglądała się z okna sypialni, jak obsługa naziemna wciąga statek do hangaru. Otworzyły się drzwiczki gondoli. Magnus Crome wystąpił do przodu razem z czeladniczką, która trzymała nad jego głową biały parasol. Teraz tata schodzi po kładce, łatwo go poznać po wzroście i pewnym siebie sprężystym kroku.

Jego widok sprawił, że dziewczyna poczuła kłujący ból w piersi, jakby serce miało jej za chwilę pęknąć z żalu i gniewu. Jeszcze niedawno chciała go powitać jako pierwsza na pokładzie miasta. Ale teraz nie była pewna, czy w ogóle potrafi z nim rozmawiać.

Przez mokrą szybę widziała, jak tata mówi coś do Crome’a, jak się śmieje i kiwa głową. Na chwilę straciła go z oczu w masie białych płaszczy, a gdy zobaczyła go ponownie, szybkim krokiem szedł już sam po mokrej murawie do Domu Klio, zastanawiając się pewnie, dlaczego córka nie wyszła mu na powitanie.

Katherine przez chwilę straciła głowę, chciała się ukryć, lecz obecność Psa dodała jej odwagi. Zasunęła żaluzje z żółwich skorup i czekała, aż usłyszała kroki na schodach, a potem pukanie do drzwi.

– Kate? – dobiegł przytłumiony głos. – Kate, jesteś tam? Chcę ci opowiedzieć o swoich przygodach! Właśnie przyleciałem z Shan Guo i mam całą masę ciekawych historyjek! Kate? Dobrze się

czujesz?

Uchyliła drzwi. Ojciec stał po drugiej stronie, ociekając wodą. Uśmiech zniknął z jego twarzy, gdy ujrzał jej zażawioną, bladą od niewyspania twarz.

– Kate, już w porządku! Wróciłem!

– Widzę – powiedziała. – Ale nic nie jest w porządku. Żałuję, że nie zginąłeś w górach.

– Co takiego?

– Wiem, co zrobiłeś Hester Shaw – odparła.

Wpuściła go do pokoju i zamknęła drzwi, przywołując surowo Psa, który podbiegł do Valentine'a, żeby się przywitać. W pokoju panował mrok, ale widziała, jak ojciec spojrzał na stos książek na biurku, a potem na nią. Miał świeżo opatrzoną ranę na szyi i plamę krwi na kołnierzu. Owinęła pukiel włosów wokół palca, z trudem powstrzymując się, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Valentine usiadł na łóżku. Przez całą drogę z Batmunkh Gompa dźwięczały mu w głowie słowa Anny Fang: „Hester Shaw cię znajdzie”. Teraz poczuł się tak, jakby wbito mu nóż w serce.

– Och, naprawdę nie masz się czym martwić – ciągnęła cierpko Katherine. – Nikt inny o tym nie wie. Dowiedziałam się, jak się nazywała ta dziewczyna. A doktor Arkengarth powiedział mi, w jaki sposób została zamordowana Pandora Shaw. Zdarzyło się to siedem lat temu. Właśnie wówczas wróciłeś z ekspedycji, a lord burmistrz był taki zadowolony... Poskładałam więc wszystko do kupy i...

Wzruszyła ramionami. Gdy już natrafiła na trop, łatwo było pójść nim dalej. Pokazała mu książkę, którą czytała. Były to Przygody na martwym kontynencie, jego własny opis podróży do Ameryki. Pokazała mu kobietę na grupowej fotografii członków ekspedycji. Stała obok Valentine'a i uśmiechała się.

– Na początku nie połączyłam tych faktów, bo zmieniła nazwisko. Sam ją zamordowałeś? Czy zleciłeś to Pewseyowi i Genchowi?

Valentine spuścił głowę. Był zły, rozżalony, zawstydzony. Katherine miała nadzieję, że ojciec zaprzeczy, udowodni, że to nie on był zabójcą państwa Shaw, lecz gdy zobaczyła jego

spuszczoną głowę, zdała sobie sprawę, że nie zaprzeczy, że słusznie go podejrzewała.

- Musisz zrozumieć, Kate - powiedział. - Zrobiłem to dla ciebie...

- Dla mnie?

Podniósł wreszcie głowę, ale bał się spojrzeć jej w oczy.

- Chciałem, żebyś miała wszystko. Chciałem, żebyś wyrosła na damę, nie była takim padliniarzem, jak ja. Musiałem dać Crome'owi coś, czego bardzo pragnął. Pandorę znałem z czasów podróży do Ameryki. Była ze mną, kiedy odnalazłem plany i kody dostępu do Meduzy. Nie przypuszczaliśmy, że kiedykolwiek uda się ją zrekonstruować. Później nasze drogi się rozeszły; Pandora była antymobilistką, wyszła za jakiegoś rolnika i zamieszkała na Wyspie Dębów. Nie miałem pojęcia, że wciąż myśli o Meduzie. Wybrała się do Ameryki, tym razem sama, i odkryła drogę do innej części podziemi, które odkopaliśmy. Znalazła tam...

- Komputer - dokończyła za niego niecierpliwie. - Elektroniczny mózg Meduzy.

- Tak - szepnął Valentine, zaskoczony, że tak dużo wiedziała. - Napisała mi o tym. Wiedziała, że bez planów i kodów maszyna była bezużyteczna, a te znajdowały się w Londynie. Pomyślała, że moglibyśmy to wszystko sprzedać i podzielić się pieniędzmi. A ja wiedziałem, że gdybym dał Crome'owi Meduzę, zabezpieczyłbym mój i twój los!

- Więc zabiłeś ją - powiedziała Katherine.

- Nie chciała sprzedać Meduzy Crome'owi. Była antymobilistką, jak już mówiłem. Chciała ją przekazać Lidze. Musiałem ją zabić, Kate.

- A Hester? - zapytała Katherine. - Dlaczego ją skrzywdziłeś?

- Nie chciałem - odparł z żalem. - Musiała się obudzić i coś usłyszeć. Była śliczną dziewczynką, mniej więcej w twoim wieku, tak do ciebie podobną, że mogłaby uchodzić za twoją siostrę. Kiedyś kochałem Pandorę...

- A więc Hester mogła być moją siostrą? - spytała zdławionym głosem Katherine. - Twoją córką?

- Kiedy odwróciłem się od ciała jej mamy i zobaczyłem, jak na

mnie patrzy... Musiałem ją uciszyć. Zamachnąłem się bez zastanowienia i rozciąłem jej twarz. Myślałem, że nie żyje, ale nie potrafiłem zdobyć się na to, żeby sprawdzić. Uciekła, odpłynęła łódką. Myślałem, że utonęła. Aż tu nagle tamtego wieczoru w Trzewiach...

– A Tom... – powiedziała Katherine. – Dowiedział się, jak się nazywała, więc musiałeś go zabić, bo gdyby powiedział o tym historykom, prawda wyszłaby na jaw.

Valentine spojrział na córkę.

– Nie rozumiesz, Kate. Gdyby ludzie poznali prawdę, nawet Crome nie mógłby mnie obronić. Byłbym skończony, spadłbym na samo dno, a ty razem ze mną.

– Ale Crome o wszystkim wie, prawda? – zapytała Katherine. – Dlatego jesteś mu wierny i posłuszny... jak pies. Dostajesz pieniądze, a twoja córka może udawać wysokolondyńską damę.

Za oknami padał deszcz i cały pokój drżał, gdy Londyn pędził po rozmokłej ziemi. Pies leżał z łbem na przednich łapach, spoglądając to na swoją panią, to na Valentine'a. Pierwszy raz widział, żeby się kłócili, i wcale mu się to nie podobało.

– Kiedyś cię podziwiałam – powiedziała Katherine. – Myślałam, że jesteś najlepszy, najdzielniejszy, najmądrzejszy na świecie. Ale to nieprawda. Czy nie zdawałeś sobie sprawy, do czego Crome użyje tej maszyny?

Valentine spojrział na nią ostro.

– Jasne, że wiedziałem! Jedno miasto pożera inne. Taki jest świat, Kate. Szkoda, że Panzerstadt-Bayreuth zostało zniszczone, ale wielki mur musi upaść, jeżeli Londyn ma przetrwać. Potrzebujemy nowego terenu łowieckiego.

– Przecież tam żyją ludzie! – jęknęła Katherine.

– Tylko antymobiliści, Kate, a większość z nich i tak zdąży uciec.

– Powstrzymają nas. Mają statki powietrzne...

– Nie. – Valentine uśmiechnął się z dumą. – Jak myślisz, dlaczego Crome wysłał mnie na wschód? Północna flota Ligi już nie istnieje. Dzisiaj wieczorem Meduza zniszczy ten ich sławny mur.

– Wstał i wyciągnął ku niej rękę z uśmiechem, jakby zwycięstwo, do którego tak się przyczynił, zmyło jego grzechy. – Crome mówi,

że wystrzał jest zaplanowany na dziewiątą. W ratuszu odbędzie się przyjęcie z tej okazji. Oto początek nowej ery! Pójdiesz ze mną, Kate? Bardzo mi zależy...

Jej ostatnia nadzieja, że ojciec nie wiedział o szalonym planie Crome'a, prysła.

– Nie rozumiesz, że to, co robi Crome, jest złe? Musisz zniszczyć tę okropną maszynę!

– Bez niej Londyn byłby bezbronny. Jesteśmy w środku Terenu Polowań – zauważył Valentine.

– I co z tego? Wszystko pozostanie tak, jak dawniej. Będziemy gonić i pożerać mniejsze miasta, a jeśli zostaniemy połknięci przez większe miasto... przynajmniej nie będziemy ludobójcami!

Nie mogła dłużej z nim przebywać w jednym pokoju. Wybiegła, a Valentine nie próbował jej zatrzymać. Nawet jej nie zawołał, stał błądliwy i oszołomiony. Zalewając się łzami, Katherine szła przez park z Psem przy nodze. Muszę coś zrobić! – myślała gorączkowo. – Muszę unieszkodliwić Meduzę...

Pobiegła na stację wind. Na ekranach podano właśnie radosną wiadomość o powrocie Valentine'a do Londynu.

31. DONOSICIEL

Londyn nabierał prędkości, pędząc w stronę gór. Półstatyczne miasteczka, które od lat ukrywały się na płaskowyżu, uciekały przed nim w panice, pozostawiając zielone pola uprawne i naziemne domki. Londyn w ogóle nie zwracał na nie uwagi. Teraz wszyscy mieszkańcy znali plan Crome'a. Pomimo zimna ludzie zbierali się na balkonach obserwacyjnych i patrzyli przez lunety w stronę Shan Guo, ciekawi, jak wygląda legendarny wielki mur.

- Już niedługo! - mówili do siebie.
- Jeszcze tej nocy!
- Zdobędziemy całkiem nowe terytorium!

Pracownicy muzeum przyzwyczaili się już do Katherine i Psa i nikt nie zwracał na nią uwagi, kiedy biegła przez sale z białym wilkiem przy boku. Kilka osób zauważyło przerażenie na jej twarzy i łzy w oczach, lecz nim zdążyli zapytać, co się stało, była już za daleko.

Wpadła do gabinetu pana Nancarrowa. Poczowała zapach tytoniu fajkowego i terpentyny, ale ani Nancarrowa, ani Bevisa Poda nie było w środku. Wybiegła z powrotem na korytarz, gdzie gruby czeladnik trzeciej kategorii mył podłogę.

- Pan Nancarrow jest w magazynie, panienko - oznajmił. - Razem z tym nowym.

Kiedy Katherine wbiegła do magazynu, „nowy” pomagał panu Nancarrowowi wynieść obraz. Było to wielkie, oprawione w pozłacaną ramę płótno pod tytułem Quirke nadzoruje przebudowę Londynu autorstwa Walmarta Strange'a. Na jej widok Bevis upuścił obraz. Ciężka rama z hukiem spadła na podłogę.

- Panie Pod! - powiedział z wyrzutem Nancarrow, lecz gdy

zobaczył twarz Katherine, zapomniał o obrazie. – Panna Valentine! Wygląda na to, że przydałaby się panience filiżanka dobrej herbaty. – Stwierdziwszy to, zniknął w labiryncie regałów i skrzyń.

– Kate! – Bevis Pod niepewnie zrobił krok w jej stronę. – Co się stało? – Nie miał wprawy w pocieszaniu ludzi; nie uczono tego czeladników inżynierów. Sztywno wyciągnął ku niej ramiona i zdziwił się, gdy rzuciła mu się na szyję.

– Bevis! – jęknęła. – Teraz wszystko zależy tylko od nas. Musimy coś zrobić. Dzisiaj...

– Sami? – Zmarszczył brwi. – Myślałem, że twój ojciec nam pomoże...

– On już nie jest moim ojcem – powiedziała z goryczą. Trzymała się Bevisa kurczowo, jakby tylko on był w stanie wyprowadzić ją z tego okropnego labiryntu. – Ojciec jest człowiekiem Crome'a. Dlatego muszę zniszczyć Meduzę, rozumiesz? Muszę odkupić jego winy...

Nancarrow wszedł z powrotem do magazynu, niosąc dwa blaszane kubki.

– Och – mruknął zaskoczony, widząc, jak się obejmują. – To znaczy... Muszę lecieć. Wrócę za godzinę, może za dwie. A ty tu pracuj dalej, Pod...

Kiedy wychodził, omal nie wpadł na grubego czeladnika trzeciej kategorii, który mył podłogę na korytarzu.

– Na Quirke'a, Melliphant! – zawołał. – Nie mógłbyś nie wchodzić ludziom w drogę?

Jednak Herbert Melliphant nie znalazł się tu przypadkowo. Od kiedy został zdegradowany, gorączkowo szukał sposobu, jak powrócić na stanowisko czeladnika pierwszej kategorii. Parę dni temu zwrócił uwagę na Podą; ten obcy smarkacz był w doskonałej komitywie ze starszymi historykami, spotykał się z córką głównego historyka, nie spał we wspólnej sali z innymi czeladnikami i nie przychodził na lekcje. Melliphant słyszał, że Cech Inżynierów wciąż poszukuje ludzi, którzy wkradli się na zebranie w inżynierium, i zaczynał podejrzewać, że pomocnik pana Nancarrowa mógłby bardzo zainteresować doktora

Vambrace'a. Kiedy tylko Nancarrow zniknął z pola widzenia, Melliphant odłożył kubek i szczotkę i podkradł się do drzwi.

– Liga Antymobilistów nie może się bronić – mówiła panna Valentine. – Mój ojciec wkradł się do Batmunkh Gompa i wysadził w powietrze ich flotę. Dlatego sami musimy unieszkodliwić Meduzę.

– A co z historykami? – zapytał Bevis.

Katherine wzruszyła ramionami.

– Za bardzo się boją. Ale mogę to zrobić sama. Ojciec zaprosił mnie na przyjęcie do lorda burmistrza. Pójdę tam. Odnajdę ojca i powiem, że mu przebaczyłam, a potem pójdziemy razem do ratusza. Kiedy jednak inni będą kadzić Crome'owi i zajadać się serdelkami, zakradnę się do Meduzy i roztrzaskam ją. Jak myślisz, czy młotek wystarczy? Wiem, gdzie doktor Arkengarth trzyma klucze od składziku z narzędziami. Na pewno coś tam znajdę. Może lepszy będzie łom.

Zaśmiała się nerwowo. Bevis skrzywił się dziwnie. Obawiając się, że wyśmieje jej pomysł, pogłaskała go po policzku. Widziała, jak się zarumienił, czuła, jak szybko bije mu puls.

Pod z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Bomba – powiedział.

– Co?

– Meduza musi być olbrzymia, pewnie zajmuje pół katedry. Jeżeli naprawdę chcesz ją zniszczyć, potrzebne są materiały wybuchowe. Proszek do czyszczenia podłóg, którego używają w muzeum, zawiera azot. Jeżeli wymieszam go z substancją, której doktor Nancarrow używa do renowacji obrazów, i skonstruuję zegar...

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytała Katherine ze zdumieniem.

– Z lekcji chemii – odparł Bevis, wzruszając ramionami. – Miałem zajęcia w laboratorium...

– Czy wy, inżynierowie, zawsze musicie myśleć o takich rzeczach? – westchnęła. – O robieniu bomb i zabijaniu ludzi?

– Nie, nie! – zaprotestował. – Ale naukę można wykorzystać do różnych celów. Kate, jeżeli naprawdę chcesz to zrobić, skonstruuję ci bombę, którą będziesz mogła schować w torebce.

Jeśli uda ci się podejść do Meduzy, umieścisz ją obok głównego komputera, nastawisz zegar i uciekniesz. Pół godziny potem...

Melliphant słuchał każdego słowa z uchem przyklejonym do drzwi.

Szybciej, szybciej, jeszcze szybciej. Niecierpliwość lorda burmistrza udzieliła się miastu; tłoki silników pracowały w rytmie serca Crome'a, koła i gąsienice mknęły po ziemi jak myśli w jego głowie.

Po południu Valentine gorączkowo szukał Katherine. Chodził po parku, odwiedzał znajomych, stając nagle w drzwiach w poplamionej krwią, mokrej od deszczu koszuli i pytając: „Jest tutaj moja córka? Widzieliście ją?”

Teraz Valentine przechadzał się tam i z powrotem po salonie w Domu Klio. Z jego butów ściekała woda na ubłocony dywan. Chodził i chodził, próbując pozbyć się nieprzyjemnego chłodu, który ogarnął go w parku, zapomnieć o niepokoju.

W końcu usłyszał chrzęst kroków na podjeździe, kroki w korytarzu. Do pokoju wszedł Pewsey, tak samo przemoczony i nieszczęśliwy jak jego pan.

– Znalazłem ją, szefie! Jest w muzeum. Ostatnio spędzała tam dużo czasu. Tak mówi stary Creaber z recepcji...

– Jedziemy tam! – zawołał Valentine.

Pewsey popatrzył na wykrzywioną bólem, mokrą od łez twarz Valentine'a.

– Może lepiej będzie, jeśli zostawi ją pan na jakiś czas samą? W muzeum jest bezpieczna. Panienska potrzebuje czasu, żeby to wszystko przemyśleć. Wróci, kiedy będzie gotowa.

Valentine opadł na krzesło, a stary pilot obszedł cały pokój, zapalając lampy, bo na zewnątrz zaczynał zapadać zmrok.

– Wyczyściłem pański miecz i przygotowałem galowy strój. Wszystko czeka w garderobie – powiedział Pewsey. – Mamy dzisiaj przyjęcie u lorda burmistrza, pamięta pan? Wypadałoby pójść...

Valentine pokiwał głową, wpatrując się we własne dłonie.

– Dlaczego godziłem się na to wszystko przez tyle lat? Dlaczego nie postawiłem się Crome'owi? Dlaczego dałem mu Meduzę?

– Trudno mi powiedzieć, proszę pana...

Valentine westchnął, wstał i poszedł do garderoby. Żałował, że nie jest taki jak Kate. Że nie potrafi odróżnić dobra od zła. Żałował, że nie ma odwagi postawić się lordowi burmistrzowi. Ale jest już na to za późno... za późno.

Magnus Crome podniósł wzrok znad talerza i spojrzał na drżącego czeladnika historyków, którego Vambrace właśnie wprowadził do jego gabinetu.

– A więc, czeladniku Melliphant, zdaje się, że ma pan nam coś do powiedzenia?

32. CHUDLEIGH POMEROY WKRACZA DO AKCJI

Jeszcze niedawno chciała się zaszyć w jakiś kąt i umrzeć z rozpacz, ale teraz wiedziała, że jakoś sobie poradzi. Przypomniało się jej, jak się czuła po śmierci mamy – przybita i oszołomiona jej utratą, a jednocześnie zaskoczona, że życie toczy się dalej. A teraz przynajmniej miała Psa i Bevisa.

– Kate, potrzebuję drugiej śrubki, takiej jak ta, tylko dłuższej...

Przyzwyczała się do myśli, że Bevis Pod był uroczym, fajtłapowatym chłopcem potrzebującym jej opieki. Pewnie wszyscy historycy tak go oceniali. Tego wieczoru przekonała się jednak, że był dużo mądrzejszy od niej. Patrzyła, jak pracuje zgarbiony pod przenośną argonową lampką w kącie sali wystawowej starożytnych środków transportu, jak skrupulatnie odmierza proszek do szorowania podłóg i płyn do czyszczenia obrazów. Teraz montował mechanizm zegarowy z miedzianych kabli i części deski rozdzielczej starodawnego pojazdu, wkładając wszystko do torby, którą mu przyniosła.

– Śrubka, Kate!

– Ach, tak...

Zaczęła szperać w stosiku rozmaitych części, w końcu znalazła to, o co prosił. Spojrzała na zegarek. Była godzina ósma. Trzeba wrócić do Domu Klio, uśmiechnąć się i powiedzieć ojcu: „Przepraszam, że byłam taka głupia. Czy mogę pójść z tobą na przyjęcie do lorda burmistrza?”

– Proszę – oznajmił Bevis, podnosząc torbę. – Gotowe.

– Nie wygląda jak bomba.

– I właśnie o to chodzi! Zobacz.

Otworzył torbę i pokazał jej pakunek leżący w środku. Po naciśnięciu czerwonego guzika bomba zostanie uzbrojona, a zegar włączony.

– Wybuch nie będzie zbyt duży – powiedział. – Jeżeli jednak uda ci się podejść do komputera...

– Znajdę jakiś sposób – obiecała, biorąc od niego bombę. – Jestem przecież córką Valentine’a. Któż, jeśli nie ja, może mieć dostęp do Meduzy?

Bevis nie wyglądał na zadowolonego. Pewnie żał mu było tej wspaniałej maszyny o olbrzymiej sile obliczeniowej, która miała zostać zniszczona.

– Trzeba to zrobić – powiedziała.

– Wiem. Ale wolałbym pójść z tobą.

Uścisnęła go, a ich usta przywarły do siebie. Poczwała, jak drży, głaszcząc jej włosy. Pies zawarczał cicho. Być może był zazdrosny i bał się, że wkrótce zostanie porzucony jak biedne pluszowe zabawki, które stały na półkach w jej pokoju.

– Och, Bevis – szepnęła, odsuwając się od niego z drżeniem serca. – Co się z nami stanie?

Usłyszeli jakieś krzyki, dochodzące z dolnego piętra. Nie mogli zrozumieć ani słowa, ale oboje natychmiast zorientowali się, że musiało się wydarzyć coś niedobrego. W muzeum nikt nigdy nie odzywał się tak głośno.

Pies rzucił się do drzwi. Katherine i Bevis pobiegli za nim i przystanęli przy schodach. Wokół panował półmrok. Wychylili się przez lśniąca brązową poręcz i spojrzeli w dół. Znowu krzyki, potem trzask czegoś upadającego na posadzkę. Zobaczyli blask pochodni i usłyszeli wołanie Chudleigha Pomeroya:

– To skandal! Wtargnęliście na teren Cechu Historyków!

Oddział ochrony inżynierów pobiegł na górę. Gumowe podeszwy zadudniły na schodach, światło pochodni błyszczało na ich płaszczach i lśniących karabinach. Kiedy wbiegli na piętro, ujrzeni lśniące ślepia Psa, który zjeżył sierść, położył uszy po sobie i, szczerząc kły, przyczał się do skoku. Wycelowali w niego karabiny. Katherine złapała Psa za obroź i krzyknęła:

– Nic wam nie robi! Nie strzelajcie...

Ale i tak otworzyli ogień. Przeszyty pociskami wilk wyrwał się Katherine i z cichym skowytym upadł pod ścianą. Zrobiło się cicho. W świetle pochodni jego krew wyglądała na czarną. Katherine z trudem oddychała przez ściśnięte gardło. Wstrząsały nią dreszcze, nad którymi nie mogła zapanować. Jeden z

inżynierów warknął:

- Nie ruszać się!
- Pies... - jęknęła Katherine.
- Nie ruszać się. To bydlę nie żyje.

Z chmury niebieskiego dymu wyłonił się doktor Vambrace.

- Nie ruszaj się, Pod - powiedział, widząc, że chłopak spojrział nerwowo na Psa.

Wszedł na ostatni stopień i uśmiechnął się szeroko.

- Wszędzie cię szukaliśmy, czeladniku. Oddaj torbę.

Bevis wyciągnął rękę, a barczysty inżynier wyrwał z niej torbę i otworzył ją.

- Tak jak mówił Melliphant. Bomba.

Dwóch inżynierów popchnęło więźniów w kierunku schodów.

- Nie! - zaszlochała Katherine, próbując chwycić dłoń Bevisa, gdy odciągali ich od siebie. - Nie!

Jej głos odbił się od sufitu i poniósł echem po klatce schodowej. Pomyślała, że tak samo żałośnie i bezsilnie krzyczą dzieci, które zrobiły coś złego, a teraz chcą uniknąć kary. Kopnęła jednego z inżynierów w kostkę, ale on nawet na to nie zareagował.

- Dokąd nas zabieracie?

- Panienska pojedzie ze mną na górny pokład, na przyjęcie - odparł Vambrace. - A panienska przyjaciel wylądjuje w Trzewiach. - Uśmiechnął się, usłyszawszy przytłumiony jęk Bevisa. - O, tak, czeladniku Pod, czekają tam ciebie bardzo ciekawe eksperymenty.

- To nie jego wina! - zaprotestowała Katherine. Przez ten głupi plan najpierw straciła Psa, a teraz ma stracić Bevisa. - Zmusiłam go do tego! - krzyknęła. - Bevis nie ma z tym nic wspólnego!

Jednak Vambrace już się od niej odwrócił, a osiłek, który ją trzymał, zatkał jej usta śmierdzącą chemikaliami łapą.

Pojazd Valentine'a zatrzymał się na parkingu przed ratuszem, gdzie stały już limuzyny szefów innych cechów. Gench wysiadł i przytrzymał drzwiczki swemu panu, a potem poprawił mu fryzurę i wygładził czarny stój wieczorowy.

Valentine spojrział na niebo z pierzastymi chmurami oświetlanymi zachodzącym za horyzont słońcem. Wschodni

wiatr, niosąc zapach śniegu, przypomniał mu o Shan Guo. „Hester Shaw znajdzie cię” – powiedziała Anna Fang na chwilę przed śmiercią. Skąd wiedziała o Hester? Nie mogła jej spotkać. A może jednak Hester wciąż żyje? Może jakimś sposobem dostała się do Batmunkh Gompa? Czy czeka teraz na niego w górach, przygotowana, żeby znowu wskoczyć na pokład Londynu i spróbować go zabić? Albo skrzywdzić Katherine?

– Polatajcie „Windą” nad Londynem – powiedział. – Tym głupcom z Ligi może coś strzelić do głowy.

– Racja, szefie! – Piloci nie mieli ochoty uczestniczyć w przyjęciu wydanym przez lorda burmistrza. Lepiej polatać w chmurach i ewentualnie ustrzelić jakiegoś antymobilistę. Valentine poprawił krawat i szybko wszedł po schodach do ratusza.

Inżynierowie poprowadzili więźniów do głównej sali. Katherine jeszcze nigdy nie widziała tak opustoszałego muzeum. Gdzie się podzieli wszyscy historycy? Oczywiście nie mogli jej pomóc, ale chciała, żeby wiedziano, co się z nią stało. Nie słyszała też odgłosu łap Psa, do którego tak przywykła. Idący obok niej Bevis wpatrywał się tępo w posadzkę, jakby już widział Trzewia i to, co go tam czeka.

Nagle inżynierowie zatrzymali się.

Na dole, w foyer, stali historycy. W czasie, gdy ludzie Vambrace’a byli na piętrze, historycy pootwierali gabloty w galerii broni, uzbroili się w starodawne piki, muszkiety i zardzewiałe miecze, nawet przywdziali hełmy. Niektórzy okryli piersi pancierzami, inni spoglądali groźnie znad tarcz. Wyglądali jak halabardnicy z amatorskiego teatryku.

– Co to ma znaczyć? – warknął doktor Vambrace.

Chudleigh Pomeroy wystąpił do przodu z arkebuzem w garści. Katherine zauważyła, że inni historycy czaili się w mroku sali, za gablotkami i eksponatami. Jeden mierzył do inżynierów z flinty, stojąc za szkieletem dinozaura.

– Panowie! – odezwał się podniesionym głosem Pomeroy. – Znajdujecie się na terenie Cechu Historyków. Macie natychmiast

uwolnić tych młodych ludzi.

– Natychmiast! – zawołała doktor Karuna, wymierzając zakurzoną lufę muszkietu w głowę Vambrace’a.

Inżynier parsknął śmiechem.

– Starzy głupcy! Myślicie, że zdołacie mi się sprzeciwić? Wasz cech zostanie rozwiązany za to, co teraz robicie. Wasze kretyńskie pukawki trafią do pieców w maszynowni, wasze ciała połamiemy na katowskim stole w Trzewiach. Skoro tego chcecie, przejdziecie do historii! Przyszłość należy do inżynierów!

Na chwilę zaległa cisza, słychać było tylko echo głosu Vambrace’a. Potem zahuczały strzały i foyer zasnuł dym. Huknął arkebuz Pomeroya, zagrzmiała stara armata ukryta w niszy za kasą biletową, gdy doktor Nancarrow przyłożył zapalniczkę do lontu. Katherine widziała, jak olbrzymia kula zmiata Vambrace’a i dwóch ludzi, stojących obok niego. Stary doktor Arkengarth przewrócił się do tyłu, machając rękami. Inżynier, który ją trzymał, zadrgał konwulsyjnie, gdy pocisk z muszkietu przeszył jego gumowy strój.

Katherine padła na kolana, nie wiedząc, gdzie się schować. Z Vambrace’a nie zostało nic oprócz dymiących butów. Nawet byłoby to zabawne – scena jak z kreskówki – gdyby nie fakt, że jego stopy wciąż tam tkwiły. Połowa jego ludzi leżała na posadzce, ale reszta wciąż walczyła, zasypując foyer gradem pocisków. Szyby w gablotach pękały z trzaskiem, historycy, którzy się za nimi pochowali, uciekali do innych kryjówek, inni padali na ziemię obok eksponatów i leżeli bez ruchu. Nad ich głowami jedna po drugiej pękały argonowe lampy, aż zrobiło się całkiem ciemno. W błyskach strzałów widać było inżynierów, prących do przodu, w stronę drzwi.

Zapomniany przez nich Bevis Pod sięgnął po porzucony karabin, oparł kolbę o ramię, jego palce odnalazły spust. Katherine nie mogła oderwać od niego wzroku. Wokół świszczały kule, ale ona nie próbowała nawet się schować. Widziała, jak Bevis uniósł lufę i strzelał. Widziała małe błękitne dziurki, jakie robił w gumowych płaszczach na plecach inżynierów, którzy wypuszczali broń i z rozpostartymi

ramionami padali na ziemię. A Bevis Pod patrzył na nich ze spokojem i obojętnie – nie był to już ten dawny, wrażliwy Bevis, lecz człowiek, który potrafił zabijać z zimną krwią, który widział już tyle śmierci w Trzewiach, że uważał ją za coś normalnego.

A potem zapadła cisza, w której Katherine słyszała tylko szczekanie własnych zębów.

Z kątów sali powychodzili historycy. Było ich więcej, niż sądziła. Niektórzy zostali ranni, ale zginął tylko stary Weymouth, z którym nigdy nie zamieniła słowa, i doktor Arkengarth. Kurator zbiorów ceramiki leżał przy drzwiach z wyrazem niesmaku na twarzy, jak gdyby śmierć nie przypadła mu do gustu.

Bevis Pod wpatrywał się w karabin, trzymany w trzęsących się rękach. Z lufy unosiła się błękitna smużka dymu.

Pomeroy wdrapał się na schody. Był bez peruki i został ranny w ramię odłamkiem jakiejś starożytnej kości.

– Patrzcie no, jestem pierwszą od siedemdziesięciu milionów lat ofiarą dinozaura! – Mrugnął do Katherine i Bevisa, a potem spojrzął na martwych inżynierów. Nikt nie zaśmiał się z jego dowcipu. – No i co? Pokazaliśmy im! Kiedy tylko powiedziałem innym, co się dzieje, wspólnie doszliśmy do wniosku, że was nie oddamy. Tych, którzy byli innego zdania, zamknęliśmy w jadalni. Powiedzieliśmy sobie: „Nie oddamy im panienki Valentine!” No i nie oddaliśmy. Żaden inżynier nie ma szans z historykiem!

– Dobrze im tak! Zapłacili za moją kolekcję mebli! – zaszczebiotała Moira Plym, wbiegając na schody. – Niech wiedzą, co znaczy... – W tym momencie przyłbica jej hełmu opadła z trzaskiem.

Katherine znalazła torbę, leżącą w kałuży krwi. Wydawało się, że nie została uszkodzona.

– Muszę się dostać na górny pokład i zniszczyć Meduzę. To nasza jedyna szansa. Pobiegnę na stację wind i...

– Nie! – zawołała panna Potts, wbiegając po schodach. – Kilku inżynierów zostało za drzwiami i udało im się uciec. Na pewno podniosą alarm. Będą pilnować wind. Dołączą do nich zmartwychwstańcy. – Spojrzała na Pomeroya. – Przykro mi, Chudleigh – powiedziała, jakby to była jej wina.

– W porządku, panno Potts. – Pomeroy klepnął ją po przyjacielsku w ramię i o mało jej nie wyrócił. – Nie przejmuj się, Katherine. Przez jakiś czas zatrzymam tutaj inżynierów, a ty dostaniesz się na górny pokład kocim włazem.

– Co to takiego? – zdziwiła się Katherine.

– Jedna z tych rzeczy, o których pamiętają tylko historycy – odparł Pomeroy, uśmiechając się radośnie. – To stare schody, zbudowane w pierwszych latach ruchomego Londynu, kiedy nie można było jeszcze do końca ufać windom. Prowadzą od trzeciego piętra na samą górę, przechodząc przez muzeum. Jesteś gotowa?

Skinęła głową.

– Idę z nią – oświadczył Bevis.

– Nie!

– Kate, naprawdę chcę iść. – Schylił się nad martwymi inżynierami, szukając płaszcza, w którym nie było zbyt wiele dziur. Kiedy go znalazł, zaczął się mocować z gumowymi guzikami. – Jeżeli zobaczą cię na górnym pokładzie samą, domyślą się, co się stało – wyjaśnił. – Ale jeżeli ja będę z tobą, pomyślą, że jesteś moim więźniem.

– Chłopak ma rację, Kate – przyznał Pomeroy, podczas gdy panna Potts pomagała Bevisowi włożyć płaszcz i wytrzeć najbardziej widoczne plamy krwi. Zerknął na zegarek. – Ósma trzypięć. Meduza ma wystrzelić o dziewiątej. Masz więc sporo czasu na zrobienie tego, co zaplanowałeś. Ale lepiej idź już na górę, póki inżynierowie nie przysłali posiłków.

33. WINO, BATONIKI I ŚWIT NOWEJ ERY

W „Jenny Haniver” było pełno wspomnień po Annie Fang; na pulpicie stał brudny kubek ze śladem jej ust, na tapczanie pozostał odcisk jej ciała, w kabinie pilota leżała niedoczytana książka z zakładką na dwieście piątej stronie. W szafeczce Hester znalazła skrzynię pełną pieniędzy – nie tylko brązowych monet, ale także srebrników i złotych suwerenów. Takiej masy pieniędzy Tom i Hester nigdy nie widzieli.

– Była bogata! – szepnęła Hester.

Tom nie miał dotąd żadnych wyrzutów sumienia, że zabrał statek; wydawało mu się naturalne, że chce dokończyć dzieło panny Fang. Teraz jednak, patrząc na te pieniądze, poczuł się jak złodziej.

– Ech – powiedziała Hester, zatraskując wieko. – Tam, dokąd się udała, forsa się jej nie przyda. Nam zresztą też, bo pewnie wkrótce do niej dołączymy. – Spojrzała na niego. – Chyba że zmieniłeś zdanie.

Pokręcił głową, chociaż złość, którą przedtem czuł, zniknęła w trakcie mocowania się ze sterami statku. Zaczął się bać. Poza tym przypomniała mu się Katherine. Co się z nią stanie, gdy straci ojca? Wciąż jednak zamierzał ukarać Valentine’a za wszystkie nieszczęścia, które spowodował. Włączył radio i zaczął szukać częstotliwości Londynu, podczas gdy Hester grzebała dalej w szafkach, aż znalazła to, czego szukała: ciężki czarny pistolet i długi sztylet z cienkim ostrzem.

Główną salę ratusza przystrojono lampionami i transparentami. Szefowie cechów przechadzali się między obitymi zieloną skórą ławami, gawędząc wesoło o nowym terenie polowań. Zerkali na zegarki, czekając na wystrzał z Meduzy. Czeladnicy inżynierów, krążąc po sali, częstowali gości batonikami, przygotowanymi

przez zespół pod nadzorem pana Nimma. Były brązowe, dziwne w smaku i miały idealne geometryczne kształty.

Valentine przeciskał się przez tłum, w stronę Crome'a, otoczonego wysokimi, ubranymi na czarno ochroniarzami. Chciał zapytać lorda burmistrza, co się stało z agentem, którego wysłał na poszukiwanie Hester Shaw. Rozpychając się łokciami między wystrojonymi rajcami, słyszał strzępy rozmów:

– O, Valentine, patrzcie, wrócił prosto z Shan Guo!

– Wysadził w powietrze całą flotę Ligi!

– Jakie pyszne batoniki!

– Valentine! – zawołał lord burmistrz, gdy główny historyk dotarł wreszcie do niego. – Czekałem na ciebie!

Obok niego stali genialni konstruktorzy, którym udało się uruchomić Meduzę: doktor Chandra, doktor Chubb i doktor Wismer Splay. Była wśród nich również doktor Twix. Uśmiechała się promiennie i szczebioczącym głosem gratulowała Valentine'owi sukcesów podczas wyprawy do Shan Guo. Za jej plecami stał milczący mur czarnych postaci. Valentine kiwnął głową w ich stronę.

– Widzę, że zrobiliście dobry użytek z części starożytnych Łowców, które wam posyłałem...

– W rzeczy samej – przytaknął lord burmistrz, uśmiechając się lodowato. – To całkiem nowa rasa zmartwychwstańców. Będą naszymi sługami i żołnierzami w nowym, wspaniałym świecie, który niebawem zbudujemy. Niektórzy już wkraczą do akcji w muzeum.

– W muzeum?

– Tak. – Crome przyjrzał mu się uważnie, czekając na jego reakcję. – Niektórzy twoi historycy zbuntowali się. Są uzbrojeni.

– Kate jest w muzeum! Muszę po nią iść!

– Wykluczone – powiedział stanowczo lord burmistrz, chwytając Valentine'a za ramię i ciągnąc go w stronę wyjścia. – Poziom drugi jest zamknięty, a muzeum otoczone Łowcami i oddziałami ochroniarzy. Ale nie przejmuj się. Mają wyraźne rozkazy, żeby nie ruszać twojej córki. Przyprowadzą ją tutaj jak najszybciej. Zależy mi, żeby ona zobaczyła Meduzę w akcji. Ciebie

też chcę mieć przy sobie, Valentine. Zostań.

Wokoło nagle zaległa cisza.

– Komu jesteś wierny? Londynowi czy córce? Zostań.

To „zostań” zabrzmiało niemal jak „waruj”. Valentine zacisnęła dłoń na rękojeści miecza, ale wiedział, że go nie dobędzie. Bał się. Wszystkie jego wyprawy i przygody były tylko próbami ucieczki od tej jednej prawdy: jest tchórzem.

Zmusił się do uśmiechu i ukłonił się nisko.

– Twój wierny sługa, lordzie burmistrzu.

W ścianie przy galerii historii naturalnej były drzwi. Katherine przechodziła tędy setki razy, ale nigdy ich nie zauważyła. Gdy Pomeroy przekręcił klucz i otworzył je, usłyszeli jęk wiatru, hulającego w długim szybie, zmieszany z hałasem silników miejskich. Stary historyk wręczył Bevisowi klucz i pochodnię.

– Powodzenia, panie Pod. Powodzenia, Kate...

Gdzieś za ich placami rozległ się nagle huk wybuchu, aż zagrzechotały gablotki w sali.

– Już tu są, muszę wrócić na stanowisko...

– Niech pan idzie z nami! – powiedziała błagalnie Katherine. – Na górnym pokładzie, w tłumie, będzie pan bezpieczniejszy...

– To moje muzeum, panno Valentine, i zostanę tutaj. Poza tym na górze tylko bym wam zawadzał.

Rzuciła mu się w ramiona, przytulając twarz do jego pachnącej tytoniem i naftaliną szaty.

– Biedne muzeum!

Pomeroy wzruszył ramionami.

– I tak wątpię, by inżynierowie pozwolili zachować nasze zbiory. Teraz przynajmniej nie poddamy się bez walki.

– I możecie wygrać...

– Och, tak... – Stary historyk roześmiał się smutno. – Kiedyś regularnie ogrywaliśmy ich podczas międzycechowych mistrzostw w piłce nożnej. Tylko że wtedy nie mieli karabinów i zmartwychwstańców do pomocy... – Spojrzał jej głęboko w oczy.

– Powstrzymaj ich, Katherine – powiedział ze śmiertelną powagą.

– Pokrzyżuj im plany, wsadź kij między szprychy.
– Spróbuję – zapewniła.
– Wkrótce znowu się spotkamy – oznajmił stanowczo Pomeroy, po czym chwycił ciężki arkebuz i odwrócił się. – Podobna jesteś do ojca, Kate – rzucił jeszcze na odchodnym. – Ludzie cię słuchają.

Kiedy zamykali drzwi, usłyszeli wystrzał z armaty, a potem huk muszkietów, zmieszany z odległymi krzykami.

– Patrz! – wykrzyknął Tom.

Lecieli wysoko nad postrzępionymi chmurami i patrzyli z góry na majaczący w oddali Londyn.

– Tam!

Był większy, niż go pamiętał, i o wiele brzydszy.

To dziwne, że kiedy tam mieszkał, wierzył we wszystko, co wyświetlano na ekranach – frazesy o eleganckiej sylwetce miasta i jego nieskazitelnym pięknie. Teraz widział jego brzydotę. Londyn wcale nie był lepszy od innych miast, tylko większy; burzowy front dymu wypluwanego z kominów, fala ciemności, która toczyła się ku górom, zwieńczona białymi willami Wysokiego Londynu unoszącymi się na szczycie jak kruche statek. W niczym nie przypominał domu.

– Patrz... – powtórzył.

– Widzę przecież – mruknęła siedząca obok Hester. – Coś dziwnego dzieje się na najwyższym poziomie. Pełno tam świateł, jak w wesołym miasteczku. Tom, Valentine na pewno tam będzie! Pewnie przygotowują się do użycia Meduzy!

Tom skinął głową z poczuciem winy. Gdyby panna Fang była tu z nimi, dawno już obmyśliłaby, jak powstrzymać tę starożytną broń. Za to on nie miał pojęcia, co zrobić. To wszystko było za duże, zbyt straszne, za trudne do ogarnięcia myślami. Lepiej skupić się na tym, co ważne dla niego i dla Hester, a reszta świata niech sama się o siebie martwi.

– Jest tam na dole – szepnęła. – Czuję jego obecność.

Tom nie miał ochoty zanadto się zbliżać, bo lord burmistrz mógł

przecież polecić strażnikom, by obserwowali niebo, albo postawić zaporę sterowców zwiadowczych. Pociągnął drążek sterowy i poczuł obszerny, powolny ruch, gdy statek zareagował.

Nabrali wysokości i Londyn zmienił się w rozmazaną smugę pod chmurami, gdy skręcili na południe i zaczęli zataczać koło.

Szli w mroku metalowymi schodami, oświetlonymi pochodnią Bevisa. Ich długie cienie przesuwwały się po ścianach szybu niczym duchy. Katherine wielokrotnie odwracała się za siebie w poszukiwaniu wiernego Psa.

– Pięćset schodków – szepnęła Bevis, zatrzymując się i unosząc wyżej pochodnię. Schody zdawały się nie mieć końca. – To musi być pierwsze piętro. Jesteśmy w połowie drogi.

Katherine skinęła głową – zbyt zdyszana, żeby coś powiedzieć, zbyt niespokojna, żeby zdecydować się na odpoczynek. Przyjęcie u lorda burmistrza pewnie już się zaczęło. Wspinali się coraz wyżej i wyżej. Kolana zaczynały jej sztywnieć, brakowało tchu, ciężka torba obtłukiwała biodro.

Hester wyglądała przez okno w kabinie, przyglądając się mknącej trzydzieści metrów pod statkiem ziemi, rozrytej takimi samymi koleinami, jakimi szli razem z Tomem tamtego dnia, kiedy się poznali. W oddali majaczyły czerwone tylne światła Londynu, które znikły w gryzącym dymie, gdy Tom wzniosł się powyżej kominów miasta. Pomyślała, że całkiem dobrze sobie radzi. Jaka szkoda, że ich plan nie ma szans powodzenia.

Zatrzeszczało radio. Londyn poprosił o podanie kodu identyfikacyjnego.

Tom spojrział na nią ze strachem, lecz Hester wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Podeszła do radia, zaczęła je włączać i wyłączać, jakby nadajnik był uszkodzony.

– Londyński statek GE47 – powiedziała, przypomniawszy sobie kod statku, który podano przez głośnik, kiedy byli w Airhaven. – Wieziemy Shrike'a z powrotem do inżynierium.

Kontroler zaczął coś mówić, ale Hester wyłączyła radio. Czarny smog lepił się do okien, zostawiał kropelki wody, które uciekały na wszystkie strony, tworząc mokre ślady.

– Będę krążył nad miastem dwadzieścia minut, a potem cię zabiorę – powiedział Tom. – Powinno ci wystarczyć czasu na odnalezienie Valentine’a i...

– Za dwadzieścia minut będę trupem – przerwała mu. – Po prostu uciekaj stąd jak najprędzej i zapomnij o mnie.

– Przylecę po ciebie...

– Będę martwa.

– I tak przylecę...

– To bez sensu, Tom.

– Nie szkodzi. Będę krążył dwadzieścia minut, a potem przylecę i cię zabiorę.

Spojrzała na niego i zobaczyła łzy lśniąco w jego oczach. Płakał. Płakał, bo miała za chwilę zeskoczyć na pokład Londynu, i obawiał się, że już jej nie zobaczy. Zdziwiła się, że tak mu na niej zależy. Było to dziwne i zarazem bardzo miłe.

– Tom, chciałabym... – Sama nie wiedziała, co powinna powiedzieć. Może to, że nie spotkała nigdy w życiu tak wspaniałego człowieka.

Z mroku wyłoniło się jedno światło, potem drugie. Przelecieli tuż obok poziomego trzeciego. Ujrzeni ludzi, tłoczących się na balkonach obserwacyjnych, i ogołocony z drzew Circle Park. Tom powcisnął jakieś guziczki i „Jenny Haniver” pomknęła nisko ponad dachami Kingsbridge, a potem wzniosła się ku górnemu pokładowi. Zerknął na Hester. Chciała go uściskać, pocałować, ale nie było czasu.

– Nie daj się zabić, Tom! – zawołała, otwierając drzwiczki, i wyskoczyła.

Potoczyła się po pokładzie. „Jenny Haniver” już wznosiła się w niebo, oświetlona ognistymi rakietami wystrzeliwanymi z inżynierium. Rakiety chybiły, ciemność połknęła statek i Hester została sama.

– Pojedynczy statek, lordzie burmistrzu – zameldował młody, zdenerwowany inżynier ze słuchawką radiową umocowaną przy uchu. – Odleciał, ale podejrzewamy, że ktoś zeskokczył na pokład.

– Antymobiliści na górnym pokładzie? – Lord burmistrz pokiwał głową, jakby codziennie miał takie problemy. – No, no. Doktor Twix, chyba to dobra okazja, aby wypróbować pani nowe modele.

– Świetnie! – zaszczebiotała pani inżynier, odstawiając talerz. – Chodźcie, moi złoci! Chodźcie!

Zmartwychwstańcy odwrócili się jednocześnie i w ślad za nią poszli do drzwi.

– Chcę ich mieć żywcem! – zawołał Crome. – Byłaby szkoda, gdyby ominął ich gwóźdź programu.

34. OGIEN

Tom otarł oczy dłonią i skupił się na sterowaniu. Teraz już się nie bał. Przyjemnie było kierować tą wielką, wspaniałą maszyną. Skręcił na wschód, ustawiając dziób „Jenny Haniver” dokładnie na lśniący w ostatnich promieniach słońca szczyt Zhan Shan. Miał krążyć nad miastem przez dwadzieścia minut. Wydawało mu się, że minęło już co najmniej dziesięć, lecz gdy spojrzął na chronometr, okazało się, że Hester wyskoczyła dopiero dwie minuty temu.

Nagle jakiś rozpędzony, lśniący przedmiot uderzył w gondolę i nagły wstrząs zmiotł go z fotela. Tom złapał się pulpitu, widząc, jak przez dziury w dachu wylatują kartki, pęki kabli, kapliczka z fotografiami i niedoczytana książka panny Fang.

Wychylił głowę i spojrzął w górę, próbując sprawdzić, czy balon się nie zapalił. Nie zauważył płomieni, tylko wielki ciemny kształt, przesuwający się na tle księżyca. „Winda Na Trzynaste Piętro” przeleciała nad „Jenny”, wykonując zwycięską rundę, a potem zawróciła, żeby dokończyć robotę.

Ludzie wylegli na plac, zadzierali głowy i obserwowali ogień bitwy, która toczyła się ponad chmurami. Magnus Crome zerknął na zegarek.

– Panowie Chandra, Chubb, Splay! Czas uruchomić Meduzę. Valentine, pójdiesz z nami. Na pewno nie możesz się doczekać, żeby zobaczyć, co zrobiliśmy z tą maszyną, którą nam przywiozłeś.

– Crome – rzekł Valentine, zastępując mu drogę. – Muszę ci coś powiedzieć...

Zaintrygowany lord burmistrz uniósł brwi.

Valentine zawahał się. Cały wieczór układał sobie w głowie to przemówienie, wiedząc, że tego właśnie oczekiwała po nim

Katherine. Teraz jednak, pod lodowatym spojrzeniem Crome'a, zapomniał na moment, co chciał powiedzieć.

– Czy naprawdę warto, Crome? Zburzenie muru nie oznacza zniszczenia Ligi. Trzeba będzie zniszczyć następne twierdze: setki warowni, tysiące ludzkich istnień. Czy naprawdę nowy Teren Polowań wart jest tego wszystkiego?

Wokół rozległy się pomruki zdziwienia.

– Teraz jest już chyba za późno na wątpliwości, Valentine – odpowiedział spokojnym głosem Crome. – Za bardzo się tym wszystkim przejmujesz. Doktor Twix może nam zbudować całą armię zmartwychwstańców, więcej niż potrzeba, by złamać opór tych barbarzyńców z Ligi.

Zrobił krok do przodu, ale Valentine nie zszedł mu z drogi.

– Pomyśl, lordzie burmistrzu. Na jak długo starczy nam nowego terenu? Na tysiąc lat? Na dwa tysiące? Pewnego dnia Londyn będzie się musiał zatrzymać. Może powinniśmy to przyjąć do wiadomości i zatrzymać się teraz, nim zginą tysiące niewinnych ludzi. Wykorzystaj to, czego się nauczyliśmy, do pokojowych celów...

Crome uśmiechnął się.

– Naprawdę myślisz, że jestem taki krótkowzroczny? – zapytał.
– Plany Cechu Inżynierów sięgają dalej w przyszłość, niż ci się wydaje. Londyn nigdy się nie zatrzyma. Ruch to życie. Kiedy pożremy ostatnie miasto, wybudujemy wielkie silniki zasilane ciepłem jądra Ziemi, i wylecimy poza orbitę. Pożremy Marsa, Wenus, asteroidy. Pożremy samo Słońce, a potem pomkniemy w kosmos. Za milion lat wciąż będziemy podróżować i pożerać już nie miasta, ale całe światy!

Valentine poszedł za nim do wyjścia, towarzysząc mu w drodze do katedry. Katherine ma rację, myślał. Crome oszalał! Dlaczego nie powstrzymałem go, kiedy była na to pora? Ponad chmurami latały i wybuchały rakiety, błysk eksplodującego statku rozświetlił twarze gapiów.

Hester Shaw przykucnęła na pokładzie, gdy obok przechodzili

Łowcy, omiatając zielonymi ślepiami okolicę. Ich wysunięte stalowe pazury lśniły zimnym blaskiem.

Koci wąż kończył się w okrągłym pomieszczeniu z jedną parą drzwi. Bevis kluczem otworzył zamek. W szparach drzwi pojawiło się światło. Usłyszeli na zewnątrz podniesione głosy.

– Jesteśmy tuż przy placu Paternoster – powiedział Bevis. – Ciekawe, czym ci ludzie tak się emocjonują?

Katherine spojrzała na zegarek.

– Za dziesięć dziewiąta – odpowiedziała. – Czekają na Meduzę.

Bevis przytulił ją ostatni raz i szepnął jej do ucha nieśmiało:

– Kocham cię.

Potem otworzył drzwi i przepuścił ją przodem, zastanawiając się, czy przypadkiem nie jest pierwszym zakochanym inżynierem w historii Londynu.

Tom przeczołgał się po zrujnowanym pokładzie „Jenny”. Światła zgasty, a krew ciekąca z rozciętego łuku brwiowego oślepiła go. Pulsujący ból w żebrach sprawiał, że było mu niedobrze, najchętniej położyłby się, zamknął oczy i odpoczął. Wiedział jednak, że nie może tego uczynić. Wymacał przyciski wyrzutni rakietowych, modląc się do wszystkich bogów, żeby nadal działały. Po naciśnięciu guzika po prawej stronie z tablicy rozdzielczej wyskoczył celownik. Tom przetarł oczy i zobaczył na tle czarnego krzyżyka sylwetkę „Windy Na Trzynaste Piętro”, zbliżającej się szybko.

Z całej siły nacisnął przycisk wyrzutni i poczuł pod pokładem wstrząs odpalanych rakiet, które śmignęły w niebo, ciągnąc za sobą ognisty ogon, a po chwili wybuchły, uderzając w cel. Kiedy jednak spojrzał przez celownik, okazało się, że czarny statek wciąż się zbliża. Jego pancierz ledwo się wgniótł.

Tom zaczął się obawiać najgorszego. Spojrzał jeszcze raz na „Winę” i z ulgą zobaczył, że czarny statek zamiast zestrzelić go, przeleciał obok. Wyglądało na to, że ma uszkodzoną wyrzutnię

rakiet.

Spróbował się uspokoić. Pomyślał o Katherine, aby zachować jej wspomnienie, kiedy przeniesie się do Krainy Bez Słońca. Jednak od dawna już o niej nie marzył i nie potrafił sobie przypomnieć jej wyglądu. Przed oczami miał ciągle Hester. Zaczął więc myśleć o tym, przez co razem przeszli, jak przyjemnie było obejmować ją ramieniem, czuć ciepło jej ciała, zapach jej włosów.

I właśnie wtedy przypomniał sobie jak rakiety Ligi ostrzeliwały „Winę Na Trzynaste Piętro”, która uciekała z Batmunkh Gomba – grzmot eksplozji i zaraz potem trzask rozbijanego szkła.

Balon z gazem jest opancerzony, ale okna nie.

Przeczołgał się znów do pulpitu i wycelował już nie w balon, ale w okna „Windy”. Wskaźnik pod celownikiem poinformował go, że zostały jeszcze trzy rakiety. Odpalił wszystkie po kolei. Gondola „Jenny” zachybotwała, gdy śmignęły do celu.

Przez ułamek sekundy widział Pewseya i Gencha, ich usta rozwarłe w niemym przerażeniu. Potem zniknęli w blasku wybuchu, rakiety przebiły się przez szybę i wypełniły gondolę żywym ogniem. Wkrótce płomień objął silniki, śmigła i „Winda” rozbłysła niczym chiński lampion, spadając na Londyn.

Katherine wyszła na plac, na którym stał tłum ludzi zadzierających głowy. Niektórzy wciąż mieli w rękach kubki lub batoniki. Spojrzała na katedrę Świętego Pawła. Dach jeszcze się nie otworzył, więc to nie to wzbudziło ciekawość tłumu. Ale co to za światło? Ta pomarańczowa, spadająca z nieba kula, której blask przyćmiewał światło argonowych latarni?

Chwilę później płonący wrak sterowca roztrzaskał się o fasadę inżynierium. W powietrze pofrunęły kawałki szkła i metalu. Jeden z silników oderwał się od statku, z wirującym śmigłem wpadł na plac, gdzie zarył się w pokład tuż przed zdumioną Katherine, rozpryskując dookoła płonące paliwo. Bevis odepchnął ją na bok i przycisnął do ziemi. Zobaczyła, jak stoi nad nią z otwartymi ustami, krzyczy coś. Potem osłona silnika z wymalowanym błękitnym okiem oderwała się z trzaskiem i

zmiotła Bevisa, zamieniając jego ciało w krwawe strzępy.

Błękitne oko na osłonie silnika! Wiedziała, że coś to znaczy, ale nie potrafiła sobie przypomnieć co.

Wstała powoli, drząc jak osika. Dookoła niej palił się pokład, a także górujące nad placem inżynierium. Podeszła do dymiącego silnika, którego olbrzymie śmigła sterczały z pokładu niczym jakaś megalityczna budowla. Zasłaniając twarz przed żarem i dymem, rozejrzała się w poszukiwaniu Bevisa.

Zmasakrowany chłopak leżał na pokładzie. Nie żył. Płomienie pełgały po jego płaszczu, zamieniając gumę w bulgoczącą masę, przypominającą roztopiony ser. Ze łzami w oczach odwróciła twarz.

– Panno Katherine?

Błękitne oko na osłonie silnika! Statek ojca.

– Panno Katherine?

Odwróciła się i zobaczyła pracownika ze stacji wind. Wziął ją za ramię i odprowadził łagodnie na bok, wskazując ręką resztki płonącego sterowca pod inżynierium.

– Nie było go tam, panienko.

Spojrzała na jego uśmiechniętą twarz. Nie zrozumiała. Oczywiście, że był! Sama go tam widziała. Leżał martwy z wykrzywioną, zakrwawioną twarzą. Bevis, którego tu przyprowadziła, chłopak, który ją kochał. Z czego się tu cieszyć?

– Panienci taty nie było na pokładzie. Widziałem go pięć minut temu, jak wchodził z lordem burmistrzem do katedry.

Nagle poczuła ciężar torby, która wciąż wisiała na jej ramieniu, i przypomniała sobie, jakie zadanie ma do wykonania.

– Chodźmy, panienko – powiedział pracownik ze stacji wind. – Jest panienska w okropnym szoku. Proszę usiąść, zaraz przyniosę herbatę...

– Nie – odparła. – Muszę znaleźć ojca.

Zostawiła go i poszła w stronę placu, przeciskając się między przerażonymi ludźmi w osmalonych ubraniach. Do Świętego Pawła, do Świętego Pawła...

Hester biegła w stronę ratusza, gdy wybuch zmiotł ją z nóg. Przekoziółkowała po pokładzie, pistolet wypadł jej z dłoni, a chusta sfrunęła z twarzy. Nastąpiła chwila ciszy, a potem rozległy się krzyki przerażonych ludzi, zawyły syreny. Wróciła pamięcią do tego, co się działo przed samym wybuchem. Zobaczyła światło nad miastem, coś, co spadło z nieba. To był statek! „Jenny Haniver”!

- Tom - wyszeptała, czując się bardziej samotna niż kiedykolwiek wcześniej.

Próbowała wstać, podpierając się rękami. Nieopodal leżał jeden z nowych zmartwychwstańców, przepołowiony wybuchem. Jego nogi wciąż poruszały się bez celu, kopiąc gruz. Znalazła chustkę, którą dał jej Tom. Zawiązała ją wokół szyi i zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu pistoletu. Wtem spostrzegła Łowców, tym razem w pełni sprawnych, którzy zaszli ją od tyłu. Ich pazury lśniły ognistą czerwienią, ich martwe twarze patrzyły na nią bez wyrazu zielonymi ślepiami. Zdała sobie sprawę, że to już koniec.

Nad czarnymi dachami ratusza, za kurtyną dymu i płomieni, zaczęła się otwierać kopuła katedry Świętego Pawła.

35. KATEDRA

Wiatr świstał w pogruchotanej gondoli „Jenny Haniver”, niosąc ją coraz dalej od Londynu.

Tom opadł wyczerpany na pulpit sterowniczy, potłuczone szkło kleiło mu się do rąk i twarzy. Próbował ignorować gwałtowne wahania wskaźników ciśnienia gazu w uszkodzonym balonie, z którego wyciekał wodór. Starał się nie myśleć o Pewseyu i Genchu, którzy spłonęli żywcem, ale za każdym razem, gdy zamykał oczy, widział ich przerażone twarze.

Kiedy podniósł głowę, zobaczył Londyn daleko na wschodzie. Coś się działo z katedrą, a inżynierium stało w ogniu. Powoli zaczął sobie zdawać sprawę z tego, co się stało. To była jego wina! Pewnie wielu londyńczyków zginęło, nie tylko Pewsey i Gench. Gdyby nie zestrzelił „Windy Na Trzynaste Piętro”, wciąż cieszyliby się życiem. Żałował, że w ogóle wystrzelił te rakiety. Lepiej było zginąć niż patrzeć na płonący górny pokład ze świadomością, że to wszystko jego wina.

Wtedy pomyślał o Hester.

Obiecał jej, że wróci. Będzie na niego czekać. Tam, wśród pożarów. Nie może jej zawieść. Pochylił się nad sterami. Silniki, dławiąc się, obudziły się do życia. „Jenny Haniver” obróciła się leniwie dziobem pod wiatr i zaczęła się powoli zbliżać do miasta.

Katherine szła przez plac Paternoster jak w hipnotycznym transie, nie mogąc odwrócić oczu od katedry. Naokoło szalały pożary, ale ona ledwo je zauważała. Wpatrywała się w jeden punkt – w biały, rozkładający się kielich, obracający się na wschód. Już się nie bała. Wiedziała, że Klio nad nią czuwa i dopilnuje, żeby mogła zadośćuczynić za okropne winy ojca.

Strażnicy przy bramie do katedry byli tak zaaferowani pożarem, że kiedy powiedziała, że idzie do ojca, który jest w środku, i

pokazała złotą przepustkę, wzruszyli ramionami i przepuścili ją.

Katherine jeszcze nigdy nie była we wnętrzu katedry Świętego Pawła, ale widziała jej zdjęcia. Teraz katedra wyglądała zupełnie inaczej.

Cech Inżynierów obił ściany białą blachą i pozawieszał pod dachem dziesiątki kulistych argonowych lamp. Po posadzce wzdłuż głównej nawy biegł gruby pęk przewodów, zasilających coś, co stało w miejscu ołtarza.

Katherine szła wolno przed siebie, kryjąc się w cieniu bocznej nawy, uważając, by nie wejść w drogę inżynierom, którzy sprawdzali przewody i zapisywali coś na tablicach. W głębi dawnej świątyni stała na podwyższeniu olbrzymia, skomplikowana machina. Masywne słupy i hydrauliczne podnośniki podtrzymywały wystający ponad dach łeb Meduzy. U jej podstawy stały rzędy wielkich, buczących silników i prądnic. Inżynierowie biegali między nimi a metalowymi schodami, prowadzącymi na wieżę. Inni, rozmawiając szeptem, otaczali ciasnym kołem konsolę niczym kapłani boga maszyny. Zobaczyła wśród nich lorda burmistrza, a obok niego ojca.

Stała za jedną z kolumn, skąd całkiem wyraźnie widziała tatę, który patrzył na Crome'a, marszcząc brwi. Wiedziała, że wolałby być na zewnątrz i pomagać w akcji ratunkowej, i tylko rozkaz lorda burmistrza zatrzymał go tutaj. Na chwilę zapomniała, że był mordercą, chciała podbiec do niego i objąć go. Ale teraz Klio powierzyła jej ważne zadanie do wykonania.

Podkraśla się bliżej i stanęła przy schodach na wieżę. Z tego miejsca mogła obserwować to, co robił Crome i jego podwładni. Na konsoli, wśród plątaniny kolorowych kabli znajdowała się kula nie większa od piłki do siatkówki. Katherine domyśliła się, co to było. Pandora Shaw odkryła ten przedmiot w podziemnym laboratorium starożytnych Amerykanów i przywiozła na Wyspę Dębów, a jej ojciec zabrał go stamtąd tej samej nocy, gdy zabił swą dawną przyjaciółkę i oszpecił jej córkę. Inżynierowie naprawili komputer, tak jak umieli, zastępując uszkodzone układy scalone urządzeniami, które wyjęli z mózgów zmartwychwstańców. Przy komputerze siedział teraz doktor

Splay, jego palce błędziły po klawiaturze, wklepując zestawy zielonych liczb, które wyświetlały się na ekranie. Obok stał drugi ekran, pokazujący zielonkawy, niezbyt ostry obraz terenu przed Londynem. W centrum ekranu świecił się zielony krzyżyk, ustawiony na wielki mur.

– Akumulatory naładowane – powiedział jakiś głos.

– No, widzisz, Valentine! – roześmiał się Crome, kładąc kościstą dłoń na ramieniu jej ojca. – Za chwilę zmienimy bieg historii.

– Ale ten pożar, Crome...

– Później zabawisz się w strażaka – uciął lord burmistrz. – Musimy natychmiast zniszczyć wielki mur, zanim ogień uszkodzi Meduzę.

Splay wciąż stukał w klawiaturę, poza tym w katedrze panowała teraz całkowita cisza. Inżynierowie patrzyli z niemym zachwytem na olbrzymią maszynę. Wokół akumulatorów i prądnic zaczęły się pojawiać błękitne iskry, które płynęły w górę po słupie do łba Meduzy. Katherine zaczęła podejrzewać, że tak naprawdę nie rozumieją działania maszyny, którą odkopał jej ojciec. Patrzyli na nią z prawie takim samym zdumieniem jak ona.

Gdyby w tym momencie podbiegła, odbezpieczyła bombę i rzuciła ją w komputer, zdołałaby wszystko zmienić. Ale obok stał tata. Nie potrafiłaby go skrzywdzić, chociaż starała się myśleć o tysiącach ludzi z Batmunkh Gompa, którym grozi zagłada. Czują, że zawiodła. Spojrzała w górę na ciemne niebo, pytając Klio, co ma robić.

Jednak Klio nie odpowiedziała.

Do klawiatury podszedł Crome.

– Podaj Meduzie współrzędne celu – rozkazał.

Palce Splaya zaczęły szybko biegać po klawiaturze. Najpierw długość, później szerokość geograficzna Batmunkh Gompa.

– CEL WYZNACZONY – rozległ się głos z głośnika za plecami Splaya. – ODLEGŁOŚĆ: DWIEŚCIE KILOMETRÓW. WPISZ KOD OMEGA.

Doktor Chubb wyciągnął plik zalaminowanych kartek. Przez przezroczysty plastik prześwitywały niewyraźne liczby, niczym

owady uwięzione w bursztynie. Wreszcie znalazł to, czego szukał, i pokazał kartkę Splayowi.

Zanim jednak Splay zdążył wpisać pierwszą cyfrę, przy wejściu do katedry rozległy się jakieś głosy. Pojawiła się doktor Twix z oddziałem swoich zmartwychwstańców.

– Witam was! – zaszczebiotała, biegnąc nawą w stronę ołtarza. – Spójrz, lordzie burmistrzu, co moje mądre maleństwa znalazły dla ciebie! Prawdziwą żywą antymobilistkę, tak jak prosiłeś. Chociaż jest dość brzydka...

– WPISZ KOD OMEGA – powtórzyła Meduza, jak gdyby z pewnym zniecierpliwieniem.

– Zamknij się, Twix! – warknął Magnus Crome, nie odrywając wzroku od ekranu komputera, lecz wszyscy pozostali odwrócili głowy i spojrzeli na zmartwychwstańców, którzy przeszli przez nawę i rzucili pod nogi lorda burmistrza swoją zdobycz.

Była to Hester Shaw z rękami związanymi z przodu, bezbronna i ponura. Wciąż zastanawiała się, dlaczego Łowcy od razu jej nie zabili. Inżynierowie przy konsoli zdrętwieli na widok jej szpetnej twarzy.

– Och, wielka Klio! – szepnęła Katherine, po raz pierwszy widząc dzieło rąk własnego ojca. I wtedy spojrzała na niego. To, co zobaczyła, jeszcze bardziej nią wstrząsnęło. Twarz ojca była pozbawiona wyrazu jak upiorna maska, jeszcze bardziej szkaradna od twarzy tej nieszczęsnej dziewczyny. Właśnie tak musiał wyglądać, kiedy zabił Pandorę Shaw. Wiedziała, co się za chwilę stanie, nawet zanim klinga miecza błysnęła w argonowym świetle.

– Nie! – zawołała, ale ze ściśniętego gardła wydobył się tylko ledwo słyszalny szept. Nagle zdała sobie sprawę, dlaczego bogini ją tutaj przyprowadziła, jak ma zmyć winy ojca. Upuściła bezużyteczną torbę i rzuciła się w stronę konsoli. Hester cofnęła się, zasłaniając twarz spętanymi rękami, a Katherine wpadła między nią a ojca. Nagle to ona znalazła się na linii ciosu. Miecz wszedł w nią jak w masło, aż po samą rękojęść.

Inżynierowie wstrzymali oddech. Doktor Twix pisnęła z przerażenia. Nawet Crome wyglądał na poruszonego.

– WPISZ KOD OMEGA – powtórzyła beznamiętnie Meduza, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

– Nie! – szepnął Valentine, potrząsając głową, jakby nie mogąc zrozumieć, co się stało. – Kate, nie! – Cofnął się, wyciągając ostrze z ciała dziewczyny.

Katherine patrzyła, jak zakrwawiona klinga wysuwa się z jej piersi. Wyglądała idiotycznie, jakby to był głupi kawał. Nie czuła bólu, ale jej tunika zrobiła się czerwona od krwi, która chlusnęła jasnym strumieniem na posadzkę.

– Tato, nie rób jej krzywdy – powiedziała z trudem, zrobiła dwa kroki do przodu i runęła na klawiaturę doktora Splaya. Na ekranie pojawiły się zielone literki. Gdy tata podniósł ją delikatnie i układał na posadzce, usłyszała głos Meduzy:

– PODANO NIEWŁAŚCIWY KOD.

Na ekranie pojawił się nowy rząd cyfr. Coś wybuchło z trzaskiem w kłębówisku kabli.

– Co się dzieje? – jęknął doktor Chubb. – Co ten komputer wyprawia?

– Odrzucił współrzędne celu – szepnął przerażony doktor Chandra. – Ale wciąż kumuluje energię...

Inżynierowie popędzili na swoje stanowiska, jeden z nich potknął się o Katherine, leżącą na podłodze z głową na rękach zrozpaczonego ojca. Katherine wpatrywała się w twarz Hester. Wyglądała jak jej własne odbicie w pękniętym lustrze. Uśmiechnęła się szczęśliwa, że wreszcie spotkała przyrodną siostrę. Może zostaną przyjaciółkami? Przy każdym skurczu gardła z jej ust wypływała krew. Poczowała falę chłodu, przepływającego przez jej ciało, głosy w katedrze robiły się coraz bardziej niewyraźne. Czy ja umieram? – pomyślała zdziwiona. Nie, jeszcze nie, nie jestem gotowa!

– Pomóżcie! – zawołał Valentine do inżynierów, ale wszyscy byli zajęci Meduzą. Tylko Hester podeszła do niego i podniosła Katherine, kiedy rwał na pasy koszulę, żeby zatamować krwotok. Spojrzał w jej jedyne szare oko.

– Dziękuję! – wyszeptał.

Przebyła długą drogę, żeby go zabić. Przez te wszystkie lata żyła

wyłącznie jedną myślą, a teraz, kiedy był na jej łasce, nic nie czuła. Jego miecz leżał na ziemi, tam, gdzie go upuścił. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Nawet ze związanymi rękami mogła go chwycić i przebić Valentine'owi serce. Ale teraz to nie miało znaczenia. Oszołomiona patrzyła, jak łyzy spływają mu po policzkach i skapują do kałuży krwi, która wypływa z ciała jego córki. Beźladne myśli kłębiły się jej w głowie: On ją kocha! A ona uratowała mi życie! Nie mogę jej tak zostawić!

Popatrzyła na niego i powiedziała:

– Ta dziewczyna potrzebuje lekarza.

Valentine spojrział na inżynierów, tłoczących się w panice dookoła maszyny. Od nich nie uzyska żadnej pomocy. Za murami katedry szalał ogień. Zadarł głowę i zobaczył na niebie coś czerwonego.

– To „Jenny Haniver”! – wykrzyknęła Hester. – Tom! Na pokładzie jest apteczka... – Wiedziała jednak, że sterowiec nie może wylądować na płonącym górnym pokładzie. – Trzeba dostać się na dach.

Valentine chwycił miecz i przeciął więzy na jej rękach. Potem, odrzuciwszy broń na bok, podniósł Katherine i zaczął ją nieść w stronę metalowych schodów prowadzących na dach katedry. Gdy zmartwychwstaniec chwycił za ramię Hester, Valentine rozkazał mu ją puścić.

– Kapitanie! Nie wolno strzelać do tego statku! – zawołał do zdumionego wołożercy.

Magnus Crome podbiegł do Valentine'a i chwycił go za rękaw.

– Ta maszyna zwariowała! – jęknął. – Quirke jeden wie, jakie komendy wydała jej twoja córka! Nie możemy wystrzelić, nie możemy powstrzymać kumulacji energii! Zrób coś, Valentine! To ty odkryłeś to piekielne urządzenie! Każ mu się wyłączyć!

Valentine odepchnął go i zaczął wchodzić na schody.

– Ja tylko chciałem pomóc Londynowi! – zawodził Crome. – Chciałem, żeby był wielki!

36. CIEŃ KOŚCI

Hester szła pierwsza. Wdrapała się przez otwór w kopule na zasnuty dymem dach, nad którym górowała Meduza. Po jej prawej stronie, na zgliszczach inżynierium, leżał niczym przedpotopowy gad zwęglony szkielet „Windy Na Trzynaste Piętro”. Ogień objął już ratusz, w płomieniach stanął Departament Planowania i Archiwum, nad którym fruwały białe i różowe kartki formularzy. Katedra Świętego Pawła wyglądała jak wyspa w oceanie ognia, nad którą niczym księżyc z tandetnego filmu unosiła się „Jenny Haniver”, chybocząc się niebezpiecznie.

Wdrapała się wyżej, na sam łeb Meduzy. Valentine podązał za nią. Słyszała, jak szepcze coś do Katherine.

– Co za kretyn pilotuje ten wrak?! – zawołał w pewnym momencie.

– To Tom! – odkrzyknęła. Wstała i zaczęła machać rękoma, wołając: – Tom! Tom!

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył, była czerwona chusta – ta sama, którą kupił dla niej w Peripatetiapolis. Łopotała na wietrze jak chorągiew. Spojrzał w tamtym kierunku i zobaczył Hester machającą do niego obiema rękami. Potem zasnuły ją kłęby czarnego dymu i Tom zaczął się zastanawiać, czy malutka postać na szczycie Meduzy po prostu mu się nie przywidziała. Wydawało mu się nieprawdopodobne, żeby komuś udało się przeżyć w tym gigantycznym pożarze, który spowodował. Podleciał jednak bliżej. Dym się rozwiął i zobaczył ją znowu: wymachując ramionami, w długim czarnym płaszczu z brzydką, a zarazem cudowną twarzą.

Katherine otworzyła oczy. Ogarniał ją coraz większy chłód, rozprzestrzeniający się na całe ciało z miejsca, w które ugodził miecz. Wciąż miała czkawkę. Pomyślała, że to głupie umrzeć z czkawką... takie niepoważne. Żałowała, że nie ma przy niej Psa. Ktoś krzyczał: „Tom! Tom!” Odwróciła głowę i zobaczyła obniżający lot sterowiec. Statek zbliżał się i zbliżał, aż w końcu gondola otarła się o łeb Meduzy i poczuła podmuch powietrza wprawionego w ruch śmigłami. Ojciec niósł ją w kierunku statku. Dostrzegła Toma wyglądającego przez okno. Tego samego Toma, od którego wszystko to się zaczęło, tego samego, którego uznała za zmarłego. Ale był tutaj, żywy, patrzył na nią oszołomiony, umorusany sadzą i krwią.

Wnętrze gondoli okazało się znacznie większe, niż przypuszczała. Właściwie bardzo przypominało Dom Klio, a Pies i Bevis już tam na nią czekali. I czkawka jej przeszła, i rana okazała się nie tak poważna, jak im się wydawało. Gondola uniosła się w górę, przez okna świeciło cudowne słońce, a niebo było błękitne i piękne jak na obrazku. Wreszcie odprężyła się i spokojnie zasnęła w ramionach ojca.

Hester dobiegła do sterowca pierwsza i wskoczyła na pokład przez dziurę w ścianie gondoli. Kiedy jednak odwróciła się za siebie i wyciągnęła rękę do Valentine'a, zobaczyła, jak osuwa się on na kolana. Zdała sobie sprawę, że Katherine nie żyje.

Nad łbem Meduzy zaczęły tańczyć błękitne iskry.

– Valentine! Szybko! – krzyknęła.

Zrozpaczony Valentine podniósł wzrok.

– Lećcie! Ratujcie się! – zawołał.

– Co on powiedział? Czy to Katherine? Co się stało? – zapytał Tom.

– Odlatuj! – odkrzyknęła i podbiegła do sterów, włączając wszystkie silniki na pełną moc. Kiedy znowu spojrzała w dół, Valentine robił się coraz mniejszy i mniejszy. W ramionach trzymał bladą, nieruchomą postać. Poczuła się jak duch Katherine wzlatający do nieba. Coś ścisnęło się jej boleśnie w środku, nie mogła złapać oddechu, a po policzkach płynęło jej coś mokrego i gorącego. Może została ranna i nawet tego nie

zauważyła? Kiedy jednak otarła ręką twarz i spojrzała na mokre palce, zrozumiała, że płacze. Płacze, bo żal jej było mamy, taty, Shrike'a, Katherine, a nawet Valentine'a.

Na dole, w Trzewiach Londynu, olbrzymie silniki nagle stanęły. Dziwne promieniowanie otoczyło całe miasto. Po raz pierwszy od wjechania na Teren Polowań Londyn zaczął zwalniać.

W naprędce zabarykadowanej sali londyńskiego muzeum Chudleigh Pomeroy wyrzął zza modelu błękitnego wieloryba i zobaczył, że oddział zmartwychwstańców, otaczający ostatni bastion historyków, nagle się zatrzymał. Wokół ich metalowych czaszek zatańczyły iskry.

– Na Quirke'a! – powiedział, odwracając się do historyków, którzy pozostali przy życiu. – Wygraliśmy!

Valentine patrzył, jak czerwony sterowiec odlatuje w blasku ognia i dziwnego białego światła, które zaczynało otaczać katedrę. W dole słyszał dzwony bijące na alarm i paniczne wrzaski uciekających inżynierów. Wokół głowy Katherine pojawiła się błękitna aureola. Czuł mrowienie prądu, gdy głaskał jej włosy. Delikatnie odgarnął kosmyk z jej twarzy, przytulił ją mocno i czekał. Nagle rozbłysnął biały piorun i oboje stanęli w ogniu, zmienili się w obłok pary i zniknęli. Przez chwilę na tle rozświetlonego nieba widać jeszcze było cień ich kości.

37. PODNIEBNE SZLAKI

Londyn jaśniał w aureoli błyskawic. Jakby promień, który miał przemierzyć dwieście kilometrów i dosięgnąć Batmunkh Gompa, opanował miasto, roztopiając metal domów i pokładów, który skapywał rozżarzonymi kroplami na ziemię. Trzewiami zaczęły wstrząsać wybuchy, wyrzucające wysoko części maszyn. Parę sterowców z uciekinierami na pokładzie wzbiło się w niebo, lecz ich balony eksplodowały w płomieniach.

Tylko „Jenny Haniver” ocalała, niesiona wiatrem, podskakując i chybotząc, gdy uderzały w nią fale wybuchów. Silniki i olinowanie zaiskrzyły błękitną łuną i nagle wszystkie urządzenia odmówiły posłuszeństwa. Nic nie zdołało zmusić ich do działania. Chłopak opadł na to, co pozostało z fotela pilota, i wybuchnął płaczem, bezsilnie patrząc, jak wiatr unosił go coraz dalej od umierającego miasta.

– To moja wina – zaszlochał cicho. – To wszystko tylko moja wina...

Hester stała obok, wpatrzona w punkt, gdzie niedawno znajdowała się katedra Świętego Pawła, jakby wciąż widziała cienie Katherine i Valentine’a znikające w blasku.

– Nie – powiedziała. – To był wypadek. To wina Valentine’a i Crome’a. Zawinił inżynierowie, próbując uruchomić tę maszynę, zawiniła moja mama, która ją odkopała. I zawinił starożytni, którzy ją wymyślili. To była wina Pewseya i Gencha, którzy próbowali cię zabić, i wina Katherine, która uratowała mi życie...

Usiadła obok niego, chcąc go pocieszyć, a jednocześnie bojąc się go dotknąć, bo w popękanej szybie okna jej twarz wyglądała jeszcze gorzej. I nagle pomyślała: Głupia jestem! Przecież to po mnie wrócił, prawda? Objęła Toma drżącą ręką i przytuliła mocno, całując go w policzek i czoło, w zranioną brew. Tuliła go tak, póki Meduza nie wyczerpała swojej energii i bładny świt nie oświetlił szarej ziemi.

– Już dobrze, Tom – powtarzała. – Już dobrze...

Londyn pozostał daleko w tyle, nieruchomy, spowity kłębam dymu. Tom znalazł starą lornetkę panny Fang i spojrział na miasto.

– Ktoś musiał przeżyć – powiedział. Miał nadzieję, że kiedy wypowie te słowa na głos, staną się prawdą. – Z pewnością pan Pomeroy i panna Potts już organizują ekipę ratunkową i rozdają rannym herbatę...

Jednak poprzez dym, parę i wiszący w powietrzu popiół widział tylko zwęglone kości, stopione żelastwo, spaloną ziemię, płonące jeziora paliwa i oderwane gaśienice, wyglądające jak skóra zrzucana przez gigantycznego węża.

– Tom? – Hester wypróbowała stery i ze zdumieniem spostrzegła, że działają. – Tom, możemy spróbować dolecieć do Batmunkh Gompa. Na pewno powitają nas jak bohaterów.

Jednak Tom pokręcił głową. W myślach wciąż widział płonącą „Windę Na Trzynaste Piętro”, spadającą na górny pokład Londynu, i przerażone twarze Gencha i Pewseya. Na pewno nie był bohaterem.

– Dobrze – powiedziała ze zrozumieniem. Wiedziała, że aby uporać się z niektórymi sprawami, potrzeba czasu. Będzie wyrozumiała i cierpliwa.

– W takim razie polecimy na Czarną Wyspę. Naprawimy „Jenny Haniver” i wybierzemy się gdzieś dalej. Na Archipelag Stu Wysp, w góry Tannhäuser albo na biegun. Wszystko mi jedno, bylebyśmy byli razem.

Uklękła przy nim, oparła ramiona i głowę na jego kolanach, a Tom uśmiechnął się do niej.

– Ty nie jesteś bohaterem, ja nie jestem piękna i pewnie nie będziemy żyli długo i szczęśliwie – powiedziała. – Ale przecież nie zginęliśmy i wciąż jesteśmy razem. Jakoś sobie poradzimy.

PODZIĘKOWANIA

Jestem głęboko wdzięczny Leonowi Robinsonowi i Brianowi Mitchellowi za inspirację, zachętę i dobre pomysły, których mi nie szczędzili, Mike'owi Grantowi, który opublikował moje wczesne próbki w nieistniejącym już piśmie „Heliograph”, oraz Liz Cross, Kirsten Skidmore i Holly Skeet – bez ich cierpliwości, entuzjazmu i dobrych rad ta książka skończyłaby jako podpałka w kominku.

Philip Reeve